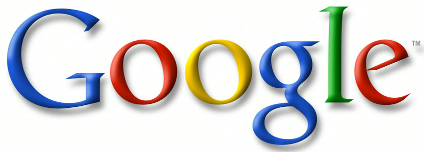





LELAND STANFORD JUNIOR UNIVERSITY
ORGANIZED 1891



BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM LII.

POEZJE

KONSTANTEGO GASZYŃSKIEGO.

. . . . a dla ziemi — u mogiły,
Kilka piórek pozostanie
Co ku niebu mnie wznosiły!
J. B. Zaleski.

WYDANIE ZUPEŁNE.

F. A. BROCKHAUS.

1868.

KONSTANTY GASZYŃSKI.

Dotkliwe czasy nastały dla poezji polskiej. Zastępy wodzów słowa ostatniej emigracyjnej generacji opuszczają życie tego świata, aby zrobić miejsce nowym genjuszom. Tylko, niestety, nowych imion nie widzimy, bo zdaje się iż mija czas poezji, ginie piękność uczucia w matrjalizmie XIX wieku. Wszelako nie rozpaczajmy. Naród polski, Bogu dzięki, nie stanął jeszcze na tej przewrotnej stopie oświaty, aby wyzuwszy się z tego co jest piękne i wzniosłe, tylko temu co jest wygodne i korzystne stawiać ołtarze. Cielec złoty nie zabrał jeszcze miejsca na naszych ołtarzach. Przeczekawszy tę chwilę przejścia z generacji do generacji, stworzymy i bardów nowych. Młody kwiat męczenników rozkwitnie, zwycięży słowo i duch: panowanie genjuszu jeszcze raz powróci.

Ostatni lat dziesiątek zabrał nam wiele drogocennych wieszczów z tego świata! Począwszy od niezrównanego Adama Mickiewicza, opuścił nas Zygmunt Krasiński, Gaszyński, Gorecki, Zmorski — dogorywa kilku. Z pozostałych milczą prawie wszyscy, i zaledwie od czasu

do czasu wzleci do nieba skowronek polski z piosnką na ustach. Naród umęczony, przygnębiony powtórnie po rozpaczliwem powstaniu ostatniem, nie ocknął się jeszcze z otrętwienia boleści — pierwszym głosem jego, co mu się z piersi dobędzie jest jęk cierpienia! W cierpieniu nadzieja — oto poetyczna przyszłość nasza, z której wypłyną czyste duchy, by nam w obu przewodniczyć.

Obok koryfeów przemijających z generacją ostatnią, Konstanty Gaszyński zaszczytne zajmuje miejsce. Instynktem genjuszu w nim uśpionego, pobudzony do pracy na polu literackiem, należał do pierwszych odrodzenia duchowego przewódców z początkiem nowej ery dla pognębionej Polski; po upartej walce z przeszłością zawładał duchowo, i po równi ze współpracownikami, błyszczący meteor, przeleciał i zagasł — ale nie rozprysnął. Po równi z drugimi żyje on między nami duchem swoim. W skarbnicy narodowej przechowywamy duchowe szczątki nasze — w pamięci narodu. Wdzięczność narodu zbudowała mu pomnik w swych sercach i wyryła na nim uczucia swoje, testamentem przekazując przyszłości — aby nigdy nie był zapomniany.

W początkach XIX wieku, gorzej niż dzisiaj stała literatura nasza, pomimo świetnych Augusta dla niej czasów. Odnowiony język zapanował już w kraju, ale nie mogliśmy się otrząść z wpływów zagranicy i młoda literatura odrodzenia zagrażała wyrodzić się na nowo. Ale wydała polska ziemia rodzime wieszcze, którzy ster w swe silne dłonie schwycili, by wyprowadzić

okręt skołatany na pełne morze. Potrzeba wszakże było walczyć z zawadami — z przeszłością. W walce na zabój o śmierć i życie, wyobrażającej nie tylko walkę zasad, ale właściwie walkę o istnienie, o wydobycie sił żywotnich ducha, o zaprzeczenie śmierci moralnej, wyrobiły się te genjusze myśli, co po drodze uczuć i serca zaprowadziły kraj aż do czynu. Walka ta, oprócz obudzenia ducha narodowego na wewnątrz, otworzyła narodom oczy, aby ujrzały, iż Polska żyje, iż ocknęła się z otrętwienia, a chcąc się i z kajdan sromotnych otrząsnąć, chwyta za broń, myje się we krwi własnej oczyszczenia i zdobywa sobie prawa posiadania korony męczeńskiej chwały.

Instynktowe poczucie konieczności istnienia, wydobywające się z narodu w postaci odrodzonej swojskiej literatury, tak silnie zawładło kwiatem narodu, młodzieżą polską, iż z zapałem rzuciła się do pióra, pragnąc przekazać ogółowi swe młode marzenia. Z tego powodu czytaliśmy nieraz twory nie zrozumiałe, bo przez twórców samych nie jasno pojęte. Było to odrodzenie myśli, rzucenie rękawicy przeszłości. Słabe pióra musiały też wytrzymać walkę z przeszłością — i ostrze krytyki niemiłosiernie je krajało. Ale nic nie pomogły ataki i strzały — kraj rozpadł się na dwa obozy — młodzież i zwolennicy nowości tej przyklasnęli ochoczo! To co dla doświadczenia i starej praktyki śmiesznem było, zachwycało właśnie młode serce barwą niezwykłą, uderzając oko i zdumiewając pojęcie jaskrawym połyskiem wschodzącego słońca nowej ery i wonią wyższej poezji.

Powoli młoda bezsilność nabrała doświadczenia i miłość ojczyzny musiała przeprzeć zasady nauki, musiała zwyciężyć. Naród polski, pochodzenia sławiańskiego, spokojnej natury, charakteru łagodnego, tęsknego, tylko okolicznościami zmuszony do przedzierzgnięcia w naród wojowniczy — wzdychał za wspaniałością bojowych czynów swych przodków: przeto chętnie podtrzymywał nową naukę, drogą wspaniałą do sławy pędzącą. Melancholiczne wybrzeża rzek naszych, niebo pochmurne i szare, klimat zimny północy, stały się kolebką pieśni przeszłości, pieśni rzewnej słowem i melodją.

Ale zanim chaos wzbudzony walką przycichł, zaś myśl nowa cel swój ostatecznie wytknęła, potrzeba było sternika coby nią przewodził. I z tego chaosu wypłynął sternik pożądany: Kazimierz Brodziński, jako pierwsza podstawa zasady, na której oparta, przetrwać potrafiła czasy krytyczne i wywalczyć przyszłość z postępem i doskonałością w parze. On pierwszy w literaturze polskiej stanowczo wytknął drogę narodową, polską, oczyszczoną ze wszelakiej obcości. Przezeń przejrzano czego nam do istnienia potrzeba, co nas z przeszłością wiązać powinno, a co naszego ducha dla przyszłości uszlachetniać. Zerwawszy ostatecznie z obczyzną na drodze literatury, chętnie poezja polska włożyła na siebie jarzmo religji, co stawiając szranki wybrykom pióra, uszlachetniało ją i podnosiło do najwyższej potęgi. Uczucie szlachetnego piękna było najlepszą nadal miarą krytyki, co nie dopuszczała skrzywienia myśli, zbaczenia pojęć — zkąd prze-

konania wchodząc w zasadę, stanęły na szczycie szlachetności.

Na tych więc podstawach wytwarzała się literatura ojczysta i nowe grono pracowników rosło nagle, widocznie, zmuszając ostatecznie przeszłość do złożenia broni. I wyrabiała się myśl wielkiego oswodzenia kraju z pod jarzma obcego — jako myśl młoda poezji oswobodziła się z pod jarzma naśladownictwa i niesmaku. Grono pracowników wyścigało się wzajemnie po tej drodze odrodzenia, wydając mężów takich jak Mickiewicz.

Konstanty Gaszyński do grona tych współprawników należał, a wkupił się do niego już jako młodzian świeżutki, w pierwszej chwili umysłowego ocknienia. Pierwsze utwory jego datują z czasów pobytu w Szkole Głównej (Uniwersytecie) w Warszawie, które mu między rówiennikami już wtenczas imię poety zyskały, a przez nich do domów się dostawszy, powoli i powszechną nań zwróciły uwagę.

Konstanty Gaszyński rodził się 1808 roku z Tekli Bzowskiej i Antoniego Gaszyńskiego, dawnego Wicebrygadjera, potem Radcy Województwa Mazowieckiego, w Małej wsi, ziemi Czerskiej, Województwie Mazowieckiem. Do szkół i uniwersytetu w Warszawie uczęszczał.

Jakeśmy wspomnieli, jego pierwsze prace odnoszą się do szkolnego czasu między 1827 i 1830 rokiem, w którym to czasie począł występować publicznie w dodatku literackim do «Korespondenta literackiego» i w «Pamiętniku dla płci pięknej» jako jego współpracownik. Były to po części tłomaczenia z Schillera,

Byrona, Moora, i t. p. Wszelako jego własne «Pieśmi sielskie», zachwycające prostotą i miłym zwrotem języka, jaki tylko w pieśniach naszego ludu napotkać można — te pieśni zyskały mu imię i zajęcie ogółu. Jawiąc się około 1830 roku, były pierwszą skazówką zmian mających nastąpić na polu polskiej literatury. Piosnki to jako czysto swojskie, pozostały też najlepszą cząstką prac Gaszyńskiego przed powstaniem listopadowem pisanych, które pragnął już wtenczas razem ogłosić. Rewolucja stanęła temu na przeszkodzie, a po jej przejściu dojrzała myśl młodziana uszlachetniona wyższym polotem, rozogniona miłością nieszczęśliwej ojczyzny, zajęła się innemi potrzebami, zapominając tego zamiaru. Najlepsze tylko z nich wydał w «Zbiorze poezji» 1844 roku w Paryżu — wszelako i te nawet z nowego wydania później prawie wszystkie wyrzucił, jako «nie odpowiednie jego dojrzałemu pojęciu.»

Roku 1829, oprócz drobnych kawałków teatralnych jak np. «Warjat z potrzeby» grywanych w Warszawie, ogłosił on swój pierwszy romans historyczny pod tytułem: «Dwaj Śreniawici.» Najprawdziwiej ocenił ten utwór Wójcicki w swej «Literaturze», pomawiając go o brak barwy historycznej panowania Władysława Łokietka. Wszelako rzecz to do przebaczenia, gdy zauważymy, iż autor wziął się do tego dzieła kierowany tylko przeczuciem, bez praktycznego zmysłu ducha historji, znając tylko powierzchownie serce ludzkie i tylko z dzieł szkolnych polską historję. Podobnych utworów mieliśmy wonczas więcej, chociaż nieraz wy-

chodziły one z pod ręki ludzi doświadczonych. Przykład z zagranicy zachęcał do szkiców jednolitych na tle historji, gdzie chodziło głównie o jaskrawość kołorytu i rozbudzenie zajęcia. Historja stawała dopiero w drugim rzędzie potrzeby — nieznajomość lub brak faktów zastępowano fantazją. Były to próby talentów, z których się miał wyrodzić polski Walter Scott. Wszelako zrozumiano u nas prędko, że Polska to nie Szkocja, że tu zupełnie inne tło, inne obrazy, inne życie, i spokojny charakter naszego sławiańskiego pochodzenia. W tym kierunku otrząsało się naśladownictwo nasze, wydając godnych współzawodników, jak Bronikowski, Bernatowicz i inni.

Tego czasu przewodniczył Konstanty Gaszyński młodemu Zygmuntowi Krasińskiemu, wypracowując z nim wspólnie «Rodzinę Rajchstalów» i «Władysława Hermana.»

Przyjaźń tych dwóch wieszczów, datująca od ławek szkolnych, a cechująca się niezwykłą solidarnością w pierwszych krokach wystąpienia publicznego, związała ich aż do śmierci. Całe życie ich było pasmem również uczutych uciech i utrapień. Wspomnienie solidarności tych dwóch dusz musi być najlepszym dowodem, iż tam uczucia i pojęcia sympatyzowały z sobą. Tylko to, co panicz wysoko urodzony z łona macierzyńskiego wyssał, a życiem wytwornem wyrobił — tego nie było w sercu jego przyjaciela. Szlachetność uczuć przyciągnęła i związała obu — lecz w tworach swych o tyle się rozeszli, iż Krasiński w swem stanowisku i po niemiłych doświadczeniach szkolnych, wy-

niósł ztamtąd gorycz oraz obawę; gdy Gaszyński tylko miłość ojczyzny i rodaków, niczem nie przyprawną odziedziczył. Przyjaźń ta otworzyła mu salony jenerała Wincentego Krasińskiego, ojca Zygmunta. Widziany tam chętnie dla ujmującej powierzchowności i charakteru, dla bystroty pojęcia i śmiałości poglądu, miał sposobność poznać koryfeów ówczesnego literackiego świata Warszawy — w ich pełnych treści rozprawach i gawędach czynny brać udział. Towarzystwo to ludzi, zajmujących wysokie stanowisko w społeczeństwie, po części rodem, zawsze rozumem, dało mu poznać świat ówczesny w jego naukowem rozwiciu. Rozprawy tam miewane wpływały nauczająco na jego wrażliwą istotę, wyrabiając zawczasu charakteru stałość, dając determinację w obcowaniu, znajomiąc praktycznie z historją i istotą życia społecznego. Nie dziw, że dojrzały młodzieniec uczuł gorąco położenie ojczyzny, pojmował potrzebę jej odrodzenia.

Po wybuchu powstania listopadowego w 1830 roku, jako uczeń szkoły Głównej należał do Gwardji Honorowej z samych Akademików złożonej, pod dowództwem Lacha Szyrmy; a wybrany na członka Komitetu tej Gwardji, uczestniczył w wydawaniu «Dziennika Gwardji Honorowej», wychodzącego tylko od 1go do 11go Stycznia tego roku. Kierunek tego dziennika i śmiała opozycja przeciw Chłopickiemu, po przejrzeniu i ocknięciu się młodzieży z zapału, do tego człowieka żywionego, zpowodowały iż otrzymał odeń surową naganę i ścieśnienie polityczne; gdy zaś z tego powodu młode pismo tem śmielej wypowiadać poczęło swe myśli,

dyktator wydawanie onego całkowicie zakazał. Postępowanie takie dyktatora tem bardziej rozbudziło niechęć młodzieży: obawiając się następstw zgubnych, dyktator wkrótce Gwardję Honorowę rozwiązał.

Po rozwiązaniu Gwardji Honorowej, wspólnie z wielu kolegami wstąpił Konstanty Gaszyński do szeregów narodowego powstania i odbył całą tę kampanję, w końcu jako porucznik artylerji — aż póki roku 1831 nie opuścił kraju z korpusem Giełguda. Chwile powstania, w którem tak czynny brał udział, nie zatarte wrażenie na uczuciowym młodzianie sprawiwszy, napiętnowały niem wszystkie jego poetyckie utwory, barwiąc je na tle miłości ojczyzny, cudnemi farbami cnót narodowych. Pieśni jego, układane pod namiotem obozowym, śpiewało całe wojsko.

Po wyjściu za granicę udał się Gaszyński do Paryża, skąd przesiedlił się wkrótce do Aix-en-Provence, przyjemnej okolicy południowej Francji, zmuszony do opuszczenia stolicy przez rząd owoczesny. Napływ bowiem wychodźców polskich, pozbawionych ojczyzny przez najazd północy, tak oburzył i roznamiętnił Francuzów, iż obawiano się na korzyść Polski wybuchu ludu przeciw rządowi, aby go do czynnej interwencji w tej sprawie przymusić.

Zagospodarowawszy się w Aix, zwiedził Korsykę, ojczyznę Napoleona. Oczekiwania jego w tym względzie zawiodły go po części — owocem przejażdżki wiersz pod napisem: Ajaccio. Wrócił ztamtąd na stałe mieszkanie do Aix. Charakter jego miły i słodki, dowcip bystry i humor wesoły, pomogły mu do szybkiego za-

znajomienia się z publicznością tamtejszą. Zabrał się ochotnie do pracy nad językiem francuzkim i tak doskonale go sobie przyswoił, iż wkrótce pisać nim potrafił, czego dowodem sonet jego do Wiktora Laprada, w 1834 roku napisany.

Nie poprzestając na tem, zabrał się do badania miejscowości pod względem historji, oraz do nauki prowensalskiego narzecza zwanego «la langue d'oc.» Owocem tych jego poszukiwań jest znakomity zbiór wyciągów i opisów z historji tej prowincji. Pobyt jego w Aix przeciągnął się aż do 1844 roku. Dziesięć lat pracy w przedmiocie obranym dozwoliło mu wystąpić publicznie — i ujrzano jego twory w «Memorial d'Aix» i «Gazette du Midi», do których pisał jako ich współpracownik stały. Mémorial d'Aix powierzono mu wkrótce pod zarząd wyłączny. Artykuły jego pisane stylem kwiecistym, chciwie czytano. Znaczniejsze utwory swoje czerpał bowiem z historji i życia prowensalskiego, wartując na ten cel archiwa i zbiory tamtejsze.

Oto znaczniejsze artykuły jego z historji: Quentin Metsys, chwila z życia malarza flamandzkiego, przebywającego w Aix za panowania króla René — Charles V. à Aix, epizod z roczników miasta — Christine, reine de Suède à Aix, studjum charakterystyczne — Marguèrite Voland, spomnienie dobrowolnej męczennicy, co obudziwszy miłość pożądliwą Franciszka I., spaliła sobie twarz siarką, aby się od niej uwolnić. — Z biografji: żywot Chardiniego, Chastela i innych mniej głośnych. — Z opisów:

Saint Antoine — l'Eremitage de Saint Sers — les Figons. — Ze wspomnień obozowych i politycznych: Une causerie de bivaque. — Les deux prisoniers d'Etat. — Fantastyczne: Le pasage des Anglais — Histoire d'un clou et d'un tableau. — Recherches sur la pipe — i mnóstwo ulotnych opowiadań. — Ze sztuki: Les cabinets de tableaux et Collections artistiques de la ville d'Aix, które to dzieło przypomniało Francuzom ważność tych zbiorów i powszechną na się zwróciło uwagę. — Z poezji nawet głosił po francuzku wiele kawałków formy pięknej i zgrabnej. Prócz tego po za granicami dziennika wydał po francuzku dość prac bardzo szacownych, jak: Studjum kościoła Saint Sauveur w Aix, Nord et Midi, a wreszcie przełożył Krasińskiego Ostatni (le Dernier) i Przedświt (l'Aube) ze zwykłą zręcznością.

Widać że tam czasu nie trwonił i za gościnność doznaną, zostawił Prowensalom drogie prac swoich owoce. Ale też instynkt zdrowy Gaszyńskiego wprowadził go tam zaraz w grono ludzi światłych, z talentem i wyższą dążnością. Oni to, pokochawszy go serdecznie, byli mu najwierniejszymi przewodnikami w zawodzie na drodze nie zepsutej fantazji. Tym też sposobem przyciągnęła go Prowancja do siebie i zniewoliła uważać za drugą ojczyznę, jak nawet i w poezjach kraj ten przezywał. Pomimo że po latach dziesięciu porzucił to miłe miejsce pożytecznej pracy: ani chwili o niem nie zapomniał, ani też pozostawieni tam przyjaciele nie przerwali z nim szlachetnych stosunków. Rozmowa

o latach pobytu w Aix była dla niego prawdziwą roskoszą — korespondował pilnie i odwiedzał często miejsce to, gdzie znalazł przytułek i poczciwych przyjaciół. Wyjazd swój ztamtąd uczcił pięknym wierszem polskim, gdzie przywiązanie jego rzewnie a dobitnie się maluje.

Przesiedliwszy się 1844 roku do Paryża, wydał po raz pierwszy całkowity zbiorek swych poezji, jeżeli pominiemy maleńki zeszyt pod tytułem: «Pieśni pielgrzyma polskiego» jaki jeszcze 1834 roku w Paryżu prasę opuścił. Zbiorek ten przyjęto wdzięcznie, chociaż nie wspominano o nim wiele. Bo poezje te nie błyszczały oryginalnością samoistną, ani też brylantowym stylem, jakim władał jego serdeczny przyjaciel Zygmunt Krasiński — wszelako pociągały serca miłym urokiem świeżości uczuć, kolorytem czarującym każdego; a w szczególności były tak prostym i narodowym językiem uwite, iż je każdy sercem zrozumiał! Nie potrzeba było zastanawiać się i szukać myśli autora: błyszczała ona tam tak jasno, jak jutrzenka na niebie, i chociaż w niej odbijały się barwy tęczowe zachwytu, to przecież promienie jej wpadały wprost do każdego serca i uderzały najczulsze struny narodowego uczucia. Poezje Gaszyńskiego były równianką skromnych kwiatków polnych, złożoną na ołtarzu ojczyzny — to też nęciły swą wonią dziewiczą i wzruszały rodzinne uczucia — czytano je chętnie i czytali wszyscy. —

Głównym powodem przesiedlenia się Gaszyńskiego był Zygmunt Krasiński i zajęcie się wydawnictwem

tegoż utworów, z których nawet «Przedświt» pod Gaszyńskiego wyszedł nazwiskiem. Wszelako nikt się tem uwieść nie dał; bo pomimo, że «Przedświt», co do sposobu widzenia rzeczy zbliża się więcej do prawdy, aniżeli Irydjon i Nieboska — którąby nawiasem, pominąwszy wielkość artystyczną, raczej «Niepolska» nazwać lepiej było — sam już ów styl nadzwyczaj górny, djamentowy i złoty, wonczas był tylko jedyną Krasińskiego własnością. A jakaż to w zrozumiałości i jasności poglądu różnica między piórami tych dwóch przyjaciół! Chcieli oni zapewne obydwa jednej i tej samej ojczyzny; wszelako po zupełnie innych drogach dążyli do niej w pismach swoich, pomimo ich serc, najściślejszego związku — a raczej, gdy Gaszyński jasno czuł i pisał, złotousty Krasiński szukał, i z tego powodu był nie zawsze pojęty, często fałszywie zrozumiany. Dla przyjaźni więc Krasińskiego przesiedlił się do Paryża, i ztamtąd do wód robił wycieczki — przyczem własne restaurował zdrowie. Celem ich podróży był najczęściej Ren i kąpiele nad nim leżące.

Życie to koczownicze zabierało mu cale lato, iż ledwo zimą brać się mógł do pióra. — W roku 1846 wydał prozą «Pan Dezydery Boczko i sługa jego Pafnucy» szkic emigranckiego życia. Szkic ten humorystyczno-historycznie nakreślony, przedstawia polskiego szlachcica w Paryżu, który szukając partji do jakiejby się z przekonania przyłączył, odwiedza wsystkie kluby owoczesne, aż nareszcie rozgniewany na dziwne ich pomysły, na stale w «Zjednoczeniu» osiada. Traci

zupełnie zasoby i upada na duchu — gdy sługa jego Pafnucy spanoszony, zostaje arystokratą i łączy z partją książęcą. Prawda tu głęboka, a wizerunek życia emigranckiego wierny — i żałować wypada, że Gaszyński temu rodzajowi literatury więcej czasu nie poświęcił. Przedmiot ten życia emigranckiego tyle posiada materjału, iż wiele i bardzo nauczających dałoby się zeń wyrobić wzorów — na naukę przyszłości.

Następnego roku wypracował: «Reszty pamiętników Macieja Rogowskiego, Rotmistrza Konfederacji Barskiej.» Utwór ten zawiera bardzo wiele nie znanych historji i interesujących szczegółów. Widać że wydawca rzeczywiście posiadał źródło, czy prawdziwe Pamiętniki owoczesne, chociaż styl onych zupełnie wznowiony. Pojedyncze ułamki, szczególnie z żywota Kazimierza Pułaskiego, najlepszym tego dowodem. Chociaż więc pamiętniki te nie zajmują tyle formą, to owe nieznane szczegóły klasyfikują one w rzędzie źródeł historycznych. Z powodu niespółczesnego języka, sfałszowania tej książki całkowicie autorowi zarzucać byłoby nie logicznie, jak to w swym czasie krytyka uczyniła: właśnie dla tego, że nie miano w myśli form powierzchownych, ani zachowania typu, tylko podano interesujące fakta.

Tu nastała wielka przerwa w publikacjach Konstantego Gaszyńskiego. Życie jego w towarzystwie i dla Krasińskiego, co schorzały ciałem, nigdzie długo nie mógł zabawić, oraz własne cierpienia, nie pozwoliły Gaszyńskiemu brać na dłużej pióra do ręki. Tych

lat nie zagrzał on nigdzie miejsca, ale pielgrzymując po Francji, Belgji i Niemczech, dorywczo szkicował co wpadło do głowy i serca. Rok dopiero 1851 ujrzał nowy tomik pracy pod tytułem: «Kontuszowe pogadanki i obrazki szlacheckiego życia.» Miały to być wspomnienia na wzór «Pamiątek Soplicy» nieprześcignionych dotyczas przez nikogo. To też podobieństwo to wpadając czytelnikowi w oczy, mimowolnie krytykę na niekorzyść autora przechyla. — Samoistnie sądząc, znajdziemy tu jak we wszystkich tworach jego, wygładzony styl jasnego poglądu. Lekkość szkiców zdaje się dowodzić, iż Kontuszowe pogadanki przypadkowo Pamiątki Soplicy przypominają, napisane wszelako zostały bez chęci naśladowania.

Tegoż roku pod jesień wyjechał do Genui, aby ztamtąd wyszukać odpowiedni zakątek, w którym schorzały Krasiński mógł na zimę przemieszkać. Przebywszy tam z nim zimę, przeniósł się pospołu na lato do Badenu — a zostawiając pieczołowitości małżonki biednego wieszcza, wrócił na zimę 1852 roku do swej ukochanej Prowancji, gdzie wykończył swoje «Listy z Podróży po Włoszech» wydane w Lipsku 1853 roku. Te listy, pisane do przyjaciela, lotno i pobieżnie rzucając pogląd na przedmioty pod zmysł podpadające, czytają się z przyjemnością.

Rok 1854 przepędził na kuracjach wodnych z powodu swej słabości nóg, która od dawna mu dokuczając, zmuszała go ostatecznie do energicznych zabiegów. Z tego zapewne powodu nie napisał nic nowego i na rok następny przygotował tylko nową edycje

swych poezji, którą po powrocie z Badenu 1855 roku pod zimę, przebywając w Prowancji, uskutecznił. Powyrzucał on z tej edycji wiele tworów młodocianych, jakie mu się nowego druku nie zdawały być godnymi, zastępując je nowymi od 1844 roku napisanymi. Na czele wydania tego stoi jego «Sielanka młodości,» utwór najlepszy w swoim rodzaju, pełen prostoty i uroku.

Zabawiając się pracami na polu francuzkiej literatury aż do roku 1857, na ogłoszony konkurs w Poznańskiem za napisanie satyry przeciw grze w karty, wypracował poemat «Gra i karciarze» który otrzymał przeznaczoną nagrodę. Jest to utwór po «Sielance młodości» najlepszy ze wszystkich utworów podobnych ostatniego wieku, wygładzony, delikatnie krytykujący, bez tej szorstkości podobnym satyrom dotychczas właściwej. «Gra i karciarze» oraz drugą poezję satyryczną: «Wyścigi konne w Warszawie» w formie dramatycznej, wydał w 1858 roku w Paryżu, pod tytułem: «Pro bono publico.»

W tych zajęciach literackich w gronie swych przyjaciół w Aix zaskoczyła Konstantego Gaszyńskiego smutna wiadomość o śmierci Zygmunta Krasińskiego. Wypadek ten, rozdzielający go w tym świecie z najlepszym przyjacielem i współuczestnikiem wszystkich uczuć smutku i wesela przez lat trzydzieści, stanowczo na niego podziałał. Porzucił on gęślę poety i przebolawszy niespodziewaną stratę, zawlókł się do Paryża by pozostałe papiery po zmarłym wieszczu uporządkować. Z Paryża, dla wytchnięcia w pracy i dla swych

cierpień osobistych pojechał na krótki czas do kąpieli w Biarritz; zkąd wróciwszy, zajął się wyłącznie wydawnictwem pozostałych po Krasińskim rękopisów. Ogłosił drukiem jego: «Niedokończony poemat,» pierwszą część właściwie «Nieboskiej komedji,» chociaż później opracowaną — i «Wyjątki z listów.» Oprócz tego przygotował biografję i krytykę prac Zygmunta Krasińskiego z objaśnieniem ich serdecznych stosunków. Praca ta dopiero po upływie lat pewnych ma wyjść na widok publiczny, wedle ostatniej woli autora.

Rok 1860 był jednym z najważniejszych w życiu Gaszyńskiego: miał on odwiedzić zgrzybiałą matkę swoją i kraj ukochany.

Podróż ta w okolice rodzinne, widzenie się z dawczynią dni żywota, oddziałały korzystnie na stan jego umysłu a nawet wzmocniły zchorzałe ciało. Z nowym więc zapałem rzucił się do pracy za swoim powrotem do Prowancji — ale widać, że w księdze przeznaczenia inaczej zapisano. W słodkich rozmyślaniach i pracach nad sprawą narodową doszła go straszna wieść o śmierci ukochanej matki! Śmierci morderczej w roku 1863, w którym Moskale napadłszy dwór, gdzie na stare dni zamieszkała — rabując go po swojemu, sędziwą matronę podle zamordowali wystrzałem z karabinu! Ta wiadomość sparaliżowała resztę sił Gaszyńskiego i długo, a może i do śmierci już pokoju na tej ziemi znaleźć nie mógł. W miejsce rozpaczy, poddawszy się wyrokom Boga, ofiarował tę siwowłosą ofiarę na ołtarzu równie ukochanej ojczyzny, weseląc się duchem w Bogu, iż ta śmierć mę-

czeńska zapisaną zostanie w księdze zasług polskiego ludu!

Wypadki niespodziewane w kraju obudziły go na chwile z otrętwienia i boleści, iż pochwyciwszy rozstrojoną gęślę, niezwykłym dźwiękiem ludowi swemu po raz ostatni zaśpiewał. Było to «Kilka pieśni dla kraju» w roku 1864 w Paryżu wydanych. — Od tego śpiewu ostatniego rozbolała gęśla zamilkła na zawsze!

Życie jego stało się odtąd jednem bolesnem marzeniem, letargiem, z którego nie obudzon dla świata, zamarł na zawsze. Ostatnie wypadki w kraju, upadek powstania, krew lejąca się potokami z ofiar niewinnych pod nożem i mieczem Moskala; jęki tysięcy mężów, kobiet i dziatwy, młodzi i starców, gnanych w ostatnie krańce Sybiru; nareszcie omdlałość współczucia w Europie dla męczonego narodu — wszystko to przygnębiło umysł i serce Gaszyńskiego niezwykłem brzemieniem. Genjusz i władze jego upadły — za nimi i ciało. Słabość jego nóg wzmogła się gwałtownie, iż mu prawie zupełnie posłuszeństwo wypowiedziały — i zmuszony był dla podtrzymania ich władzy, ciągle co lato po kąpielach przebywać.

Tak dowlókł to życie do roku 1866, który miał go z męczarń ziemskich i więzów cierpienia wyzwolić, a połączyć tam, wysoko, z tem co miał na ziemi najdroższego.

Dnie 6, 7, 8 października były jego powolnem konaniem. Całe te dnie walczył ze śmiercią w największych cierpieniach, które mu przytomność odbierały — przecież

nocą, gdy cierpienia zwolniały, duch jego odzyskiwał wszystkie swe władze, iż nie tylko rozmawiał z otaczającymi go przyjaciołmi, ale i błyskał dawną bystrotą pojęcia. Trzeciego dnia konania zasnął wreszcie w Bogu — spokój duszy jego!

Pogrzeb odbył się bardzo skromnie — bo takie było zmarłego poety życzenie: tylko kilku przyjaciół Francuzów i kilku tam przebywających Polaków garstkę ziemi na grób mu rzuciło. Na smętarzu stanął krzyż żelazny z prostym napisem:

«Konstanty Gaszyński.»

Tak zgasło życie prawego syna ojczyzny — ale pamięć jego nigdy nie przeminie!

* * *

Konstanty Gaszyński nie należy do poetów pierwszego rzędu — i nigdy do tego stanowiska nie miał pretensji. W utworach jego nie szukać ani wzniosłości Adama, ani mistycyzmu przyjaciela jego Zygmunta, ani w końcu polotu i ogromu obrazów Juljusza! Nie ma tam nawet odcienia wyskoków świątobliwego Bogdana Zaleskiego, tem bardziej ognistego Seweryna Goszczyńskiego — szukać tam nie można przymiotów innych poetów jego szkoły i czasu. Ale też gdzie, jeżeli nie w Gaszyńskim szukać: tej miękkości i gładoty stylu, tej ludowej prostoty pojęcia, tej otwartości myśli, tego uroku czarodziejskiego formy? — Przez nie staje się Goszczyński poetą samoistnym odrodze-

nia narodowego, zabierającym słusznie mu należne miejsce obok pierwszych koryfeów naszej narodowej poezji.

Przyszłość nie inaczej go osądzi. Nie wygaśnie on nigdy w pamięci narodu — raz zdobyte miejsce w sercu jego, pozostanie mu na zawsze. Poezje też Gaszyńskiego nie tylko w epoce naszej z przyjemnością będą czytane. Są to może jedyne utwory, które przetrwają wszelkie pod tym względem możliwe reformy i odmiany, zatrzymując urok raz nabyty. Lud nawet polski, poczuwszy się w duchowem narodowem życiu, przyswoi sobie twory te, jako własność jemu należną.

Ta władza poezji Gaszyńskiego pochodzi ztąd, iż nie oglądając się na żadne czasowe przykłady, wychowany w zasadach nowoczesnej szkoły, samoistnie puścił uczuciu swemu wodze, które ludem swoim tylko żyło — i to wyśpiewał co samo serce marzyło! —

Zbiorek poezji tych nie tylko ma prawo zajmować miejsce w poczecie tomów «Bibljoteki pisarzy polskiej» — ale będzie jej prawdziwą ozdobą, jako najczystszy pokarm dla narodowego ducha. W imię Boże więc na ten cel go poświęca —

WYDAWCA.

SPIS RZECZY

w tym tomie zawartych.

Strona

Strona

Strona

I.

SIELANKA MŁODOŚCI.

I.

Panna była prześliczna — z błękitnych jej oczek
Zaledwie że piętnasty uśmiechał się roczek.
Panicz równy jej wiekiem, bywał nieustannie
W jej domu — i z roskoszą siadywał przy Pannie.
Znosił koszyczki, kwiatów i jagódek pełne,
Pomagał zwijać w kłębki włóczkę i bawełnę —
Nad rysowaniem wzorków strawił nieraz dzionek;
Grywał z nią w gotowalnię, w mruczka i w pierścionek.
Przyjaźnił się z jej bratem, grzecznie gadał z matką,
A Pannie tysiąc fraszek opowiadał gładko.
Lecz często, kiedy czulszem ośmielon wejrzeniem,
Chciał wyznać jakim dla niej rozgorzał płomieniem,
Wnet mięszał się, głos tracił i słów mu nie stało:
Tak pod szkolnym mundurkiem biedne serce drżało!
Raz przecież postanowił, bądź co bądź wypadnie,
Oświadczenie miłości wyrazić jej ładnie —
Lecz zamiast arcydzieła co tak długo składał,
Rumieniąc się, oświadczył — że deszcz będzie padał!
Panna miała dla niego zawsze wzroczek słodki,
Gdy on przy niej — to ciągłe piosnki i chichotki —
A kiedy przez czas jakiś nie widać Panicza,
To jej coś jakby smutek wyglądał z oblicza.
Siadała przy krosienkach nie mówiąc i słówka
I skarżyła się mamie, że ją boli główka!
Tak żyli blisko siebie, jak na cichej łące,
Skryte w cieniu, dwa drobne fijołki woniące —
A w okół nich krążyły w domu szeptów roje,
Że się Panicz i Panna kochali oboje!

* * *

Była to pierwsza miłość, niewinna, milcząca,
Święta — jak przed ołtarzem lampa gorejąca —
Bez zalotnych uśmiechów, bez słówek ponętnych,
Bez wyrzutów zazdrości i przysiąg namiętnych!
Ale gdy się ich oczy napotkały razem,
To wnet lgnęły do siebie jak magnes z żelazem —
Rade by tak pozostać przez miesiące — lata —
I tak patrzeć ku sobie — do skończenia świata!
O! bo ich dusze, zbiegłe po źrenic promyku,
Wiodły czułe rozmowy w bezsłownym języku,
A wrzących uczuć potok, tajonych tak długo,
Przeciekał z serca w serce, niewidzialną strugą,
I tworzył im ocean — po którymby chcieli
W łódce o złotych wiosłach, pływać jak anieli!
Lub jak samotna para śnieżystych łabędzi
Kołysać się na falach, gdzie je wiatr popędzi —
I żyć zdala od brzegów — do skończenia świata!
— Tak im błogo schodziły różane ich lata.

II.

Raz, w cieniu lip, przed dworem, w jesiennym poranku,
Młody Panicz i Panna rozmawiali w ganku
O pogodzie, o słońcu — a potem, o zgonie
Prześlicznego jaśminu co uschnął w wazonie.
Potem, o czemś weselszem — o zwycięzkiej walce
Kota Filusia z psami — a w końcu o lalce;
Bo zapomniałem wspomnieć, że śród pogadanki
Panna stroiła lalkę dla młodej krewnianki. —
Gotów był cały ubiór od stóp aż do głowy:
Trzewiczki — biała suknia — kapelusz różowy
I fartuszek niebieski jak modniarki oczy —
Brakło tylko na główce puklów i warkoczy.
Zkąd wziąść ich? — Łatwa rada. — Z uśmiechem pustoty
Panna zdjęła z grzebienia ciemnych włosów sploty,

Westchnęła nad ofiarą — zgrzytnęły nożyczki —
I upadł lśniący kosmyk u stóp ofiarniczki.
O! jakże była piękną, gdy po szyi białej
Tych brunatnych pierścieni fale się rozlały —
I spadając na piersi kaskadą ogromną,
Stroiły w czar zalotny, tę postać tak skromną!
O! była to Syrena albo Nimfa grecka,
Lecz z czystością anioła i szczerotą dziecka!
Panicz patrzył milczący, gdy drobne jej palce
Ciemne loczki nad czołem przypinały lalce,
A kiedy już warkoczyk splotła do połowy
Znów wrócił do przerwanej przed chwilką rozmowy
Dowodząc, że to szkoda i myśl desperacka
Dawać tak piękne włosy na dziecinne cacka;
Że lalce, na nic skarb ten nie może się przydać
Bo pod kapelusikiem warkocza nie widać!
A wzrokiem mówił czulej: «Jest ktoś przy twym boku
«Co o takiej plecionce marzy już od roku,
«Coby o ten podarek na kolanach żebrał —
«Coby go kosztem życia z cudzych rąk odebrał,
«Jak cudowny talizman, na piersiach umieścił,
«Biciem serca kołysał, całunkami pieścił!»
Panna patrząc z pod oczka, choć pracą zajęta,
Zrozumiała zapewne nieme argumenta:
Bo jej lica rozkwitły purpurowym blaskiem. —
W tem okno od salonu otwarło się z trzaskiem
I głos matki się ozwał: «Chodź-no moja rybko!»
Panna rzuciła wszystko i pobiegła szybko.

* * *

I sam Katon by upadł w tych pokus przepaście,
Zwłaszcza gdyby się kochał i miał lat szesnaście!
Nasz Panicz, nowy Tantal, widząc koniec męki,
Zostawioną plecionkę do drżącej wziął ręki.
Był sam — żadne go śledcze nie trwożyło oko,
Więc do ust ją przycisnął i westchnął głęboko;

Ale gdy zaczął tonąć w morzu zadumanek,
Panna jak hyży ptaszek znów wbiegła na ganek.
Ocknął się pomięszany — lecz czuł że w tej chwili
Los przyjazny ku niemu szalę szczęścia chyli;
Zebrał całą odwagę — a miał jej nie dosyć —
I rzekł skromnie: «Ja chciałbym — Panią — o coś prosić.»
— «O cóż?» — «O podarunek.» — «Dał mi Pan frasunek,
«Bo trzebaż jeszcze wiedzieć jaki podarunek?»
— «Zaręczam że ta sprawa nie skończy się sprzeczką
«Niech tylko Pani powie maleńkie słóweczko
«Daruję!» — «No, daruję!» z uśmiechem odrzekła.
On pokazał plecionkę — ona raka spiekła —
Zdziwiona, przerażona, drżąca przed nim stała,
Cofać słowa nie śmiała — a może nie chciała;
A Panicz, wyczerpnąwszy cały zasób męztwa,
Zamilkł — jakby się wstydził zdradnego zwycięztwa.
Dopiero gdy ich oczy spotkały się razem
I zlepiły się, zrosły jak magnes z żelazem,
Zabrzmiały w strunach serc ich, zmarłe w ustach dźwięki:
Wyrzuty — przebaczenia — skargi i podzięki,
I przysięgi karmione a tajone w łonie;
Wierności aż do zgonu — wierności po zgonie! —
— I znów zaczęli gadać o słońcu, pogodzie,
I o ślicznym jaśminie co uschnął w ogrodzie —
Potem inne, weselsze toczyli rozmowy,
Lecz o lalki warkoczu nie było już mowy.

* * *

Któż był kiedy szczęśliwszym, dziwnych zdarzeń zbiegiem:
Czy Aleksander Wielki po nad Indu brzegiem?
Czy Cezar, gdy bogowie na błoniach Farsali
Z tryumfem nad Pompejem: rząd świata mu dali?
Napoleon? gdy pragnąc uwiecznić swe plemię
Ujrzał syna dziedzica w rzymskim diademie?
O! nie! — radość zdobywców dumna a zwodnicza,
Nie może się porównać z radością Panicza!

On marzył, że się w niebie z aniołami brata,
Że dzierżąc promyk włosów, dzierży berło świata!
  Panicz był rad i wesół i humor miał złoty,
Cały dzień sypał żarty i broił pustoty,
Uśmiechał się, przymilał — jakby chciał do łona
Wszystkich ludzi przycisnąć w braterskie ramiona! —
Panna uradowana miała wzroczek słodki;
Po całym domu brzmiały piosnki i chichotki —
Aż matka powtórzyła raz, drugi i trzeci:
«Jakże się też to dzisiaj rozigrały dzieci!»

III.

  Trudno zmienić bieg rzeczy na ziemskim padole;
Panicz, choć dziarski młodzian, był studentem w szkole,
A Panna rówienniczka, w siedmnastym roku
Wyrosła na kobietę tak pełną uroku,
Że aż w najdalsze strony rozbiegły się wieści
O tej niedorównanej urodzie niewieściej!
  Niebawem też, gość obcy, nieznany nikomu,
Pojawił się z nienacka w rodzicielskim domu.
Był to Pan już niemłody, lecz grzeczny, układny,
Posiadał zacne imię i majątek ładny;
Przywiózł list polecalny od krewnych Jejmości
I zaczął prawić Pannie tysiąc uprzejmości!
  Ojciec, po krótkich zwiadach, wykrzyknął radośnie,
Że z takim zięciem honor jego domu wzrośnie,
Że to partja wyborna — a matka dodała
Że córka przy pieniądzach będzie szczęście miała!
Spisano kontrakt — gości zjechało się wiele —
Odbył się ślub, biesiada i huczne wesele;
Potem wsiedli do kocza — stangret trzasnął z bicza
I uniósł w kłębach kurzu, złoty sen Panicza!
— — — — — — — — — — — —
Panicza, który zdala — śród murów stolicy,
Nieświadomy o niczem — przy szkólnej ławicy

Czas wolny od nauki na marzeniach trwonił,
Za modremi oczkami tęskną myślą gonił,
Licząc że za sześć niedziel znów je odzobaczy —
Gdy wieść ślubu nań padła jak piorun rozpaczy!

IV.

Czy Panna, kornej córki pełniąc obowiązek,
Przyzwoliła bez gwałtu na ten nagły związek?
Czy w białych, ślubnych szatach, pod mirtowym wiankiem
Popłakała choć chwilkę za młodym kochankiem?
Trudno wiedzieć — bo Panicz po tych burz przebyciu
Już jej nigdzie i nigdy nie napotkał w życiu!
Znikła, gdzieś aż w dalekie uwieziona Tatry —
Zgasła, jak droga perła w czarze Kleopatry!
— — — — — — — — — — —
Lecz Panicz zaznał wówczas, mąk najsroższe piekło,
I wiele łez mu gorzkich po licach przeciekło —
Gdy zamiast marzeń jego postaci uroczej,
Czarne widmo nieszczęścia zajrzało mu w oczy!
Wybladł, znędzniał jak gdyby chorobą złamany.
A po nocach układał najszaleńsze plany:
Rzucić szkoły, iść pieszo w nieznajome strony,
Dopóki nie odnajdzie swojej ulubionej —
Wyrwać ją z rąk tyrana, z pod strażników tłuszczy,
Osiedlić się we dwoje na bezludnej puszczy,
Ulepić chatkę z gliny, otoczyć ogrodem,
I żyć z nią korzonkami, owocem i miodem!
To znów myśl mu straszniejsza do mózgu się wdziera —
A właśnie miał pistolet i czytał Wertera! —
Szczęściem, że i Ołtarzyk złoty czytał co dnia,
I czuł że samobójstwo, to hańba i zbrodnia!
— — — — — — — — — — —
Tak wiara i zajęcie około prac dziennych
Spędzały szał wylęgły śród nocy bezsennych —
A czas, zwolna lecz ciągłe niósł mu ukojenie,
Zmieniając rozpacz w smutek — a smutek w wspomnienie!

V.

W rok dopiero — choć jeszcze cierpieniem nękany —
Nawiedził Panicz dworu sąsiedzkiego ściany.
A że bawiąc w gościnie, twarz posępna grzechem,
Musiał więc łzy obsłaniać kłamanym uśmiechem;
A słuchać opowiadań, jak córka szczęśliwa!
Jakie zięć ma intraty za wełnę i żniwa!
Ile w stajniach rży koni słynnych krwią i rasą,
I jakie trzody owiec po halach*) się pasą!
— Kochankowi, poecie — dawano do picia
Kropelka po kropelce, wszystką prozę życia!
Ten dom, który mu dawniej był niebem malutkiem,
Który witał z radością a opuszczał z smutkiem —
Dokąd z dali, myśl jego tęskliwa i cicha
Biegła, jak złota pszczółka do lilji kielicha —
Ten dom, z całym pamiątek przeszłości zasobem,
O! jakże mu się wydał pustynią i grobem!
W ogrodzie, tak jak dawniej, krocie było kwiatków —
Lecz Panicz próżno szukał dwóch modrych bławatków,
Które tu — w błogich chwilach miłości zarannej —
Wykwitały ku niemu, z ciemnych rzęsów Panny!
W klombach, tysiące ptasząt kwiliło śród drzewek;
Lecz nie było w tym chórze tego ptaszka śpiewek,
Którego on się tyle w tych miejscach nasłuchał —
Co tak słodko szczebiotał, tak ponętnie gruchał!
O! dla innych dziś oczu modrzały bławatki!
A ptaszek? — Może zamilkł śród złoconej klatki.
— W ganku, w domu, w ogrodzie — tylko się wznosiły,
W smętarzu jego szczęścia, zmarłych snów mogiły!
Więc je żegnał westchnieniem i łzawą powieką —
— — — — — — — — — — — —
I wkrótce los go poniósł daleko — daleko!

---

*) Hala, pastwisko górne w Tatrach.

VI.

O! stare to już dzieje! — W dalszych, długich latach
Ów Panicz stąpał częściej po cierniach niż kwiatach.
Nie jedna odtąd miłość, namiętna lub czuła,
Upoiła go szczęściem — smutkami zatruła!
I poznał serc niewieścich balsamy i jady,
Anielskie poświęcenia — i piekielne zdrady —
Bo na ścieszce żywota, w ciągłym niepokoju
Pił do sytu z cierpkiego doświadczenia zdroju!
Przecież dotąd — w Panicza poranionem łonie
Niewygasły wspominek młodych uczuć płonie!
Burza światowych wichrów dotąd nie rozwiała
Tej woni, którą niegdyś duszę mu zalała
Pierwsza miłość niewinna, cicha i milcząca —
Święta — jak przed ołtarzem lampa gorejąca!

* * *

Dziś, samotny wędrowiec po szerokim świecie,
Gdy go boleść duchowa lub cielesna gniecie,
Szukając ulgi mękom, o! ileż to razy
Wywołuje pamięcią przeszłości obrazy —
I marzy, jak mu było hożo i radośnie
W niepowrotnej, w różanej, w złotej życia wiośnie!
Jak po szkolnych mozołach powracał z uciechą
Na wiejski wypoczynek pod rodzinną strzechę.
Jak konno pędził w pola, z fuzyjką po borach;
Jak jeździł po pokrewnych i sąsiedzkich dworach.
Jaki czuł zachwyt, urok i raj nieustanny,
Gdy rumieniąc się, patrzył w modre oczka Panny!
Gdy niczego już więcej nie pragnąc od losów,
Tulił do ust i serca plecionkę z jej włosów;
Gdy żyli blisko siebie, jak na cichej łące
Skryte w cieniu, dwa drobne fijołki woniące!

Na ziemi niemieckiej,
w Kwietniu 1855.

II.

SONETY.

DO SONETU.

Mały, skromny fijołku, łąk pieszczony kwiecie!
Motylu, co ci skrzydła złociła natura —
Kolibrze, w szmaragdowe przystrojony pióra —
Świętojański robaczku, polotny Sonecie:

Nieznany starożytnym średnich wieków dziecię!
Gdy Europę ciemnoty otaczała chmura
Tyś pierwszy, obudzony harfą Trubadura,
Nowej poezji dźwięki rozgłosił po świecie!

Petrark śpiewnym twym strofom nadał kształt nadobny,
Gdy nad brzegami Sorgi muza jego wzniosła
Wybrała cię, do Laury, za miłości posła!

Szekspir lubił myśl wielką wplatać w wiersz twój drobny;
A nasz Mickiewicz, w ciasnych krańcach twego rymu
Rozsypał dijamenty — po ruinach Krymu!

1835.

DO MATKI.

(W WIGILJĘ BOŻEGO NARODZENIA.)

Matko! już piąty raz śniegiem się bieli
Dach twego domu — i piąty raz zima
W rodzinnej ziemi wiatr północny wzdyma,
Gdyśmy przy świętej wieczerzy siedzieli!

Dziś kiedy wszyscy u stołu weseli,
Ty patrząc w koło tęsknemi oczyma
Myślisz w twej duszy: «Konstantego nie ma —
«I któż z nim dzisiaj opłatkiem się dzieli?»

O! matko moja! gdy w wieczór, stroskana,
Modlić się będziesz przed Marji obrazem
Serc naszych głosy spotkają się razem.

I anioł święty poniesie przed Pana,
Jednej krzewiny dwa woniące kwiatki:
Modlitwę syna i modlitwę matki!

1835.

MOJA POEZJA.

Nieraz, gdy odczytuję wielkich Bardów pienia,
I chcę śpiewać podobnie, by dzielić ich chwałę —
I okiem mierzę niebo i myśli zuchwałe
Posyłam ku czarownym krainom marzenia —

Postrzegam się — że próżne moje wysilenia
I że do tego lotu me skrzydła za małe;
A jednakże w upadku serce we mnie śmiałe,
Czuje w głębi zarody wieszczego natchnienia.

I znowu zachęcony, skromną lutnię stroję,
Bo widzę, że przy róży ozdobnej w szkarłaty
Zakwitają mniej wonne i drobniejsze kwiaty;

Bo obok rzek szumiących, ciche szemrzą zdroje;
Bo za śladami orła co chmury przemija,
I poziomy skowronek ku niebu się wzbija!

1834.

DO KOCHANKI.

Kochanko luba! niegdyś imię twoje
Wiecznie w mych ustach, wiecznie w rymach brzmiało;
Dziś tylko wzdycham za braci mych chwałą,
Dziś tylko śpiewam ojczyznę i boje!

Niedawno jeszcze, twoich oczu dwoje
Jedynem światłem w mem niebie jaśniało;
Dziś biedna Polska moją myślą całą.
Dla niej me pieśni i wszystkie łzy moje!

Lecz w mej pamięci twój obraz nie ginie —
I nieraz w cichej dumania godzinie
Widzę cię, luba! w bóstw moich szeregu!

Tak bystra rzeka, choć ku morzu płynie,
Jednak odbija w szybkim swoim biegu
Kwiaty woniące na rodzinnym brzegu!

1833.

DO ADAMA MICKIEWICZA.

(POSYŁAJĄC MU KILKANAŚCIE SONETÓW.)

Pod Italji słońcem, na Prowanckiej ziemi,
Gdzie nigdy chmura niebios lazuru nie słoni —
Kędy Rodan, syn Alpów, śród skalistych błoni
Toczy się coraz szerszy falami płowemi;

Gdzie Rzymianie, na cudzej gospodarząc ziemi,
Wznieśli z głazów pomniki olbrzymie jak oni —
Gdzie dotąd echo pieśnią Trubadurów dzwoni,
Gdzie Petrark śpiewał miłość rymy tak dźwięcznemi;

Słodząc marzeniem długą wygnania tęsknotę —
Zerwałem kilka kwiatków i wianek z nich plotę:
Uczeń, dla ciebie Mistrzu! — Niechaj w twojej dłoni

Te drobne niezabudki, uszczknione przed porą,
Rozkwitną — i pod cieniem twej chwały nabiorą
Więcej barwy, powabu, świeżości i woni!

1834.

POŻEGNANIE.

DO Z. K.

Nie będę płocho skarżył przeznaczeniu
Że nas rozdziela — bo serc przyjacieli
Najdalszy zakres ziemi nie rozdzieli —
One ku sobie, w słodkiem zachwyceniu,

Spłyną po złotym marzenia promieniu. —
A wtenczas znowu radośni, weseli,
Dawnego szczęścia będziem obraz mieli:
Odżyję w twojem, ty w mojem wspomnieniu!

I jeśli kiedy w wieczornej godzinie
Obłok z północy ku tobie nadpłynie,
Pojrzyj na niego oczyma czułemi;

On ci przyniesie woń rodzinnej ziemi,
A z nią wspominki zbiegłego wesela,
Uścisk, westchnienie i łzy przyjaciela!

1828.

ZIMA.

Na ziemię, jakby całun, śnieżna padła szata,
Złoty blask słońca czarne przesłoniły chmury;
Wszystkie kwiaty powiędły i gaj już ponury
Bo w nim umilkła ptasząt gromada skrzydlata!

I w mojem sercu także zeschły róże lata,
Smutek zaciemnił chmurą myśli mych lazury -
Gwiazda nadziei blednie — a ptak złotopióry
Ptak o czarownym głosie — miłość, mnie odlata!

Ale niedługo wiosna na ziemię powróci,
Słońce ją opromieni i ze snu ocuci —
Niebo znów przyoblecze swą szatę błękitną;

Słowik zacznie piosenkę — i róże rozkwitną
Pośród szmaragdowego młodych łąk kobierca!
— A mnie, czyż nowa wiosna zawita do serca?

1850.

TĘSKNOTA DO WŁOCH.

W młodości, kiedy miłość sercu ku potrzebie,
Marzyłem o kochance — i w ziemskim obszarze
Widziałem tylko cudne ideału twarze,
Wejrzeniem i uśmiechem wabiące do siebie. —

O piękna Włoch kraino! dziś o twojem niebie —
O twej chwale przebrzmiałej w ciągłych walk pożarze —
O twych miastach, Madonach i gondolach marzę:
I jak kochanek wzdycham i tęsknię do ciebie!

Kiedyż piękna Florencjo, starożytny Rzymie,
Ujrzę wasze Muzea i gmachy olbrzymie,
Kiedyż dotknę marmuru co grób Danta kryje?

Kiedyż, pośród roskosznej Wenecji, co żyje
Jak syrena śród morza — śród czarnej gondoli
Zasnę, ukołysany dźwiękiem barkaroli?

1834.

HOMER.

Gdy po raz pierwszy, z nieba na ziemię Hellady
Proste i skromne dziewczę, Poezja zstąpiła:
Jej mowa nieuczona głosem serca była,
Nieznająca barwideł ni sztucznej ogłady. —

Tyś pojął jej natchnienia śpiewaku Iliady!
I choć twej wyobraźni gorejąca siła
Godnym Bogów językiem do ludzi mówiła,
Synu natury, szedłeś w matki twojej ślady!

Bardzie! dręczon ślepotą, w nędzy posiwiały,
Coś współczesnym otworzył złote bramy nieba,
Musiałeś u nich żebrać litości i chleba!

Cierniami kryta droga co wiedzie do chwały!
I każden liść wawrzynu, nim czoło otoczy,
Wprzód się krwią zarumieni i łzami się zmoczy!

1834.

DANT.

Mistrzu! gdy odczytuję twej muzy utwory,
Straszne jako biblijnych proroków widzenia,
Nie dziwi mnie żeś nucił tak ponure pienia
I brał do twych obrazów tak czarne kolory!

Gorycz dni twe zatruła — i od owej pory
Gdyś wygnaniec z ojczyzny, szukał bez wytchnienia
Dla siwej głowy twojej u obcych schronienia,
W własnem życiu znalazłeś do twych pieśni wzory!

Gibellinie! jęczałeś nad Florencji zgubą!
Kochanku! tyś Beatrix opłakiwał lubą!
I tak cierpienia duszy zorały twe lice,

Że nieraz, gdyś przechodził Rawenny ulice,
Matka strasząc swe dziecko, wskazując cię, rzekła:
«Oto, oto jest człowiek co powrócił z piekła.»

1834.

SZEKSPIR.

Stary orle poezji, coś głową zuchwałą
Trącił gwiazd — gdzie wieszcz żaden dzisiaj nie dolata,
Coś z dzieł swych stawił pomnik dla podziwu świata,
Boś poznał serce ludzi jak Fidiasz ich ciało —

Tyś, ni jak Dant, sięgając za olbrzymią chwałą,
Trudnym badaniom sztuki młode oddał lata —
Ni jak Bajron żeglował po przestworach świata,
Gdzie mu słońce Italji i Grecji jaśniało;

Tyś sobie wszystko winien — z myśli twych haosu
Jako Mojżesz ze skały — tyś wylał te rzeki
Poezji, których fale popłyną przez wieki!

Tyś z własnej piersi dobył potężnego głosu,
Którego echo brzmiące harmonijną burzą,
Najdalsze pokolenia na klęczkach powtórzą!

1834.

OSTATNI DZIEŃ OLIMPU.

(MYŚL Z HENRYKA HEJNE.)

W Olimpie radość, śpiewy — i śmiechy i gwary
Starego świata Bogi ucztują od rana. —
Siedzi Zeus przy Junonie, Mars obok Wulkana,
I Wenus modrooka z Pafijskiemi czary —

Wiecznie-młody Apollo, przy nim Saturn stary,
I łukowładna z srebrnym księżycem Diana —
Brzmi pieśń Cór Helikonu z dźwiękiem lutni zlana,
A nektar potokami toczy się w puhary!

W tem nagle, z stron Judejskich, wchodzi gość wybladły:
Krew mu z pod cierniów czoła i krew z rąk mu ciecze,
I na schylonych barkach krzyż ogromny wlecze!

I jak gdyby już stanął u kresu swej drogi —
Rzucił ten krzyż, jak piorun, na złociste progi —
A Olymp i świat stary — na proch się rozpadły!

1850.

SALVATOR ROZA I BAJRON.

Kto widział Salvatora posępne utwory,
Te bez drzew, najeżone skałami pejzarze,
Te w obrazach wyżółkłe i zdziczałe twarze,
Albo tańce czarownic, strzygi i upiory —

Kto odczytał Bajrona fantastyczne twory,
Gdzie śród pól krwią przesiąkłych, w klątw i szyderstw gwarze
Przechodzą Don Żuany, Dżiaury i Korsarze
I Manfred co zuchwałe z niebem toczy spory;

Ten przyzna, że natura w celach niepojęta,
W jednej formie odlała dwóch mistrzów talenta,
Jednem mlekiem karmiła wieszcza i malarza. —

Obaj, ciężkie śród ludzi wytrwali cierpienia,
Obaj gdzieś w piekieł głębi szukali natchnienia —
Ztąd genjusz ich: Zwątpienie i Rozpacz wyraża!

1835.

MALARSTWO WE WŁOSZECH.

Świetna poezjo pędzla na płótnie pisana!
Piękny to czas był, kiedy nad Włoską krainą
Tyle ci gwiazd świeciło — kiedy Perugino
Pierwszy nadał wdzięk rysom — gdy dotąd nieznana

Moc kolorytu, błysła pod pędzlem Tycjana,
Leonarda*), Andrei**) — gdy Rafał z Urbino
Wyniósł się nad współczesnych malarzy rodziną,
Jak lilja nad murawą co kwieciem usłana!

O! nie dziw mi, że w on czas świat mistrzów miał siła
Bo wówczas jeszcze wiara w sercach ludzkich żyła
I śmiertelni do niebios dróg nie zapomnieli!

I gdy malarz natchniony brał pędzel do ręki,
Wówczas na wzór — w promienne przystrojeni wdzięki,
Zstępowali przed niego Święci i Anieli!

1835.

MALARZE FLAMANDZCY.

Mniej pogodnego nieba pracowite dzieci,
Lubię was! — Czy to Teniers, albo Van Ostade
Przedstawia mi wesołą flamandzką biesiadę,
Gdzie dym fajki się snuje i kufel się świeci;

Czyli pędzel Rubensa, co gdzieś wyżej leci,
Budzi w płótnie madonę, albo nimf gromadę —
Czy Wuwermans maluje bitwę — albo zdradę
Łowców, co pędzą dzika w nastawione sieci;

*) Leonard da Vinci.
**) Andrea del Sarto.

Czy to głowy Rembrandta, Van Dyka portrety
Świecą się na tle czarnem jak z trumien szkielety,
Lub anioły Krayera z promiennemi pióry;

Lubię was! chociaż, wierni tłumacze natury,
Południowego w żyłach brakło wam zapału,
By tę piękną naturę wznieść do ideału!

1835.

ARTYSTA I KRYTYCY.

Kiedy myśl twórcza w głowie mistrza zajaśnieje,
Jak śród mózgu Jowisza Minerwa poczęta,
I kiedy jeszcze w zimne formy nie ujęta,
Przed rozwinięciem liści, na owoc dojrzeje;

I kiedy mistrz, na papier lub płótno wyleje,
Jak spiż wrzący, lub lawę, którą pierś rozdęta
Tę myśl, co gdzieś niebiańskim powiewem natchnięta,
Nadziemską jest — choć ziemskie kształty przyodzieje;

Jak smutno wówczas widzieć krytyków, gromady
Ludzi o zimnej duszy, co w artysty tworze
Wynajdują przywary i dają mu rady;

I pełzający w prochu — po niebios przestworze
Chcą mierzyć krótkim cyrklem tę drogę bez końca,
Którą orzeł skrzydlaty wzbija się do słońca!

1835.

SZTUKA STAROŻYTNA.

Wielkim był świat pogański — a społeczność stara
Runęła w grób, wieńcami chwały otoczony!
Lecz jakież dla ludzkości ostały się plony,
Z podbojów Aleksandra, z tryumfów Cezara?

Głośne a marne echo — cień — błądząca mara
Po smętarzach zamierzchłych dziejów — i nic więcej!
Bo każde dzieło gwałtu, czyn siły zwierzęcej
W proch idzie — cięży nad nim zapomnienia kara! —

Lecz twory ducha — myśli starożytnej dzieła,
Nieubłagana niczem — dłoń czasu nie tknęła:
Ostał się Homer, Wirgil i Księga Platona!

Żyje dotąd i hołdy potomnych odbiera
Apollin Belwederski, Florencka Wernera*),
I ów marmur jęczący grupy Laokona!

1854.

PAMIĄTCE RAJNOLDA SUCHODOLSKIEGO.

I tobie się Rajnoldzie moja łza należy —
Śpiewaku dźwięcznych piosnek, które młodzież cała
W świetnych dniach Listopada z dumą powtarzała,
I które przeszły w usta ludu i żołnierzy.

A kiedy naród cały do obrony bieży,
Tyś, porzucając lutnię co tak mile brzmiała,
Chwycił oręż w dłoń wieszcza — i na wrogów działa
Szedł z bagnetem, co z bliska w nagą pierś uderzy!

Szczęsnyś! bo w Ostrołęce śród rzezi i wrzawy,
Gdy krew twoja płynęła w czyste Narwi zdroje,
Wojsko szło do attaku nucąc pieśni twoje!

Szczęsnyś! bo kiedyś konał na szańcach Warszawy,
Słyszałeś krzyk zwycięztwa — i nie dożył chwili
W której wodzowie nasi w grób Polskę wtrącili!

1835.

---

*) Posąg greckiego dłuta zwany Wenerą medycejską, znajdujący się we Florencji.

ITALJA.

DO SCYPJONA DU ROURE.)

Ty, coś dwakroć Italskie przebiegł okolice
I okiem wieszcza widział Cezarów budowy,
Kopuły Buonarotta i groby Kanowy,
Madony Rafaela i Guida dziewice;

Powiedz, czy lud, co rzymskie zamieszkał dzielnice,
Ma duszę Rzymianina? — Czy z Lombarda mowy
Znać, że go niecierpliwią germańskie okowy?
A gdy przyjdzie godzina, czy wzniesie prawicę?

Czy w Neapolu pośród uciech i wesela
Lud rozpowiada czasem dzieje Mazaniela —
I wspominając przeszłość, płoni się z ohydy?

Czy w Palermie gadają o zemście Proczydy?
I czy w Modenie, młodzież śród nocy, kryjomie
Ostrzy sztylet na pustym Menottego domie?

1834.

PIUS IX.

Kłamcy rzekli: «Rzym wrogiem światłu i swobodzie!
«Rzym uświęca wtłaczane na ludy okowy. —
«I nie jeden z Papieżów, sługa Chrystusowy,
«Żył z Piłatami w zmowie, z Herodami w zgodzie!»

Patrzcie! ot zasiadł w świętym Watykanu grodzie
Syn światła, mąż, co czując duch i prąd wiekowy,
Na opoce wolności oparł krzyż Piotrowy —
I na lud swój radosny, zlewa łask powodzie!

I oto na głos Jego, Italskie narody
Ocknęły się z letargu — i biegną w zawody,
Kto większy plon uzbiera w tem żniwie swobody!

Ojcze święty! kończ dzieło godne twojej cnoty!
Niewola — to zabytek pogańskiej ciemnoty —
A wolność — to kwiat wzrosły pod krzyżem Golgoty!

1847.

DZIŚ.

Chmurno, straszno i piorun bije po piorunie. —
Stary świat się rozpada! — U jednych zwątpienie
Wkradło się w pierś — u drugich jeszcze trwa złudzenie
I czoło stroją kwieciem z stopą już w całunie!

Tamci znów oględniejsi — przy łyskawic łunie
Chcą podeprzeć ruinę — lecące kamienie
Własną krwią, jakby wapnem, lepią na sklepienie.
Zapóźna praca — gmach ten do przepaści runie!

Patrzcie! tam z ciemnych lochów, co w głębi się wiją,
Z błota wyrzuconego od wzburzonej fali,
Z młotem w żylastej ręce, nowi ludzie wstali —

I dla starego świata wyrok śmierci wyją!
Drugie Tytany wstały! — A gdzież gromca nowy
Zdolny dziś jąć i miotać piorun Jowiszowy!

1848.

JUTRO.

Kędy panowie świata ucztują śród wrzawy
Spieszy zgłodniała tłuszcza — szturmuje we wrota —
Już nie o miejsce prosząc u stołu żywota,
Lecz sama chce wyłącznie wszystkie zasiąść ławy!

Latwo zgadnąć: — przybysze, plac osiągną krwawy!
Wiek co ufał li w przemoc, czcił tylko wór złota,
Niechaj się o te złoto z przemocą szamota! —
I przegrana bez żalu i tryumf bez sławy!

Lecz zwycięzcy, na gruzach postawiąż gmach nowy?
Zaprawdę! niedołężność widna po ich dumie —
Zemsta potrafi burzyć — budować nie umie!

Oto bliskie ich jutro na niwie dziejowej:
— Na trupach zwyciężonych, zwycięzcy zmarnieli,
Bo w sercu ni miłości ni Boga nie mieli!

1848.

POJUTRZE.

Kiedyż promień nadziei w tej burzy zaświeci,
Zwiastujący po smutkach, Pociechy zaranie?
Kiedyż z tego chaosu nowy świat powstanie,
Z tych popiołów przeszłości inny Feniks wzleci?

Miejcie ufność o! wierne Chrystusowi dzieci!
Jego słowa się ziszczą i wola się stanie:
Cichym a miłującym przyrzekł panowanie —
Wam, danem będzie stawiać gmach Ludzkości trzeci!

Szczęśliwy, kto czekając śród zbłąkanych braci,
Dotrwa stale przy cnocie — nie ugnie kolana
Przed kłamstwem Antychrystów, pokusą szatana!

Szczęśliwy, kto nie zwątpi — rozumu nie straci —
I biegnąc, gdzie dzisiejsza pociąga go fala,
W błocie tryumfatorów dłoni nie pokala!

1848.

DO A. C.

Kiedy jeszcze w Europie cisza była głucha,
Tyś przeczuł że pod stopą grunt chwiać się zaczyna —
I że z epoki Ojca i z epoki Syna
Świat przejdzie w trzeci okres — do epoki Ducha!

I pękło już ostatnie ogniwo łańcucha —
W zegarze dziejów jęczy pogrzebu godzina;
Tu przestrach, bój i nędza, smutek i ruina —
Lecz z drugiej strony progu — Spokój i Otucha!

Ziemia drży przy porodzie — z piekielnych czeluści
Wybiegli kusiciele i mamią i nęcą,
Chcąc uczucia ludzkości zmienić w chuć zwierzęcą!

Ale Ojciec Niebieski sierot nie opuści.
Patrzcie! już ku nam zdala, z lazurów przezroczy,
W promiennym majestacie — Pocieszyciel kroczy!

1848.

PAMIĄTCE EDWARDA JEŁOWICKIEGO.

Stanął szereg żołnierzy nad Wiedeńską fosą,
Przed nimi Polak — na śmierć ofiara skazana —
Szydzi z wrogów, modlitwą korzy się do Pana,
A ostatnie go myśli ku Ojczyznie niosą.

Znać nie sytyś był Wiedniu tej krwi polskiej rosą
Którą niegdyś pancerni towarzysze Jana
Wylali w twej obronie — ni tą, co przelana
Na twój rozkaz, Kaimów galicyjskich kosą!

Dany znak — słychać strzały. — Bez zadrgnienia skroni
Jełowicki na kule pierś nadstawił nagą,
Z spokojem Chrześcianina, z żołnierza odwagą!

Poległ! — chwała ci, chwała, towarzyszu broni!
A hańba tobie wodzu habsburgskich siepaczy!
Męczennik ci przebaczył! — lecz Bóg czy przebaczy? —
1848.

DWA OBOZY.

Dwa obozy dziś stoją na obszarach świata.
Pod biały sztandar biegną przeszłości czciciele;
«Zachowywać, złe nawet» jedyne ich cele,
A ostatnim dowodem bagnet lub armata!

Po nad drugim obozem czerwona tkwi szmata,
Pod nią motłoch przesądza o przyszłości dziele:
«Niszczyć, choćby i dobre» krzyczą burzyciele
Naśladowcy bezbożnej zbrodni Herostrata!

I do którejże strony przywiązać się bardziej?
Tu potok krwi czerwony — tam kałuża błota —
Tutaj młody nierozum — tam stara ślepota!

— Zaprawdę! człowiek z sercem, obiema pogardzi!
I tym tylko dłoń poda, co pod hasłem Zgody,
Z dawną Wiarą i Cnotą — na tór wstąpią młody!
1849.

NA SZCZYCIE ALP.

(MYŚL Z G. HERWEGA.)

Jak tu lekko i lubo na Alp górnym szczycie!
Zdaje mi się iż blisko mego Stwórcy stoję,
Że mógłbym ręką sięgnąć o niebios podwoje
I westchnieniem, z ziemskiego w wieczne wionąć życie!

Że mógłbym bezboleśnie rozlać się w błękicie,
Jak brzask światła, woń kwiatów — że jestestwo moje
Mogłoby się rozpłynąć jak rosa na zdroje —
Ulecić jak dźwięk harfy w akordu zachwycie!

— O! nie! ty nie popłyniesz jak światło w niebiosa;
Ty nie wzlecisz jak zapach z kwietnego kielicha;
Nie stopisz się bez cierpień jak poranna rosa!

Tylko naturze dana śmierć słodka i cicha!
Sercu ludzkiemu dłuższa naznaczona męka:
Ona kona powoli — kawałkami pęka! —

1851.

NOC PROWANCKA.

O! jak miło w Prowancji, po dziennym upale,
Kiedy słońce, zstępując po niebie bez chmury,
Zatonie jak łódź w morzu, za skalnemi góry,
A księżyc z bladem licem wypłynie wspaniale

Na rozkwitłe gwiazdami lazurowe fale —
Jak miło wówczas wielbić piękności natury,
Zasłyszeć śpiew słowika, albo szum ponury
Potoku, co na bliskiej roztrąca się skale!

Piękna nocy Prowancka! — Upały dziennemi
Utrudzony, oddycham w twą samotną ciszę
Jak Farys Mickiewicza, piersiami całemi!

A gdy śpiew serenady gdzieś zdala posłyszę,
Myślę że los mnie przeniósł do Italskiej ziemi —
I że czarna gondola do snu mnie kołysze!

1834.

DO ***.

Gdybym żył w owych wiekach męstwa i natchnienia,
Gdy w Prowanckiej krainie — dla chwały kochanki
Rycerz, kryty żelazem, w zbrojne wjeżdżał szranki,
A Trubadur w ofierze niósł miłosne pienia —

Ty byłabyś boginią mego uwielbienia!
Rycerz — twoje kolory niósłbym w chwały szranki,
Trubadur — tobie wiłbym z rymów moich wianki,
Woniące dźwięcznem echem twojego imienia!

Z hebanem bym porównał kolor twych warkoczy,
Z gwiazdami bym pobratał twe promienne oczy;
Perłowa białość śniegów mej ojczystej ziemi

Musiałaby ustąpić przed licami twemi —
A gdybym chciał malować ust twoich szkarłaty,
Zawstydziłbym ich barwą całej ziemi kwiaty!

1834.

AIX.

Aix, miasto o pałacach świecących herbami,
Gdzie biali penitenci, w kaptur skrywszy twarze
Noszą w odkrytej trumnie zmarłych na smętarze —
Aix, gdzie żywi w ulicach jeżdżą lektykami;

Aix, kędy kochankowie pod lubej oknami
Palą huczne szmermele — albo przy gitarze
Nocą, śpiewają piosnki — Aix, kędy ołtarze
Chrysta, podparto rzymskich świątyń kolumnami.

Miasto dawnych pamiątek, przesądów i dumy!
Gdy śród upałów letnich twe place bez cienia
Są bez ruchu i życia jak twój król z kamienia;*)

Myślałbym że twa ludność wymarła od dżumy,
Gdyby gdzieniegdzie z okna, przez żaluzji zwoje
Nie patrzyło miłośnie czarnych oczu dwoje!

1835.

MARSYLJA.

Dawna Aten siostrzyco! przy kolebce twojej
Brzmiały pieśni Homera — Praxytela bogi
Zdobiły marmurowe świątyń twoich progi,
A kolumny Korynckie stały u podwoi;

Rycerskie syny twoje w średnich wieków zbroi,
Ogniem Wiary zagrzani, spieszyli, bez trwogi
Pogramiać w Palestynie Chrześciaństwa wrogi
Lub przeciw królom bronić udzielności twojej!

Później — wzgardziłaś dawną praojców potęgą,
Wygnałaś sztuki piękne, zapomniałaś Wiary
I na żagiel zmieniłaś wodzów twych sztandary:

Dziś weksel, lub gazeta, poezji twych księgą,
Statki w towar ładowne podbojów twych flotą,
Giełda twoją Świątynią, a twym Bogiem — złoto!

1834.

AVIGNON.

W owych wiekach, gdy gromy Papiezkiego tronu
Przerażały Europę — jak dziś królów trony
Przeraża rozpacz ludów — wówczas świat zdziwiony
Przed twojemi bramami bił haracz pokłonu;

*) Posąg króla René d'Anjou.

Dziś wędrowiec zagnany po nad brzegi Ronu,
Widząc zamek Klemensa w gruzy rozwalony,
Pyta ruin co kryją trzech Papieżów trony,
Gdzie się podziała dawna świetność Avenjonu?

Przed wieki, wieszcz, wygnany z rodzinnego sioła,
Spotkał pośrod twych murów, marzeń swych anioła —
I splatał z dźwięcznych rymów wieńce dla jej czoła!

Dziś, tu chwała Papieżów w zapomnieniu drzymie!
Ale chwała poety żyje w jego rymie
I lud powtarza Laury i Petrarka imię!

1834.

ŚWIĘTA GROTA (La sainte Baume.)

W pięknym kraju Prowancji, śród wyniosłej góry,
Góry granitowemi najeżonej skały,
Którą zieloną szatą sosny przyodziały,
A srebrnym baldachimem ocieniają chmury. —

Bieleją się klasztoru opuszczone mury,
Gdzie pustelnik samotny, wiekiem posiwiały,
Wskazuje wiernym miejsca, co niegdyś widziały
Żal i łzy Magdaleny, śród groty ponurej. —

O! córo Galilei, nadobna grzesznico:
Kobieto z czułem sercem — której nie łez zdroje,
Ale miłość otrwarła do niebios podwoje!

Lubię widzieć twój obraz, piękna pokutnico,
Jak cię Tycjan malował — w głębi ciemnej groty,
Osłonioną jak płaszczem, w jasnych włosów sploty!

1834.

DOM CZWOROKĄTNY W NIMES.*)

Arcydzieło budowy! domie, czy Świątnico!
Ty nie dziwisz ogromem — jak Sezostrysowe
Piramidy — ni zbytkiem ozdób, jako owe
Katedry średnich wieków z przejżystą wieżycą!

Ani posągi z brązu na twych progach świecą,
Jak na gmachach Weneckich — ni cię marmurowe
Odziały płaskorzeźby — jak domy grobowe,
Co na przedmieściach Rzymu ciągną się ulicą!

Tyś naga, strojna jednym powabem — prostotą,
Jak Zuzanna w kąpieli, jak Nimfa Hellady,
Jak poezja biblijna, albo pieśń Iliady: —

Od zniszczenia ja ścianą okryłbym cię złotą,
I dachem z dijamentu — aby wnuków wnuki
Mogły w tobie uwielbiać arcydzieło sztuki!

1835.

ARENY RZYMSKIE W ARLES.

W średnich wiekach gdy walki w Europie wrzały,
Królowie i Książęta i możne Barony,
Nieufni jedni drugim — dla życia obrony
Budowali warownie na wierzchołkach skały. —

A jeżeli z nich który, nie syt ziemskiej chwały,
Chciał po roskoszach życia, mieć raj zapewniony,
Zakupywał odpusty — a ksiądz zbogacony
Stawiał liczne kościoły o wieży wspaniałej. —

*) Dziwnej piękności budynek, przechowany z czasów rzymskich i zwany dziś: La maison carrée.

Rzymianie, pany świata, ufni swojej sile,
Wznosili swoim wodzom bramy z godłem sławy,
A zwyciężonym ludom, cyrki dla zabawy.

Dziś te pomniki sterczą na Rzymian mogile:
A wędrowiec, gdy ogrom tych mass go zatrzyma,
Patrzy na nie, jak karzeł na szkielet olbrzyma!

1835.

KORSYKA.

W innych krajach, wędrowiec co chwila spotyka
Bogatych miast wieżyce, tonące gdzieś w chmurach.
Co chwila go zatrzyma wzniosły szczyt pomnika,
Kędy przeszłość odżywa w bronzach i marmurach;

Korsyko! w twych ku niebu wybujałych górach,
W twych lasach, których postać ponura i dzika,
W ubogich chatkach wiosek i w miast twoich murach,
Napróżnom szukał wspomnień przeszłości promyka —

Lecz w sercu twego ludu zdziwiła mnie cnota,
Nieznana dziś u możnych Europy narodów —
Gdzie egoizm zamieszkał śród złoconych grodów.

Tutaj w poziomej chacie górala — prostota,
Wiara dawna i szczerość i gościnność żyje,
A każde serce żywo dla wolności bije!

1833.

WSPOMNIENIE KORSYKI.

Pośród gór korsykańskich jest wioska w ustroni,
Śród wioski, dom z granitu, w drzew roskosznym chłodzie,
A przy tym domu ogród, a w owym ogrodzie
Altana co ją mirty i krzew winny słoni;

W tej altanie, śród kwiatów południowych woni,
Siedziało dziewczę, równe aniołom w urodzie,
A przy niej co wieczora, o słońca zachodzie
Siadywał obcy młodzian, jej dłoń w swojej dłoni!

I w oczach ich przeglądał uczuć promień czysty:
I serca jak dwie lutnie jednym taktem biły —
I usta miały mówić co serca mówiły.

W tem młodzian nagle wspomniał na kraj swój ojczysty
I na kochankę, której przysiągł wierność stałą:
I wyznanie miłości w ustach mu skonało!

1833.

BAD—BADEN.

Cóż to za sen uroczy spłynął mi z wysoka?
Widzę cudny krajobraz — w okół, niby fale,
Świerkami strojne góry piętrzą się wspaniale —
Niżej, niby kobierzec, dolina głęboka!

A jak może dosięgnąć rączy promień oka,
Szmaragdy łąk się błyszczą przy nieba krysztale —
Tu złoto winogradu — tam kwiatów korale —
I lazur wód rozwitych jak wstęga szeroka!

O! znana mi! — pamiętam! — znana okolica!
W przedkolebkowem życiu bujałem w tym kraju
I odtąd tęsknię za nim — to dolina raju!

— Lecz ja nie śnię! — Ten widok który mnie zachwyca,
Obraz, któremu w świecie nie dorówna żaden,
To ziemia podsłoneczna; a ten kraj — to Baden!

1848.

FLORENCJA.

Nimfo z nad Arno w wonne imię przystrojona*),
Marząca na usłanej kwiatami dolinie
O chwale twej przeszłości, której ślad nie zginie,
Bo i pędzlem i dłutem i lutnią wsławiona;

Kto czując wieszczy zapał śród młodego łona,
Spieszy z sercem artysty ku włoskiej krainie,
Pewno twych średniowiecznych murów nie ominie,
Bo na nich długo kwitła potrójna korona

Sztuk pięknych — bo malarze, snycerze, poeci,
Biegli zewsząd na pierś twą i pod skrzydła twoje,
Jak pszczoły do pasieki, jak ptaki nad zdroje!

Świętaś ty między miasty — bo w gronie twych dzieci,
Których imiona błyszczą w pamiątek świątyni,
Był Dant i Buonarotti, Vinci i Cellini!**)

1885.

RZYM STAROŻYTNY.

Romo Cezarów, której hołdował świat cały!
Gdzież twych cyrków, pałaców i świątyń tysiące,
Wyrzeźbione w marmurach, greckim spiżem lśniące?
Twe termy i teatra kędyż się podziały?

Z Koloseum olbrzymie gruzy pozostały —
Z portyków Forum, szczątki gdzieniegdzie sterczące —
Zapadły Łuk tryumfu — i na proch lecące
Resztki gzymsów i kolumn bezkształtne kawały!

. . . . . .

*) Wiadomo że nazwanie Florencji pochodzi od słowu włoskiego Fior, kwiat.

**) Leonardo da Vinci, malarz, i Benvenuto Cellini, snycerz.

O! te po siedmiu wzgórzach rozsnute ruiny,
To kara zasłużona — należna zapłata
Za katowanie Chrześcian — za łupieztwo świata —

Za proskrypcje Sylli, za rzezie Marjusza —
Za szaleństwa Nerona, zbrodnie Tyberjusza
I niewypowiedziane zbytki Messaliny!

1854.

BAZYLIKA ŚWIĘTEGO PIOTRA W RZYMIE.

Kiedy, po ciężkich próbach, Kościół Chrystusowy
Ujrzał świat cały kornie przed krzyżem ugięty,
Przedsięwzięli Papieże, na cześć Wiary świętej,
Niebotycznym pomnikiem pokryć grób Piotrowy.

I znalazł się architekt, znalazł Tytan nowy*)
Co, nadziemską przedmiotu wielkością przejęty,
Skreślił plan, darem Ducha bożego natchnięty,
Niezrównanej przepychem i wzrostem budowy.

Na olbrzymiem, w kształt krzyża wygiętem, sklepieniu
Wzniósł kopułę olbrzymią — kolos na kolosie,
Jak niegdyś Briareus, Pelijon na Ossie!

Pięć bram szerokich wykuł w kościoła przedsieniu —
A z dwóch stron, dwa portyki pełne majestatu
Wyciągnął, jak ramiona roztwarte ku światu!

1854.

---

*) Michał Anioł Buonarotti.

OKOLICE RZYMU (Campagna di Roma).

U stopni grobowego Metelli pomnika
Nad gościńcem Appjusza*) wypocząwszy chwilę,
Błąkam się po tej smutnej, przeszłości mogile,
Która w stepowy całun, stary Rzym zamyka.

Pola nietknięte rydlem, ni pługiem rolnika —
Ani domu, ni drzewa — tylko gruzów tyle
Bez daty i nazwiska, zapomnianych w pyle!
Zgliszcza Wandalskich pożóg — ślad stóp Alaryka!

Z potęgi jak świat wielkiej, o! nędzo bez miary!
Wzdłuż dróg, któremi niegdyś w złoconych rydwanach
Śród okrzyków, zwycięzkie wracały Cezary:

Stada wołów się pasą po bezludnych łanach —
A tu i ówdzie, pasterz schorzały i stary
Żebrze — w podartej togi praojców łachmanach!

1854.

NEAPOL.

Jak rozkochany młodzian, klękły przed dziewicą,
Topi wzrok w jej spojrzeniu — i radby w zachwycie
Tak przeklęczyć, przepatrzeć i przemarzyć życie,
Pod dwóch gwiazd promieniami co z czoła jej świecą;

Tak jam patrzył na ciebie, cudna okolico,
W której biały Neapol, jak lilja w rozkwicie
Przegląda się miłosnie w morskich fal błękicie,
Ozłocony włoskiego nieba błyskawicą!

*) Via Appia.

Tu, naprzeciw Wulkanu, co grozi dniem sądu
Lud wesoły, pod cieniem gajów pomarańczy,
Przy dźwięku mandoliny, śmieje się i tańczy!

Tu każda wyspa golfu, każda stopa lądu
Od rumowisk Pompei, aż po grób Wirgila,
Wiecznie wdzięczy się, stroi, nęci i przymila!

1854.

POMNIK KOŚCIUSZKI W ZUCHWYŁ POD SOLURĄ.

Żeglowałem przez jezior Szwajcarskich błękity —
I wzrok mój zczarowany, szczeblując do góry,
Przez sioła i szalety, przez skały i chmury,
Biegł — aż na Alp śnieżystych niedostępne szczyty!

I wąwóz Grindelwaldu, lodami pokryty,
Odkrył mi swe przepaście i swych grot lazury —
I Gisbachu wodospad huczał mi swe chóry —
I Jungfrau dała dotknąć swoich stóp granity!

Przecież w krainie Tela, pośród cudów tylu,
Więcej wzruszył mi serce, niż góry, potoki,
Skromny pomnik z kamienia smętarzu Zuchwylu.

W nim zwycięzcy Racławic spoczywały zwłoki —
Wprzód nim Matka Ojczyzna przyszła tu w żałobie
Zabrać ten skarb i złożyć w królów swoich grobie!

1850.

JUNGFRAU PRZY ZACHODZIE SŁOŃCA.

W chwili gdy słońce letnie kończy obieg dzienny,
Gdy z samotnego wzgórza, myśl moja jak strzała,
Po szczytach Oberlandu gdzieś w niebo leciała,
Spotkałem okiem Jungfrau wierzchołek promienny!

O! przepychu natury, wyższy nad dziw senny!
Góra dziewiczym śniegiem brylantowa, biała,
Nagle się jak rumieńcem, purpurą oblała
I zda się płonąć ogniem w przestrzeni bezdennej!

Lecz zwolna blednie, gaśnie — różanna purpura
Na szafir się zamienia — szafir na opale —
Aż w końcu, w nocnym mroku stopiła się góra!

— Tak w nas wszystko co ziemskie, choć błyszczy wspaniale,
Młodość, wdzięk i uroda — po chwilce istnienia
Blednie — mija — i znika we mgle zapomnienia!

1850.

NA JEZIORZE THUNE W SZWAJCARJI.

Szklanne jeziora fale rączy statek porze —
Tłum podróżnych podziwia te niebios lazury,
Te brzegi szmaragdowe i te srebrne góry;
I powtórny ich obraz odbity w jeziorze!

Włoch wziął papier — rysuje pejzarz na tym wzorze:
Anglik czyta w Handbuku*) opis tej natury —
Francuz wychwala głośno ląd, wody, ich chmury,
Szwajcar prawi o nowym Vorrortu wyborze.

*) Zauważałem że Anglicy w obec najpiękniejszych widoków natury, zamiast patrzeć i uwielbiać, zawsze najsamprzód czytają opis miejscowości w dziele Murray'a, pod tytułem Handbook.

Polak stał zadumany i patrzał milczący
Na tych skarbów przyrody widok czarujący,
I z oczu mu spłynęła cicha łza wzruszenia!

O! byłby to hymn hymnów, godny brzmieć na chwałę
Temu, co stworzył ludziom cuda tak wspaniałe,
Gdyby tej łzy uczucia mogły zlać się w pienia!
1851.

(Z FILICAJA.)

Italia, Italia, o tu, cui feo la sorte.

Italjo, Italjo! którą przystroiły
Losy w zgubny dar wdzięków — co dzisiaj jedyną
Nieszczęść i mąk i cierpień twoich są przyczyną,
I błyszczą na twem czole jak napis mogiły;

Obyś miała mniej ponęt albo więcej siły!
Wówczas ci, co nad twoją pracują ruiną,
Mniejby lgnęli do ciebie nieszczęsna kraino,
Lub by się ich podstępy o twą moc rozbiły!

A wówczas bym nie widział najezdników hordy
Spływające z Alp szczytu — ni obcego zbira
Pijącego nurt Padu, co twą krwią przybiera.

Ni byś jęczała w więzach — na łupież i mordy
I na obcą niewolę wiecznie przeznaczona,
Zawsze — czy to zwycięzka, czy to zwyciężona!
1833.

BURZA

(Z SAINTE-BEUVE.)

Raz w noc ciemną czuwałem — i w pierś mą tęskliwą
Spływały wolnym biegiem urocze marzenia —
Gdy nagle, tętniąc stopą przez niebios sklepienia
Błyskawica, jak rumak z płomienistą grzywą

Przeszła — a za nią piorun swą osią straszliwą
Zatrząsł ziemię — i w owej chwili przerażenia,
Jakoby na głos Boga, wszelakie stworzenia
Ukryły w głębi jaskiń głowę swą lękliwą.

Lecz ja, jam się nie uląkł — przy niebieskiej łunie
Mój umysł się zapalał — i każdy grom z góry
Rozdzierał błyskawicą czoła mego chmury!

I byłem szczytną harfą w tym natury śpiewie;
Człowiek, czułem się wyższym od żywiołu w gniewie
I Bóg przemawiał we mnie głośniej niż w piorunie!

1835.

(Z PETRARKA.)

In qual parte del cielo, in qual idea.

Jakąż myślą natchniona, w jakiejż strefie raju
Natura brała wzory na tych lic pieszczoty,
Strojnych w takie powaby, w taki urok złoty,
Jakich jeszcze w podniebnym nie bywało kraju?

Jakaż Nimfa nad zdrojem, Bogini śród gaju,
Piękniejszych kiedy włosów rozwinęła sploty?
I byłoż kiedy serce tak bogate w cnoty
Jak tej, co w dni mych jesień zniosła promień maju?

Próżno szuka anielskiej urody obrazu
Ten, kto Laury oblicza nie widział ni razu.
Dla kogo nie zajaśniał wzrok jej czarowniczy!

Próżno chce pojąć miłość, kto wyrokiem losu
Nie zaznał harmonijnej słodyczy jej głosu,
Słodyczy jej uśmiechu i westchnień słodyczy!
1833.

ALLEGRI

(Z AUGUSTA BARBIER.)

Jeśli w młodem mem sercu dawna wiara znika,
Zapał w niem do sztuk pięknych pozostał nietknięty,
Niewzruszony jak marmur, jako pomnik święty,
Któremu słońce zsyła złoty blask promyka!

I dlatego Allegri, twa stara muzyka
Dla chrześciańskiej mej duszy ma wdzięk niepojęty;
I wracam, przyciągniony głosu jej ponęty,
Zlewać stopnie ołtarzy łzami pokutnika.

I natenczas mój umysł zwątpiały i zimny,
Mój umysł się powoli odrywa od świata
I wraz z twemi pieśniami ku niebu ulata!

I jak niegdyś Perugin, śród jasnych obłoków,
Widzę w białych ich szatach Świętych i Proroków,
Przy dźwięku złotych lutni śpiewających hymny!
1835.

(Z PETRARKA.)

I vidi in terra angelici costumi.

Widziałem ja na ziemi nadziemską dziewoję,
Strojną w cnoty anioła — odtąd grot miłości
Dręczy mnie — bo, przy cnot tych i wdzięków jasności,
Wszystko zda mi się cieniem, ćmiącym pamięć moję;

Widziałem zlane łzami pięknych oczu dwoje,
Tych oczu, którym słońce promieni zazdrości —
I słyszałem wyrazy smutku i żałości,
Zdolne poruszyć góry i zatrzymać zdroje!

Miłość, litość, tęsknota, żal nieutulony
Tworzyły w owym płaczu harmoniję miłą,
Jakowej nigdy ziemskie echo nie odbiło —

I tak niebu przyjemne były owe tony,
Że wiatr się ułagodził — i w cichym powiewie
Nie śmiał kołysać listków szemrzących na drzewie.

1833.

ITALJA

(ZE SCYPJONA DU ROURE.)

O! Italjo! arcydzieł Sztuki Panteonie!
Gdzie niebo zawsze jasne, gdzie gmachy z kamienia,
Wieńczone w wzniosłe wieże lub w kopuł sklepienia,
Religijne uczucie w młodem budzą łonie;

Italjo! kędy kwiaty milsze mają wonie —
Gdzie kochankowie, skryci śród kościołów cienia,
Modląc się, posyłają miłosne wejrzenia;
Gdzie w Czerwcu już kłosami kołysze się błonie;

Italjo! gdzie nieznana tęsknoty godzina;
Gdzie w chwilach karnawału, w wieczór przy księżycu
Dziewczęta spieszą w tany z maskami na licu —

O! któżby cię nie kochał! — mimo karabina
Kalabryjskiego zbójcy, co za łupem spieszy,
I którego za piastra lada mnich rozgrzeszy!

1835.

(Z TORKWATA TASSA.)

Negli anni acerbi tuoi, purpurea rosa.

W wiośnie życia twojego tyś się wydawała,
Różą, strojną w szkarłaty, co dziewiczych zwoi
Na ciepłe dnia promienie odsłonić się boi —
I śród liści zielonych kryje się nieśmiała.

Albo raczej jaśniałaś jak jutrznia wspaniała,
Co, wypływając rankiem z niebieskich podwoi,
Wierzchołki gór wyniosłych złotym blaskiem stroi
I srebrnemi perłami doliny zasiała!

Wiek dojrzalszy nic twojej nie ujął piękności —
I żadne dziewczę młode we wdzięków ozdobie
Nie zdoła cię przewyższyć ni wyrównać tobie.

Tak kwiat, gdy już rozwity, ma więcej wonności —
A słońce, gdy godzina południa mu bliska,
Jaśniejszym i gorętszym promieniem połyska!

1833.

AIX

(Z WIKTORA DE LAPRADE.)

Gdy wieczorem w dolinie Aix ci się odsłania
Od strony Avenionu, papiezkiego grodu,
Gdzie Rzym zostawił, jakby ślad swego przechodu,
Dłoń skorą do sztyletu, a pierś do kochania —

Kiedy już wchodzisz w miasto — ocuć się z dumania,
Patrz, a ujrzysz przed bramą, pośród drzew obwodu,
Krzyż wielki, ozłocony promieńmi zachodu
I u stóp kilku starców, klękłych dla błagania!

I naprzeciwko Chrysta — co oczy wzniesione,
Jakby chcąc błogosławić zwraca w miasta stronę —
Drzewo republikańskie w Lipcu zaszczepione;

A jeżeli w twem łonie, serce nie z kamienia,
Zapewne uszanujesz wyrazem wzruszenia
Wzrosłe godło wolności przy godle zbawienia!

1835.

PRZEDŚMIERTNY ZAPIS

(Z L. UHLANDA.)

Średniowieczny Trubadur i Rycerz zarazem,
Na błoniach Palestyny długo walcząc z chwałą,
Gdy padł, na wskroś przeszyty muzułmańską strzałą,
Przed skonaniem, do germka rzekł takim wyrazem:

«Skoro biedne me serce martwym będzie głazem,
«Włóż je, o wierny germku, w oną urnę białą,
«Którąm przywiózł z ojczyzny — i odnieś je cało
«Tej, z której ono żyło i zmarło obrazem.»

Tak dziś ja, o! najmilsza! przebolały smutkiem,
Gdy po długim rozdziale a spotkaniu krótkiem,
Srogi los mnie przymusza rzucać cię powtórnie: —

Gdy zda mi się, że śmierci otacza mnie chmura —
Szlę ci to wierne serce twego Trubadura
Zasklepione w sonetu kryształowej urnie!

1851.

TADEUSZ KOŚCIUSZKO

(Z AUGUSTA BARBIER.)

Krwią zbroczony, wrogami otoczon do koła,
Bez sił padając z konia między trupów stosem,
Na polu Maciejowic — konającym głosem
Rzekłeś: Finis Poloniae*), myśląc że cię woła

Już grób w swoje objęcia. — Lecz skrzydło anioła
Strzegło cię, roztoczone nad dni twoich losem;
I śmierć nie śmiała dotknąć gotowym już ciosem,
Namaszczonego palcem Bożym twego czoła. —

---

*) Wiadomo że słowa te puszczone w obieg i powtarzane przez pisarzy zagranicznych, są fałszem historycznym. — Sam Kościuszko jeszcze za czasów Napoleona I., umieścił w dziennikach francuzkich protestację przeciw tej błędnej tradycji.

Tak i z twoją Ojczyzną o rycerzu dzielny,
Tak i z Polską dziś twoją, ciągnioną bezkarnie,
Jak niegdyś Chrystus Pan nasz, na krzyża męczarnie:

Napróżno wróg ją w całun obwija śmiertelny
I pozornym jej zgonem napróżno się łudzi:
Bóg zachował w niej życie — i ze snu ją zbudzi!

1844.

III.

DZIEŃ ÓSMY WRZEŚNIA 1831 W KRAKOWIE.

(OBRAZ FANTASTYCZNY.)

(Mnóstwo ludzi na przechadzce otaczającej Zamek Krakowski — miejscami stoją grupy z kilku osób złożone — wszędzie toczy się żywa rozmowa.)

I-szy OBYWATEL (zbliżając się do jednej z grup).

Witam Panów! jakże zdrowie?
A co tam słychać sąsiedzie
Od Warszawy?

II-gi OBYWATEL.

Źle się wiedzie;
Moskale już w Bolimowie.
A w Warszawie, w tej godzinie
Sejmikują — wrzask na nowo —
Ród nasz zawsze grzeszył mową
To też i od mowy zginie!

III-ci OBYWATEL.

Ja słyszałem dzisiaj rano
Dobre wieści od bankiera;
On upewniał — że wysłano
Z Romaryną korpus liczny,
Który Moskwie tył zabiera.

II-gi OBYWATEL.

Plan wyborny, pomysł śliczny
We dwa ognie wziąść Moskali —
Byle tylko wykonali!

I^{szy} OBYWATEL.

Warszawa oszańcowana
Silny szturm wytrzymać może;
Odeprze wojska tyrana
I zwycięży — —

II^{gi} OBYWATEL.

Daj nam Boże!

III^{ci} OBYWATEL.

Za Kościuszki, Mości Panie!
Sroższe było szturmowanie;
A choć wał był ladajaki
I chociaż nas oblegali
I Moskale i Prusaki,
Przecieśmy się im nie dali!

GŁOS (w bocznej grupie).

Ach, co widzę! —

KILKA GŁOSOW.

Co to, co to?
Ten krzyk wielki!

MŁODZIENIEC (z podniesioną ręką w górę).

Czy widzicie
To zjawisko z tęczą złotą,
Na zamkowej wieży szczycie?
(Mnóstwo ludzi biegnie w tę stronę.)

ELEGANT (wkładając okulary).

Ma parole! ja z żadnej strony
Nic nie widzę — oprócz wrony,
Co kracząc siedzi na krzyżu!
A mam sławne okulary,
Bo kupiłem je w Paryżu
Za trzy francuzkie talary,

U najlepszego optyka
Tuż przy posągu Henryka

UCZONY.

W czas jak dzisiaj, ja wam ręczę,
Niepodobna ujrzeć tęczę.
Młodzieniaszek duby bredzi,
Łatwowiernych ludzi zwabia:
Bo jak słusznie rzekł Pan Hrabia,
Na wieżycy wrona siedzi!

MŁODZIENIEC (z uniesieniem).

Czy widzicie, czy widzicie
Jaka gore błyskawica
Na zamkowej wieży szczycie?
Tam stoi blada dziewica
Modrooka, krasnolica!
Włos jej długi, rozpuszczony,
Nie w warkocze utrefiony,
Lecz się rozlał po kibici,
Jako płaszcz ze złotych nici
I płomiennym blaskiem świeci!
A po włosów tych obsłonie,
Jako perły po bursztynie,
Za kropelką kropla płynie
I przecieka po jej łonie.
Przemoczone na niej szaty — —
W muszle, w trzciny, w wodne kwiaty
Przystrojona i okryta —
Iż się zdaje patrząc po niej,
Że znów druga Afrodyta
Wyszła na świat z morskich toni!

(zatrzymuje się)

Czy widzicie scenę nową?
Białą dłoń podniosła w górę
I rozwiała jakby chmurę
Czarny sztandar po nad głową —

I ze łkaniem nam powiada:
Biada — biada — biada — biada!

(Głos mu słabnie — chwieje się)

Patrzcie! — w drugiej —

(pada zemdlony.)

TŁUM.

Co on gada?
Nic nie widać na wieżycy,
Nic nie słychać w okolicy.

Iszy OBYWATEL.

Młodzik mózg ma przewrócony,
Mente captus; plecie, baje
Banialuki i androny —
Piątej klepki mu nie staje!

IIgi OBYWATEL.

Ale widmo, jak na stracha
Dosyć ładne —

TŁUM (śmiejąc się).

Cha, cha, cha, cha!

DOKTOR (nadchodząc).

Co ja widzę? to Pan Klemens
Syn mojego gospodarza!

(Schyla się i maca puls.)

Puls ten mocno mnie przeraża!
Tak! to jest delirium tremens!
Zawsze casus się ten zdarza,
Gdy krew buchnie ku mózgowi —
Lancet zaraz go uzdrowi!

(Szuka po kieszeniach instrumentów).

UCZONY (do Eleganta).

Widzisz Hrabio że mam rację,
Co mówiłem ci przed chwilką:

Że te wszystkie egzaltacje
Te marzenia — te widziadła —
Duchy — djabły — i anioły
I upiory — to są tylko
Plonem romantycznej szkoły,
Co się z Niemiec do nas wkradła
I przewraca mózg młodzieży.

POLICJANT.

Chory drogę tu zawala —
Jeśli warjat — to należy
Nieść go prosto do szpitala
Bonifratrów —

TŁUM.

Patrzaj no go!
Burmistrzować ci się chciało?
Idźże sobie swoją drogą,
Jeśli chcesz się wymknąć cało.

(Lud wypycha policjanta.)

KOBIETA.

Gdy w zamkową patrzył wieżę,
Serce we mnie silnie biło —
Nie widziałam, ale wierzę
Że co mówił, prawdą było!

STARZEC (występując z tłumu).

I ja wierzę i nie szydzę,
Choć w tej chwili nic nie widzę —
Ale klnę się na włos biały,
Na Chrystusa, na zbawienie,
Że podobne już widzenie
Oczy moje oglądały;
Oglądały tu, w tem mieście,
Lat temu blisko czterdzieście!
Z późnym wiekiem pamięć znika —
Ale pomnę że to było
Dziesiątego Października,

W roku — gdy się wojsko nasze
Pod Kościuszką z Moskwą biło.*)

(Młodzieniec przebudza się i słucha.)

I ujrzałem na wieżycy
Widmo młodej topielicy
Jasnowłosej krasawicy!
Białe ręce wzniosła w górę
I rozwiała jakby chmurę
Czarny sztandar po nad głową.
Twarz dziewicy była blada
I jęczała smutną mową:
Biada — biada — biada — biada!

(Tłum się zwiększa obok starca.)

Mnóstwo przy mnie stało ludu,
Ale nikt nie widział cudu,
Nikt nie słyszał przepowiedni!
I szydzono ze mnie. — Biedni!
Nie wiedzieli, że w noc drugą
Płacz się zacznie — i na długo! —

(Po krótkiem milczeniu.)

Co przeczułem, to się stało:
Bo w tym samym dniu, godzinie,
Gdy się widmo ukazało —
W Maciejowickiej dolinie
Padł Kościuszko w ręce wroga,
A z nim i Polska nieboga!

(Wielki przestrach — lud załamuje ręce — słychać krzyk rozpaczy.)

ELEGANT (cicho do uczonego).

Chodźmy — il faut w tłum się schować,
Bo ta dykteryjka dziada
Wcale mi w gust nie przypada
I może skompromitować.
Gdy konsul ruski, przypadkiem
Saura, jak się to rozgłosi,

---

*) 10. października 1794. roku, bitwa pod Maciejowicami.

Że byłem tej sceny świadkiem,
To mnie na bal nie zaprosi;
Et tu sais que, w karnawale
Bardzo piękne daje bale!

(Wychodzą obadwa.)

STARZEC (do tłumu).

Po widzeniu — gdym wyśmiany
Na zamkowym placu siedział,
Jakiś staruszek nieznany
Stanął przy mnie i powiedział:
«I jam niegdyś, dziwnym losem
«Nad wieżycą widział farną
«Tę dziewoję z chustą czarną
«Jak jęczała smutnym głosem.
«Moc to Boska czy szatańska —
«Nie wiem — lecz znak ten nie zwodził;
«Bo w ten sam dzień i godzinę
«Gdym bladą ujrzał dziewczynę,
«Leszczyński odpływał z Gdańska,
«A drugi Sas na tron wchodził*).
«To widmo nieszczęścia wróży —
«Jawi się śród klęsk ojczyzny —
«Już widzieli je niektórzy
«W czasie buntów Kozaczyzny,
«W czasie wojen ze Szwedami
«I zatargów z Krzyżakami. —
«Tłum nie widział i nie wierzył,
«Chociaż w niego grom uderzył.»

(Po chwili milczenia.)

Odszedł starzec — ale później
Mówili mi ludzie różni,

---

*) Nieudanie się powtórnej elekcji Leszczyńskiego po śmierci Augusta II., było wielkiem nieszczęściem dla Polski. — August III. zdemoralizował do reszty naród już upadający na duchu, i moskiewskie wojska przyuczył gospodarować po Polsce. — Jakim byłby królem Leszczyński, pokazał to, rządząc tak mądrze Lotaryngją. — Pod jego panowaniem, wpływ Francji byłby nas wciągnął w życie polityczne zachodniej Europy i uwolniłby zapewne Polskę od intryg moskiewskich.

Że to widmo na tej wieży,
To cień Wandy — owej Księżny
Która w ziemi naszej leży,
W której duch był taki mężny,
Iż nie chciała cudzoziemca
I przeniosła śmierć, nad Niemca!

TŁUM (z przerażeniem).

Nowy cios na Polskę spada:
Biada — biada — biada — biada!

Iszy OBYWATEL.

Straszne rzeczy rozpowiada,
Ale nudny starowina. —

IIgi OBYWATEL.

Silny w gestach i w języku,
Widać bywał na sejmiku!
Ot! znów perorę zaczyna.

STARZEC (do tłumu).

I słyszałem oprócz tego
Że kiedyś — w czas naznaczony —
Gdy wreszcie Bóg, poruszony
Kornym płaczem ludu swego,
Za grzechy ojców przebaczy
I przyszłość lepszą dać raczy —
To cień Wandy, kiedy przyjdzie
O ostatniej głosić biedzie,
Zwiastować klęskę ostatnią,
Co ma spaść na ziemię bratnią —
By później był wiek szczęśliwy —
Przyniesie rószczkę oliwy
I pokaże w białej dłoni
Aby lud nie wątpił o niej!

MŁODZIENIEC (zrywając się).

Pokój ludziom — Bogu chwała!
Rószczkę miru w ręku miała!

Kiedy, jęcząc smutną mową,
Jedną dłoń podniosła w górę,
Przesuwając jakby chmurę
Czarny sztandar po nad głową,
W drugiej rószczką powiewała:
Chwała Bogu! chwała! chwała!

(Krzyki radości rozlegają się zewsząd.)

NADCHODZĄCY (przedziera się przez tłum i woła).

Tutaj radość i wesele
A w Warszawie bracia giną!
Polskiej krwi strumienie płyną,
A mścicieli już nie wiele —
Bo dywizja z Romaryną
Nie powraca — i zdaleka
Chyba zgonu Polski czeka! —

(Zatrzymuje się.)

Odebrałem wieść w tej chwili
Że od dwóch dni, najezdnicy
Już szturmują do stolicy
I że Wolę już zdobyli —
Gdzie Sowiński, starzec chromy,
Otoczon Moskwą do koła,
Padł — zabity śród kościoła,
Jak męczennik z czasów Romy!
Źle to, źle! — Stracona Wola
Zgon Warszawy przepowiada:
Znów srom na nas i niewola!

TŁUM.

Biada — biada — biada — biada!

STARZEC (do ludu).

Posypcie głowy popiołem
I uderzcie w ziemię czołem,
Bo w groźnej Jehowy ręce
Błysnął miecz ku nowej męce!

Ale pomnij ziemio bratnia
Że ta plaga — już ostatnia!

(Po chwili milczenia.)

Nazbyt krótkie moje życie
  Bym oglądał szczęścia świt,
Lecz wy młodzi — obaczycie
  Inny los i lepszy byt!

Bo dwadzieścia lat nie minie,
  A znów Polska chwyci miecz;
I tą razą już nie zginie
  Lecz wypędzi wrogów precz!

Dawne zabory i łupy
  Wrócą w odrodzenia wiek:
I żelazne Chrobrych słupy
  Wyjdą na wierzch z głębi rzek!

Niech się Polska więc nie smuci
  W ten ostatni płaczu dzień;
Bo już więcej nie powróci
  Topielicy blady cień!

TŁUM (na kolanach).

  Boże Ojców! Świata Panie!
Niech się spełnią twe wyroki!
Żal nasz szczery i głęboki
Leje nowych łez potoki —
Lecz daj rychło zmiłowanie,
Bo na siłach nam nie stanie!

1845.

IV.

WYŚCIGI KONNE

W WARSZAWIE.

(OBRAZEK DRAMATYCZNY W DWÓCH CZĘŚCIACH.)

O S O B Y.

PAN BONAWENTURA, były Prezes wojewódzki.
PANI HRABINA, jego córka.
PANNA TEKLA } dzieci Hrabiny.
PAN MARCELI } dzieci Hrabiny.
PAN DYDERSKI, Mecenas.
PAN TATARKOSKI, Ekonom.
WOJCIECH, służący.

(Rzecz odbywa się w Hotelu Rzymskim w Warszawie.)

CZĘŚĆ PIERWSZA.

SCENA I.

PAN BONAWENTURA I PAN MARCELI.

PAN MARCELI.

Jak to dobrze wypadło, że dziadzio łaskawy
Na sam czas nam przybyłeś wczoraj do Warszawy;
Bo dziadunio już musiał wyczytać z gazety,
Co to za świetne jutro czekają nas fety.
Nie pozostanie w mieście ani żywa dusza,
Jutro, cały świat piękny pod Mokotów rusza.
Polska w drodze postępu, kołem leci chyżem:
Stanęliśmy na równi z Anglją i Paryżem —
Mamy wyścigi konne — sport wzmaga się wszędzie,
A jeźli rząd pozwoli i Jockey Club będzie!

PAN BONAWENTURA.

Mój kochany Marcelku, gadasz waść androny,
Od których, ja dziad stary, już odzwyczajony.
Cóż mnie obchodzą fety, sport i inne duby?
Co do klubów, to warto by was wzięto w kluby!
Przyjechałem tu w ważnym dla mnie interesie
I muszę z Mecenasem radzić o procesie.

A sprzedaż mojej wełny na kogóż ja zlecę?
Mamże ją ekonomskiej zostawić opiece?
Wełna, pewniejszy profit niż angielskie hece!*)

PAN MARCELI.

Ależ drogi dziaduniu, czasu mamy pełno:
Ułatwi się interes z jurystą i z wełną.
Jutro kursa i na nich dziadunio być musi;
Mama jak najsolenniej przyrzekła Teklusi
Że ją weźmie — a dziadzio powiezie kobiety —
Już do wielkiej trybuny kupione bilety.
Tylu pięknych projektów niszczyć się nie godzi,
Zwłaszcza, kiedy się dowie dziadunio dobrodziej
Że tu idzie i o mnie — bo ja temi czasy
Sprowadziłem z Londynu klacz najczystszej rasy.
Zowie się Turtelsuppe — jej ojcem był, znany
Sir Peper w stajniach księcia Norfolk hodowany;
A matką Mistress Pickle, klacz dziwnej zalety,
Co w kursach zawsze pierwsza stawała u mety!

PAN BONAWENTURA, śmiejąc się.

Ho! ho! to nie przelewki! Waścina kobyła
Z nielada antenatów na świat zejść raczyła —
I może z Bucefałem krewieństwo wykaże!
U angielczyków, widzę, są końskie herbarze
I waść się ich wyuczył jak gdyby pacierza —
Jest to arcy-potrzebny kunszt — dla masztalerza!
A czy też wie dokładnie pan Marcel dobrodziej,
Jakie imię miał dziad mój? i z kogo się rodzi?
Ja i moi współcześni, wszyscyśmy wiedzieli
Familijne aljanse z miecza i kądzieli;
To były nasze studja od lat niemowlęcych
I nie stało nam czasu do metryk zwierzęcych!

PAN MARCELI.

Niech kochany dziadunio tak bardzo nie łaje;
Każdy wiek ma odrębne mody i zwyczaje.

*) Wiadomo że Święto-Jański jarmark na wełnę odbywa się w Warszawie w tym samym czasie co wyścigi konne.

Dziś Europa końskiemi kursami zajęta;
Sportem bawią się Lordy, Grafy i Książęta —
Więc dziadzię nie zadziwi to jeszcze wyznanie,
Że nietylko klacz moja do wyścigów stanie;
Lecz że zamiast Jockeja ja sam jej dosiędę
I przez dwanaście barjer przeskakiwać będę!

PAN BONAWENTURA, z oburzeniem.

Wszelki duch Pana chwali! Czyż mnie słuch nie myli?
My, szlachta starej daty, tegośmy dożyli,
By patrzeć, jak przed obcą rzeszą nasze wnuki,
W dłoń, zdolną dzierżyć szablę, ująwszy munsztuki,
Puszczają się na hece i łamane sztuki! —
Siwej mej głowie tego waść oszczędzisz sromu.
A toż to byłby splendor dla naszego domu,
Gdyby się kraj dowiedział że prawnuk daleki
Tych, co męztwem i radą słynęli przed wieki,
Co w rodzie senatory miewał i biskupy,
Zleciał na kursach konnych przez łeb Turtelsupy!

PAN MARCELI.

Dziadzio widzę się gniewa, a Pan Bóg wie za co!
Nie! — pokolenie nasze nie całkiem ladaco
Dla tego, że ma zmienne zabawy i gusta.
Inny był Rzym za Grachów, inny za Augusta!
Czyż u nas przed stu laty byłoby stosownie,
Gdyby jaki syn pański zakładał cukrownie?
Jego dziadek senator wyrzekł by się wnuka;
Możeby nawet przyszło do prawa kaduka!
Dziś największe imiona fabryk się nie wstydzą;
Gdyż w tem i dobro kraju i zysk własny widzą —
A ze starych portretów, wiszących u ściany,
Zapewne im nie łają ich przodki Hetmany;
Bo pieniądz jest zaszczytem gdy zapracowany!
Tak samo, dziadziu drogi, dziś sportu rzemiosło
Z Londynu i z Paryża do nas się przeniosło.
Nie splami się od niego moja tarcz herbowa;

(Pokazując sygnet na palcu — z uśmiechem.)

Prawda! krzyż na niej błyszczy — lecz jest i podkowa.
Z resztą, zajęć na serjo śród Warszawy mało —
Nuda cięży jak ołów nad młodzieżą całą.
Czujemy nadmiar życia i chęć do działania,
A działać według serca tysiąc przeszkód wzbrania!
Musim się więc zatrudniać tem co nam niewzbronne:
Pokochaliśmy stajnię i wyścigi konne —
I galopujem z hardem lecz smętnem obliczem!
Wolelibyśmy z szablą — a musimy z biczem.

PAN BONAWENTURA.

Trwonić żywot na fraszkach, to dziś chleb powszedni!
Marcelku! jam cię zmartwił — oj! biedni wy biedni!
Bawże się więc twym sportem, gdy teraz człek młody
Musi być masztalerzem z potrzeby i z mody.
Niech i twa klacz angielska kłusuje ku mecie,
Byle mi tylko Waszeć nie był na jej grzbiecie!

PAN MARCELI.

Już nie czas, drogi dziadziu, w planach robić zmiany,
Program jutrzejszych kursów już wydrukowany:
Imię moje wpisane na goniących liście.
Niech dziadzio czyta —

(Podaje mu program.)

PAN BONAWENTURA, czyta i łapie się za głowę.

Chłopcze! — Pfu! zwarjowaliście!
Każdy dał trzysta rubli! Trzysta rubli stawka?
A to grubo kosztuje ta wasza zabawka!
Karty już wam nie starczą, biegniecie szaleni
Do nowej gry, co grozi karkom i kieszeni!

PAN MARCELI, z uśmiechem.

Nie grozi! — bo ja wyznam dziaduniowi szczerze,
Że owa gruba stawka tylka na papierze.
To dla oka, dla gazet, by gadano w tłumie,
Że gentleman warszawski zakładać się umie.

A w istocie, stanęła tajemna umowa,
Że niefortunny jeździec w błoniach Mokotowa,
Dla innych, którzy przed nim dobiegną do celu,
Wyprawi suty obiad w angielskim hotelu!

PAN BONAWENTURA.

Rozumiem! — choć na blichtry umysł we mnie tępy —
Pozory! szych! — ot, wieku waszego postępy!
Dziś pod ten wyraz postęp każda rzecz się garnie,
Jak ćma ślepa, co leci pod jasną latarnię!
Wszak Waść mówił, że kursa także prostą drogą,
W same centrum postępu wprowadzić nas mogą!

PAN MARCELI.

Mówiłem i potrafię dziadzi dowieść snadnie,
Że ztąd niejedna korzyść na Królestwo spadnie.
Premja, które rząd daje stały się zachętą:
Już w kraju chowem koni szczerzej się zajęto.
Stajnie dotąd ubogie — lecz będzie inaczej,
I co rok więcej u nas dziadunio obaczy
I arabskich ogierów i angielskich klaczy!
Krew Folblutów ze swojską gdy się mięszać zacznie,
Nasza rasa krajowa poprawi się znacznie
I dojdzie aż do tego, że za sto lat może,
Tak jako dzisiaj wełna, konopie i zboże,
Koń polski jako towar będzie szedł za morze!
Mamże jeszcze coś dodać o kursów potrzebie?
Ich użyteczność jasna jak słońce na niebie;
Bo jako żołnierz młody wykształca się w bitwach,
Żak w szkole, wyżeł w polu, tak koń na gonitwach.
Więc powtarzam co prawda, prawda oczywista,
Że z warszawskich wyścigów cały kraj skorzysta.

BONAWENTURA.

Marcelku! choćbyś gadał jak Demosten grecki,
Nigdy tego nie pojmie mój rozum szlachecki,
By dla tego — ze gdzieś tam, angielska kobyła
Bez szwanku kilkanaście płotów przeskoczyła,

Lub że S i r P e p e r dobiegł w pięć minut do mety,
Miało to krew uzacniać i zwiększać zalety
Mojej stadniny wiejskiej, co w tym samym czasie
O piętnaście mil zdala po łące się pasie!
A choćbym nawet przywiódł parę mych kasztanów
I w trybunie, pośrodku waszych g e n t l e m a n ó w,
Postawił jako widzów — to jeszcze nie sądzę
Bym w nich przez to obudził emulacji żądzę!
Nikt dawniej nie posłyszał u nas o gonitwie,
A były sławne stada w Koronie i Litwie.
Wiśniowieckich, Tarnowskich i Sanguszków konie
Mnożyły piękną rasę w każdej kraju stronie.
Nie szedł do Angielczyków z Polski okup złoty,
Za klacze skakające przez rowy i płoty.
Tureckie zaś b a c h m a t y z krwią i siłą djablą;
Pod Chocimem i Wiedniem płacił szlachcic — szablą!
Oj! nie były to pewnie rasowe F o l b l u t y,
Na których nasz Czarniecki, bez wioseł i szkuty,
Wpław przez nurty Pilicy i morskie odnogi
Wiódł zwycięzkie swe hufce na najezdne wrogi! —

PAN MARCELI.

Napróżno chciałbym zbijać tę piękną orację!
Drogi Dziadzio ma rację — lecz i ja mam rację.

PAN BONAWENTURA, przerywając mu.

Waść chwytasz kwestję z wierzchu, a ja biorę ze dna;
Racje mogą być liczne — lecz prawda jest jedna,
Prawda przy mnie —

PAN MARCELI.

Dziaduniu! nim ten spór rozpocznę,
Chciałbym aby go świadki poparły naoczne —
Dla tego błagam dziadzię aby jutro raczył
Być z nami na wyścigach — aby sam obaczył
Jaki to dobór jeźdźców, jakie pyszne konie
Wysuną się na popis w Mokotowskie błonie!

PAN BONAWENTURA.

Choćbym za upartego miał uchodzić zrzędę,
Będę na sztukach Renza*), na waszych nie będę!
Bo mi żal, że się szlachcic z masztalerzem brata!

PAN MARCELI, na stronie.

Trzeba tu zręczniejszego niż ja adwokata —
Mama lepiej tę całą sprawę poprowadzi.

(Patrzy na zegarek i mówi głośno.)

Co widzę! już południe. — Uciekam od dziadzi;
Ignaś przy Zygmuntowskiej czeka mnie kolumnie.

(Całuje pana Bonawenturę w rękę.)

Jeżeli drogi dziadzio ma gniew jeszcze ku mnie,
To proszę mi przechaczyć. Nie ciężkać to wina
Lubić wyścigi konne.

(Odchodzi.)

SCENA II.

PAN BONAWENTURA, SAM.

Poczciwy chłopczyna!
Dotąd trochę pstro w głowie — fraszkami się trudni;
Lecz młodzi wszyscy tacy! — a my starzy nudni.
Pewniem i ja tym samym pędził wiatry szałem,
A dziś już o trzpiotostwach własnych zapomniałem.
On na progu żywota, ma czas do poprawy
I będzie jeszcze z niego obywatel prawy —
Bo w chłopcu serce dobre, dusza nieskalana —
A to grunt.

---

*) Sławny Renz ze swoją trupą skoczków konnych znajdował się w Warszawie w czasie Święto-Jańskiego jarmarku w 1855 i 1856 roku.

WOJCIECH, uchylając drzwi.

Pan ekonom, proszę Jaśnie Pana!

PAN BONAWENTURA.

Wpuścić. Teraz znów inny czeka mnie **certamen**.

SCENA III.

PAN BONAWENTURA I PAN TATARKOSKI.

PAN TATARKOSKI.

Niech będzie pochwalony!

PAN BONAWENTURA.

Na wiek wieków — Amen!
No, Tatarkosiu! cóż tam słychać na jarmarku?

PAN TATARKOSKI.

Ze przeproszeniem, harmider, wre jak woda w garku;
Kupców huk, lecz wybrydni, bo twaru pełno,
A więc sobie dworują i nad naszą wełną.
Ten mówi że za gruba — ów, że się zleżała;
A trzeci, z przeproszeniem, że nie dosyć biała!
Jeden tylko, z Kalisza —

(namyśla się)

dziwne ma nazwisko!
Kruc czy Kuc — ot, zwyczajnie jakieś prusaczysko,
Deklaruje wziąść hurtem — lecz płaci za nisko.
A więc przyszedłem z prośbą o instrukcje nowe,
Bo jutro, z przeproszeniem, sprawy jarmarkowe
W zawieszeniu — i pewno kupiec będzie rzadki.
Wszystko za Mokotowskie wyciągnie rogatki,
I Jaśnie pan zapewnie tam wyruszy z rana —
Ja również —

PAN BONAWENTURA, z gniewem.

Bies opętał także i Wasana!
Myślisz Waść, że jak fircyk na kursa polecę?
Pfuj, stary! czyż to dla nas te stajenne hece!
To widzę epidemja! — Tem jednem zdarzeniem
Wszystkie łby zaprzątnięte —

PAN TATARKOSKI.

Ale, z przeproszeniem,
Bo to mają być rzeczy ogromnie ciekawe,
Dla tego tak zajęły calutką Warszawę.
Dzisiaj rankiem, w garkuchni, gdziem zaszedł na flaki,
Jacyś dwaj jegomoście ubrani we fraki,
W łosiowych rękawicach, w ostrogach ze stali,
O tych koniach zamorskich cuda powiadali:
Że je ci Angielczyki jakąś sztuką swoją,
Surowem mięsem pasą i arakiem poją,
By im dać, z przeproszeniem, większy hart do próby.

PAN BONAWENTURA.

I Wasan uwierzyłeś w te smalone duby?
I połknąłeś przy flakach ten żarcik tak gruby?
Pfuj! — Teraz Waści powiem, lecz bez przeproszenia,
Że owe zbiegowisko mych planów nie zmienia.
Dzień jutrzejszy tam spędzim gdzie nasze wańtuchy,
Choćby jedynym kupcem miał być skwar i muchy —
Niech świat modny warjuje — my myślmy o wełnie.

PAN TATRKOSKI, zmięszany.

Wolę Jasnego Pana do joty wypełnię.

(Odchodzi.

SCENA IV.

PAN BONAWENTURA, SAM.

No, proszę! i ten stary głupiec już był gotów,
By jaki świszczypałka, lecieć pod Mokotów!
A to strach! a to nowa dżuma Mościpanie!
Kto wie, czy się i do mnie ten szał nie dostanie?
Trzeba uciekać na wieś do mego Żablina,
Bo djabeł zacznie kusić —

(Widząc otwierające się drzwi)

he?

WOJCIECH, wchodząc.

Pani Hrabina!
Z panienką Jaśnie Panie, przyjechały obie
I już idą po schodach hotelu —

(Odchodzi.)

PAN BONAWENTURA, zrywając się.

Masz tobie!
Wszystkie się dziś nademną chmury oberwały —
Pewno będą mi także o kursach gadały;
Lecz mnie piosnka tych nowych syren nie załapie.

SCENA V.

PAN BONAWENTURA, PANI HRABINA, PANNA TEKLA.

(Hrabina z córką wchodząc, całują w rękę starca.)

PANI HRABINA.

Śliczny, śliczny dzień dobry przynosimy papie —
Marcelek miał tu być już — teraz my z Teklunią.

PANNA TEKLA.

Jakże tę noc przepędził kochany dziadunio?

PAN BONAWENTURA.

Wybornie! — Podróż zawsze sen u mnie przedłuża.

PANI HRABINA.

Papa ślicznie wygląda! rumiany jak róża!

PAN BONAWENTURA.

Ha! krew mi się wzburzyła i czerwonym ponom,
Bo mnie tu zalterował mój stary ekonom.

PANNA TEKLA.

Co? śmiał obrazić dziadzię?

PAN BONAWENTURA.

Szło całkiem nie o to.
Zgniewał mnie nie zuchwalstwem, lecz swoją głupotą —
Nie warto o tem gadać. — Cóż wy zamyślacie
Dziś robić?

PANI HRABINA.

Dzień prześliczny! — Zaraz po herbacie
Pojechałyśmy obie do Pani Janowej:
Ona ma się dość dobrze — on jeszcze niezdrowy.
Był tam u nich z wizytą brat Pana Wacława
I najświeższe nowinki sypał jak z rękawa. —
Wystawże sobie papa — na warszawskim bruku
Jaka urosła plotka o papie i wnuku!
Mówią, że papa chce go żenić z panną Klarą,
A że Marcel ją znalazł zbyt brzydką i starą
I nie chce ani słyszeć o owym projekcie —
Ztąd gniew papy, że wnuk mu uchybił w respekcie.
Że papa nas unika — i że nie bez celu,
Przybywszy, nie w mym domu stanął, lecz w hotelu —
O tem już wczoraj wieczór wieść krążyła głucha. —

PAN BONAWENTURA.

W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha!
I tak wierutnym kłamstwom świat nadstawia ucha?
Widać że im do rozmów materji ubyło —
Stwarzać brednie, o których ani mi się śniło!

Tak to zwykle po miastach — potwarz i obłuda —
A źródłami tych grzechów: próżniactwo i nuda!

PANI HRABINA.

Myśmy tu przyjechały aby papę z nami
Przed obiadem na spacer przewieźć alejami.
Słońce błyszczy na niebie pogodą czerwcową —
Odetchnąć tem powietrzem, to dla papy zdrowo.

PANNA TEKLA.

Obaczym mnóstwo ludzi; a mnie tak milutko
Będzie jechać z dziaduniem —

PAN BONAWENTURA, całując ją w czoło.

Moja ty jagódko!
Może tam nas napotka jaki modny fraczek
I wnusia chce pokazać swój ładny buziaczek?
Zgadłem! — Oczki w dół poszły, a wystąpił raczek!

(Śmieje się.)

No dobrze, pojedziemy.

PANI HRABINA.

Papuniu kochany!
Jakież papa na jutro zrobił sobie plany?

PAN BONAWENTURA.

Jutrom interesami cały dzień zajęty.
Najprzód u Kapucynów będę na Mszy świętej,
Potem u mecenasa — bom mu przyrzekł wczora —
A potem przy mej wełnie zejdzie do wieczora.

PANI HRABINA.

A czy już nic w tych planach odmienić się nie da?

PAN BONAWENTURA.

Nie kochanko — dopóki towar się nie sprzeda. —

PANI HRABINA.

To źle — bo i ja także robiłam planiki;
Lecz interesa papy mięszają mi szyki. —

(Nieśmiało.)

Jutro wszyscy zajęci końmi, wyścigami —
I liczyłam — że papa — pojedzie wraz z nami.

PAN BONAWENTURA, marszcząc czoło.

Źleś Wasani liczyła! Ta końska parada
Bynajmniej do mojego gustu nie przypada —
To dla młodych, nie dla mnie zgrzybiałego dziada!

PANI HRABINA.

Szkoda! bo od tygodnia na jutrzejszą fetę
Teklunia już przyrządza śliczną toaletę —
Nową suknię przymierza i całe dnie marzy,
Jak modny kapelusik będzie jej do twarzy!

PANNA TEKLA.

Kiedy dziadzio nie jedzie, to i ja zostanę
Choć nie widziałam kursów.

PAN BONAWENTURA, żywo.

A! moje kochane!
Jakto? do waszych zabaw mam stać się zawadą?
I więzić was przy sobie — — Kiedy wszyscy jadą,
Jedźcież i wy za niemi — wystrójcie się ładnie —
Przecież tam bez mej straży nikt was nie ukradnie!

PANI HRABINA.

Łatwo to papie mówić; lecz mojem jest zdaniem
Że gdy papa nie jedzie, to i my zostaniem!
Wie papa jaka plotka po Warszawie lata
I co za długi język u modnego świata!
Jeśli się sama z córką w trybunie pokażę,
Wnet niobecność papy dojrzą nowiniarze
I ozwą się złośliwe zewsząd komentarze —
I całkiem już uwierzą że papa kochany
Nie chce widzieć Marcelka — na nas zagniewany.

Więc, choć mi przykro, sądzę że najlepiej zrobię,
Gdy w domu dzień jutrzejszy przesiedziemy obie!

PAN BONAWENTURA.

Nie! na to nie przystanę, by z mojej przyczyny
Wasze rozrywki —

PANI HRABINA, przerywając mu.

Papo! to środek jedyny
Stłumić od razu śmieszne głupich gadaniny!
Jutro, na Mokotowskich wyścigów obrzędzie
Musim być wszyscy z Papą — lub nikt z nas nie będzie.

PAN BONAWENTURA.

(Przechadza się szybkim krokiem po pokoju i mówi sam do siebie:)

No, proszę! Mościpanie; gdybym o tem wiedział,
To byłbym sobie na wsi jak lis w jamie siedział!

(Głośno:)

A to djabelskie miasto! to rzecz niesłychana!
Mamże za domowego uchodzić tyrana?
Cudzą złość uradować a swoich zasmucić —
Lub dla modnych wybryków interes porzucić?

PANNA TEKLA, całując dziadka w rękę.

Myśmy powodem smutku i kłopotów dziadzi —

(Ociera łzy z oczu.)

PANI HRABINA.

Niechaj się papa serca własnego poradzi. —

PAN BONAWENTURA, chwyta się za głowę.

Mózg pęka, rozum słabnie jak gdyby w malignie!
Serce, tak serce tylko z tej toni mnie dźwignie!
Starcom jak ja, w grób bliski patrzającym śmiało,
Dla których wszystko w świecie już zobojętniało,
Sprawiać przyjemność drugim, jest roskoszą całą!
Miłość ku wam, jedyną dyktuje mi radę —

(Po pauzie.)

Jutro z wami na konne wyścigi pojadę!

(Obie kobiety rzucają mu się w objęcia.)

PANI HRABINA.

O! jaki papa dobry!

PANNA TEKLA.

Jak dziadzio łaskawy!

PAN BONAWENTURA.

Wasza radość mi starczy za wszystkie zabawy!

SCENA VI.

CIŻ SAMI I PAN MARCELI.

PAN MARCELI, wchodząc szybko.

Dziadziu! Mamo! siurpryza całkiem niespodziana!
Stryjostwo do Warszawy przybyli dziś z rana —
Z całym domem — bo wzięli Kocia i Żanetę
I gotują się wszyscy na jutrzejszą fetę. —

PANI HRABINA, do Marcelego.

Ja ci się też na dobrą nowinę zdobędę:
Dziadek będzie na kursach.

PAN MARCELI, z uradowaniem.

Dziadzio będzie?

PAN BONAWENTURA, wzdychając.

Będę?

(Na stronie sam do siebie.)

Ha! starego Adama znów Ewa skusiła!
W naszych dawnych przysłowiach jest rozumu siła:
Gdzie djabeł sam nie może, tam babę posyła,

(Zwracając się do Marcelego.)

Nim pojedziem na spacer, powiedz no mi Wasze,
O któréjż to godzinie te wyścigi wasze?

PAN MARCELI.

O czwartej — ale trzeba ztąd ruszyć o trzeciej,
Bo choć droga niedługa, lecz czas szybko zleci.

PAN BONAWENTURA.

Mam dziś wyekspedjować trzy, lub cztery listy.
Odłożę do wieczora — tylko do jurysty
Chcę napisać słów kilka nim z wami wyjadę,
By do mnie jutro zrana przyszedł na naradę.

(Siada do kantorka i pisze.)

PANI HRABINA, do Marcelego.

Widziałeś się z stryjostwem? Jak się ma bratowa?

PAN MARCELI.

Stryjenka tak jak zawsze, wesoła i zdrowa.
Odbyłem ze stryjaszkiem dysputę nielada:
Wie mama, że stryjaszek za końmi przepada,
Ale przedpotopowe ma o nich ideje —
Gardzi rasą angielską, z folblutów się śmieje.
Koń arabski, dla niego, pierwszym śród rumaków
Jak słońce pośród planet, orzeł pośród ptaków. —
«Inne rasy, powiada, nieprzydatne na nic
«I wartoby im wzbronić wstęp do polskich granic.»
Chłop mazurek, koń turek, gwarzono przed laty:
Lecz teraz, śród postępów dziesiejszej oświaty
Przykro słuchać, gdy człowiek rozsądny podziela
Zdania z epoki Sasów, lub księcia Popiela!

PANNA TEKLA.

Żanetka pewnie o mnie się wypytywała!
Czy nie wiesz jaką suknię będzie jutro miała?

PAN MARCELI, śmiejąc się.

Do takich konfidencji nie doszła Zaneta —
Stroiki, to są wasze kobiece sekreta,

O tem się z tobą samą dziś w wieczor naradzi.

(Widząc że pan Bonawentura zapieczętowawszy list, podnosi się.)

Może czego potrzeba kochanemu dziadzi?

PAN BONAWENTURA.

Zawołaj służącego. —

PAN MARCELI, otwierając drzwi do przedpokoju.

Wojciechu! Pan woła!

PAN BONAWENTURA, do wchodzącego Wojciecha.

Pójdziesz z tym listem. — Obok dawnego kościoła,
Na ulicy. — za placem zaraz — Święto-Jerskiej —
Zapytasz się — tam mieszka mecenas Dyderski —
Do rąk mu własnych oddasz to moje pisanie
I poprosisz o odpis.

WOJCIECH.

Jdę Jaśnie Panie.

(Wychodzi.)

PAN BONWENTURA.

Ten proces mnie markoci — chociaż mam nadzieję,
Że wygram.

(Bierze kapelusz i laskę.)

A tymczasem jedźmyż w te aleje!

(Wszyscy wychodzą.)

CZĘŚĆ DRUGA.

SCENA I.

PAN BONAWENTURA I PAN DYDERSKI.

(Siedzą przy stole okrytym papierami.)

PAN DYDERSKI, trzymając stary pargamin.

Już może być spokojnym pan prezes dobrodziej!
Ten akt, jak najdobitniej własności dowodzi
I bez repliki niszczy pretensje sąsiada —
Cum silvis boribusque dokument powiada:
A że in graniciebus tej wioski Biłasów
Nie mogło być i nie masz żadnych innych lasów,
Prócz tego co dotyka do gruntów Żarnowa;
Więc nam daje wygraną kontraktu osnowa,
Gdyż tylko o tym lesie może tu być mowa.

PAN BONAWENTURA.

Dopatrzyłeś Pan prawdę bystrem znawcy okiem,
Trybunał ją zwycięzkim potwierdzi wyrokiem
I da Bóg, kres położy tej granicznej wojnie:
Ufny w zdolnościach pańskich, będę spał spokojnie.
Teraz przyjm drogi Panie me ekskuzy szczere,
Żem cię dziś fatygował na moją kwaterę.
Miałem zamiar zajść rankiem do jego mieszkania,
Lecz prośby wnuka, wnuczki, córki nalegania
Wzięły mnie w takie ciężkie obroty i krygi,
Żem przyrzekł jechać z niemi na konne wyścigi!

Pojmiesz panie Dyderski, jako mnie starego
Nie łatwą było rzeczą namówić do tego,
Bo uważam za głupstwo te modne ich hece —
Alem skapitulował na szlochy kobiece.

PAN DYDERSKI.

Zupełnie pod tym względem zdanie pańskie dzielę. —
Oj, byłoby o kursach rozpowiadać wiele!
Krążą o nich po mieście powiastki złowieszcze,
Iż nietylko są głupstwem lecz czemś gorszem jeszcze.
I staną się nie jednej familji ruiną;
Bo na ten nowy zbytek krocie, krocie giną! —

PAN BONAWENYURA.

To coś rzekł drogi panie, mocno mnie kłopoci —
Jakto? końskie wydatki dochodzą do kroci?
Co? w biednym naszym kraju do tegośmy przyszli?
Przerażasz mnie! — Bo oto staje mi na myśli,
Że i syn mojej córki zarażon tym szałem,
Pokochał stajnię z całym młodości zapałem.
Wczoraj plótł wciąż o koniach — a ja go słuchałem!

PAN DYDERSKI.

Łaskawy dobrodzieju! już to lat dwadzieścia
Jak jestem jego radzcą — a pańskiego teścia
Mój rodzic jeszcze trzymał w rękach interesa —
Mam szacunek i przyjaźń dla pana Prezesa;
Więc sumienie mi każe dać przestrogę wczesną
I wypowiedzieć szczerze prawdę, choć bolesną!
Pan Hrabia był człek rządny — co rok w karnawale
Spraszał gości, wydawał obiady i bale,
Lecz przy ładzie, majątku nie naruszył wcale. —
Dopiero gdy on umarł — a pani Hrabina
Zdała zarząd dóbr całych na młodego syna,
Rozpoczął się wydatków płochych szereg długi —
I nieznane w tym domu, zjawiły się długi.

PAN BONAWENTURA, z wzruszeniem.

Długi? co słyszę? Aż przeszło mnie mrowie!
Ostatki siwych włosów wstają mi na głowie!

A jam żył sobie zdala bez obaw i trosek,
Nic nie wiedząc — zajęty gospodarstwem wiosek —
Co się działo z mym wnukiem, z moim ulubieńcem!

PAN DYDERSKI.

Pan Marceli, jak mówią, jest zacnym młodzieńcem:
Nie zbywa mu na takcie ani na rozumie,
Lecz namiętny — żądz młodych powściągnąć nie umie.
I żyjąc w towarzystwie nierozważnych trzpiotów,
Wraz z niemi, ojcowiznę roztrwonić jest gotów;
Bo kogo raz schwyciła do gonitw pokusa,
Temu będzie za mało i skarbów Krezusa!

PAN BONAWENTURA.

Może w tem co pan mówi, jest nieco przesady.
Wczoraj wnuk mi się przyznał, że te ich zakłady
Są tylko dla pozoru, by gadano w tłumie,
Że elegant warszawski zakładać się umie.
A w istocie — po drukach i hałasach wielu.
Kończą się na obiedzie w angielskim hotelu!

PAN DYDERSKI.

Nie przesadzam! opinja moja nie jest błędną!
Z resztą stawki, zakłady są rzeczą podrzędną;
To, co ich ciągnie w zguby otchłanie bezdenne,
Jest kupno drogich koni i koszta stajenne. —
O tych dwóch głównych punktach chcę mówić ja właśnie,
I tu niebezpieczeństwo wyścigów wyjaśnię.
Koń angielski krwi czystej, płaci się mniej więcej
Dziewięć, dziesięć, a czasem dwanaście tysięcy —
Każdy Dżokej z Londynu w swej kurtce szkarłatnej,
Trzykroć tyle co polski sługa bywa płatny.
Te konie, rozpieszczone z młodu wygodami,
Trudno paść sieczką z słomy, albo otrębami;
Trzeba im sypać owies, dać miękkiego siana,
A dzisiaj tych produktów cena niesłychana!
Wnuk pański, jak słyszałem już od wielu osób,
Urządził swoją stajnię na zamorski sposób:

Malowana podłoga — rzeźbione drabiny —
A w niej — oprócz zaprzęgu dla pani Hrabiny,
Jest sześć angielskich koni w oponach z tywtyków,
A do stajennej służby, aż trzech angielczyków. —
Teraz summa summarum niech pan Prezes doda,
Do jakich kosztów pędzi ta szalona moda! —

PAN BONAWENTURA ze smutkiem.

Więc wnuk mój do ruiny prostą leci drogą!
Na ten przepych i zbytki, czyż wystarczyć mogą
Intraty ze trzech wiosek?

(Liczy na palcach.)

Konie — stajnia — sługi! —

PAN DYDERSKI.

O! nie, nie wystarczają! — Ztąd weksle i długi! —
Na pierwsze zawołanie młodego panicza
Lichwiarz na krótki termin pieniędzy pożycza —
A gdy nie masz czem płacić na czas oznaczony,
Nowy oblig się pisze procentem zwiększony.
Lgną coraz głębiej sępa brodatego szpony,
Bo coraz dłuższy ogon do summy przyrasta,
Dopóki woźny z pozwem nie zawoła: basta!
I pan Marceli zaczął od pożyczki małej,
Lecz go skrypta po skryptach daleko zagnały —
I dziś za te płochości kara nad nim bliska,
Gdyż, jak słychać, Mośkowicz bardzo go naciska.

PAN BONAWENTURA z rezygnacją.

Pełen goryczy kielich dałeś mi do ręki —
A jednak, drogi Panie, dzięki tobie, dzięki,
Żeś mnie ostrzegł, objaśnił o tej smutnej sprawie,
O której, jak pan mówisz, już głośno w Warszawie.

PAN DYDERSKI.

Szałem pańskiego wnuka całe miasto tętni —
Żałują go życzliwi — szydzą obojętni —
Mnie zaś lżej na sumieniu, że do uszu pana
Doszła nareszcie prawda, długo ukrywana!

(Patrząc na zegarek.)

Spieszno mi — mam zajęty dzień interesami;
W bardzo ważnym procesie stawam przed kratkami,
A może nawet po nim przyjdzie sprawa druga. —
(Zabierając papiery i kłaniając się nisko.)
Szanownego Prezesa najżyczliwszy sługa!

PAN BONAWENTURA, ściskając mu rękę.

Drogi panie Dyderski! dzisiaj najwyraźniej
Dałeś mi szczery dowód prawdziwej przyjaźni.

SCENA II.

PAN BONAWENTURA, SAM.

(Siedzi przy stoliku z czołem opartem na dłoni.)

Wyrwać go z tej przepaści jeszcze czas jest może —
I przy Twojej pomocy, miłosierny Boże,
Tym szaleństwom i hańbie dziś koniec położę!
(Po chwili namysłu.)
Wiem prawdę — lecz mi spadła straszniejsza od gromu,
Zwiastująca dyshonor dla mojego domu! —
A jam liczył niebaczny, że mój wnuk Marceli
Pociechą mi ostatki życia uweseli!
Że strzegąc poczciwego przodków obyczaju,
Będzie chlubą rodziny, zaszczytem dla kraju —
A on! —
(Wzdycha.)
Jam, zaślepiony, ucha mu nadstawiał,
Gdy mi wczoraj o swoich folblutach rozprawiał,
I starca miękkie serce do pobłażań skłonne,
Już go uniewinniało za te szusy konne! —
(Wstaje i podnosi ręce w górę.)
Panie! przed Twem obliczem pełen skruchy stoję!
Gorycz, którą mnie poisz przyjm za grzechy moje,
Ale mnie nie opuszczaj w tej biedzie i wstydzie! —

WOJCIECH, wchodząc.

Pan Tatarkoski Jaśnie Panie!

PAN BONAWENTURA.

Niechaj wnijdzie.

SCENA III.

PAN BONAWENTURA I PAN TATARKOSKI.

PAN TATARKOSKI.

Niech będzie pochwalony!

PAN BONAWENTURA.

I na wieków wieki!

PAN TATARKOSKI.

Z tem słońcem, Jaśnie Panie nie unikniem spieki. —
Teraz ledwie dziesiąta a już, z przeproszeniem,
Tak gorąco, że w mieście człek wzdycha za cieniem. —
Jaśnie Pan by zaniemógł, gdyby w te upały
Miał wraz ze mną przy wełnie siedzieć dzionek cały!
Zresztą, już dzisiaj rankiem przylazł niemiec stary,
Postąpił na cetnarze po cztery talary —
Widzę że nasz interes wkrótce da się zrobić. —
Jeszcze coś tam — a targu będziem mogli dobić —

PBN BONAWENTURA.

Na rozsądek Wasana spuszczam się zupełnie —
Nowy kłopot zabrania myśleć mi o wełnie.

PAN TATARKOSKI.

Czy Jaśnie Pan już słyszał?

PAN BONAWENTURA, żywo.

O czem słyszeć miałem?
Cóż tam nowego? Gadaj! —

PAN TATARKOSKI, skrobiąc się w głowę.

Z razu milczeć chciałem —
Lecz kiedy kalkuluję, widzi mi się przecie,
Że trzeba Jaśnie Panu powiedzieć w sekrecie
O tem, czegom był świadkiem temu pół godziny. —
Idąc przed domem Jaśnie Wielmożnej Hrabiny,
Spotykam, z przeproszeniem, burgrabię Stefana. —
«Dzień dobry! Szczęść wam Boże! Jak zdrowie Wasana.»
Witamy się jak czynią znajomi zwyczajnie.
On mi radzi obejrzeć paniczowe stajnie —
Idziem — w głębi podwórza budynek paradny,
Jakom nigdy nie widział w życiu stajni żadnej —
Dach pod blachą — nad gankiem gzymsy, ceregiele.
Wewnątrz szyby w kolorach — wzdłuż filarów wiele:
Już chciałem się przeżegnać, myśląc żem w kościele!
Konie, choć bez ogonów lecz rosłe i śliczne,
Każden z nich ma nazwisko jakieś zagraniczne —
Jedna klacz, z przeproszeniem, zwie się Totumsupa,
Na niej dera jak gdyby ornat u Biskupa — —

PAN BONAWENTURA z niecierpliwością.

Te szczegóły i bzdury obchodzą mnie mało;
Gadajże wasan prędko — i cóż się tam stało?

PAN TATARKOSKI.

Otóż gdy się tak bawię jakby na teatrze
I z otworzoną gębą na te dziwy patrzę —
Aż tu ni ztąd ni z owąd, wchodzi prosto drzwiami
Trzech ludzi z kałamarzem i z fascykułami —
Liczą konie, spisują, zaglądają wszędzie.
Jam się usunął na bok, myśląc, co to będzie:
I robię burgrabiemu po cichu uwagę,
Że oni każdą szkapę będą brać na wagę,
Bom słyszał, z przeproszeniem, że to moda taka,
Iż ważą przed gonitwą każdego rumaka —
Lecz Stefan wstrząsnął głową i zalał się łzami
Mówiąc mi: «To komornik z swemi pisarkami!

«Tradują nas!» — Wtem nadbiegł Pan hrabia Marceli.
I kiedy wszyscy razem coś gadać zaczęli,
Ja w nogi, nie żegnając nawet i Stefana,
I tę smutną wieść niosę do Jasnego Pana.

WOJCIECH, uchylając drzwi.

Pani Hrabina.

PAN BONAWENTURA, do Tatarkoskiego.

Wracaj na targ panie bracie —
A jeśli się z tym niemcem z Kalisza spotkacie,
Nie marudź już z nim dłużej — kiedy chce niech kupi.
(Do siebie cicho.)
Widzę że się to wszystko na mym worku skrupi! —
(Tatarkoski odchodzi.)

SCENA IV.

PAN BONAWENTURA, PANI HRABINA.

PANI HRABINA, blada i drżąca.

Drogi papo! cios straszny — plaga niespodziana —
Nie śmiem wyznać — a muszę! Tak jestem zmięszana. —

PAN BONAWENTURA, przerywając jej.

Wiem o wszystkiem — i w mojej też mąci się głowie! —
(Po chwili namysłu.)
Jak kto zasiał, tak zbiera: powiada przysłowie —
Najbogatsza fortuna w przepaść leci snadno,
Gdy zbytek z nieporządkiem do domu się wkradną.
Gdzie długi, jak płaz szpetny, przez próg się przewleką,
Tam komornik już bliski — woźny niedaleko!
Na tobie samej ciąży najgłówniejsza wina:
Pobłażałaś Wasani płochym sprawkom syna,
Teraz nadeszła kara zaślepienia twego.

PANI HRABINA.

Papo, drogi mój papo! ratuj Marcelego!
Dziś nie czas już obwiniać mą ufność niebaczną;
Za kilka godzin kursa za miastem się zaczną.
Imię Marcelka w listę goniących wpisane,
A wszystkie jego konie zaaresztowane!
Nie stawić się na placu nie byłożby wstydem?
Pomóż, pomóż nam papo skończyć rzecz z tym żydem!

PAN BONAWENTURA, z oburzeniem.

Jakto? a więc Wasani wstydem to rozumie
Że zabraknie Marcelka w sowizdrzałów tłumie?
A na to żadna w tobie nie ozwie się skarga,
Że syn twój, po lichwiarzach zacne imię szarga!
Czyż i tym razem jeszcze pójdzie w las nauka?
Nie — mam lepszą opinję o rozsądku wnuka.
Czuję, że po konfuzie która go spotyka,
Nie stanie grać przed rzeszą roli harcownika.
Że, gdy go w tem, czem grzeszył, dotknął palec Boży,
Pod tym ciosem opatrznym we łzach się ukorzy!

PANI HRABINA.

Drogi papa nie pojmie, pośród tego miasta,
W jakie olbrzymie kształty każda plotka wzrasta;
Ile złośliwych żartów z wszystkich ust wystrzeli,
Jeżeli się na kursach nie zjawi Marceli. —
A cóż to za wstyd będzie, gdy się w końcu wyda,
Że go zatrzymał w domu prawny areszt żyda!

PAN BONAWENTURA.

Wiem ja, o! wiem niestety! że w waszej Warszawie,
Zamiast płakać w cichości, myślą o zabawie!
Że gdy im hec, teatrów, muzyki za mało,
Szydzić z biedy bliźniego rozrywką się stało!
Lecz wiem także, iż w mieście gadano nie tajnie
O zbytkach mego wnuka na konie i stajnie.
Szał jego był czas długi powiastką uliczną;
Niechaj więc i pokuta stanie się publiczną.

Może, ten smutny przykład mając przed oczyma,
Niejeden marnotrawca w szaleństwach się wstrzyma!

PANI HRABINA, składając ręce błagalnie.

Nie! — Papa nie odepchnie mojej prośby wdowiej,
Tak ciężkich upokorzeń oszczędzi wnukowi! —
Przewinił on płochością i dziś jest w rozpaczy;
Bóg każe nam przebaczać, więc papa przebaczy.
Cios domowy przed obcych wejrzeniem zasłoni
I przyjdzie nam z pomocą do wykupu koni.

PAN BONAWENTURA.

Przebaczyć? — O! przebaczać, u mnie rzecz nie rzadka!
A od czegoż jest serce i ojca i dziadka?
Gniew tam gaśnie jak iskra co na wodę padnie,
Bo żywy zdrój miłości w tem sercu jest na dnie!
Gniew zniknął — a w tej chwili nie czas się i żalić —
Ja tylko myślę nad tem jak wnuka ocalić;
Ale myślę nad takiem jeno ocaleniem,
Któreby zaród złego wyrwało z korzeniem!
Tak — przyjdę wam z pomocą, wydam grosz ostatni,
Aby was wyswobodzić z tej lichwiarskiej matni —
Ale oboje razem czuwajmy i brońmy
Marcelemu, by dłużej miał trudnić się końmi,
Które go do haniebnej ciagnęły ruiny!

PANI HRABINA, całując go w rękę.

O! mój papo najdroższy, mój papo jedyny!
Niech od jutra się zacznie pokuta za winy —
Lecz dzisiaj, niechaj papa wnukowi nie wzbrania.

PAN BONAWENTURA, przerywając jej, żywo.

Bez najmniejszego sensu Wasani żądania!
Trzeźwieniem pijanego jesteśmy zajęci,
Który zmorzony trunkiem leży bez pamięci;
A Wasani od tego trzeźwienie poczyna,
Że chcesz podać mu szklankę i nalewać wina?

Już dłuższą o tych kursach nie dręcz mnie rozmową:
Usłyszałaś Wasani me ostatnie słowo. —

(Po chwili — mówi spokojnie.)

Teraz do interesu. — U twojego syna
O jakąż się to sumę lichwiarz dopomina?

PANI HRABINA, nieśmiało.

Dług ten, do pięndziesięciu tysięcy dochodzi —
Ale niechaj nie myśli papunio dobrodziej,
Że Marcel wziął to wszystko — niech papa pamięta
Iż tu weszły w rachunek procentów procenta,
Koszta — —

PAN BONAWENTURA, żywo.

O tych szczegółach nie gadaj mi dłużej,
Nie brudź ust twych tem błotem z żydowskiej kałuży!

(Po namyśle.)

Ha! pięndziesiąt tysięcy! to pieniądz dość duży;
Na sport trzebaby widzę fortuny książęcej —

(Pokazując na stojącą szkatułkę.)

Mam tu w listach zastawnych dwadzieścia tysięcy —
Jeśli dziś Tatarkoski kupca nie ominie,
Przeszło tysiąc talarów za wełnę mi wpłynie —
To już kwota nie lada! — a dodamy do niej
Sumę, która się zbierze z wyprzedaży koni. —

PANI HRABINA, z przerażeniem.

Co? konie —

PAN BONAWENTURA, z uśmiechem.

Tak kochanko! wyprzedamy konie!
A za niemi i drabów angielskich wygonię,
Że mi się nie obejrzą aż gdzieś tam za morzem. —
Tym sposobem kres zbytkom stajennym położym.
A co? czy nie pochwalasz słuszności mych planów?

PANI HRABINA.

Dzięki papie za pomoc! — Ale się zastanów
Drogi papo — że raptem odjąć Marcelemu
Wszystkie konie — —

PAN BONAWENTURA, marszcząc brwi.

Wasani zawsze po swojemu!
Pop swoje a czort swoje! — Czy myślisz Wasani,
Że dziś znów dam się skusić słodkim głosem pani?
I zastraszę się myślą, że plotkarka jaka,
Nazwie tę wolę moją tyraństwem dziwaka? —
Owszem, będę się chlubił, gdy świat modny powie:
Że dziad nudny zabronił warjować wnukowi!
Scenę rajskiej pokusy graj Wasani sama:
Ewa jest — lecz nie będzie słabego Adama! —
Przebaczyłem — a ty mnie chcesz gniewać na nowo?
Tak być musi — to moje ostateczne słowo! —

(Mówi spokojnie.)

Ot już sprawy część pierwsza — druga się zaczyna;
Wróć kochanko do domu, a przyślij mi syna —
Chcę z nim o interesach pomówić bez świadka.

PANI HRABINA.

Marcelek bał się stawić przed obliczem dziadka —
Biegliśmy tu oboje smutni, zatrwożeni,
Lecz on został na dole i czeka mnie w sieni.

PAN BONAWENTURA.

Ten wstyd wróży mi dobre, przysparza otuchy.
Kto wstydzi się swej winy — dojdzie i do skruchy!

PANI HRABINA, całując ojca w rękę.

Odchodzę — i za chwilkę przyszlę papie wnuka —
Tylko niech drogi papa nie bardzo nań fuka!

(Odchodzi.)

SCENA V.

PAN BONAWENTURA, SAM.

Przebaczyłem — i łajać nie myślę już wcale —
Pieniędzmi od żydowskich szponów go ocalę;
Lecz to nie dosyć — teraz zdrową radą muszę
Ocaliwszy majątek, ocalić mu duszę —
Wzbudzić, jeśli w nim gasną, honoru uczucia,
Wyrwać biednego chłopca z tej kaźni zepsucia;
Niech na ludzki szacunek poczciwie zarabia,
By stać się jeszcze godnym swych przodków —

WOJCIECH, uchylając drzwi.

Pan hrabia!

SCENA VI.

PAN BONAWENTURA I PAN MARCELI.

PAN MARCELI, wchodząc, rzuca się do nóg dziadka.

Dziadziu! najdroższy dziadziu! czyż zdołam w tę chwilę
Wyrazić me podzięki za dobroci tyle?
Niech od słów wymowniejsza łza, co z ócz mi spada,
Mój szczery żal ogłasza — wdzięczność opowiada!

PAN BONAWENTURA, podnosząc go.

Widzisz panie Marceli do czego to wiodą
Wasze kursa i sporty z angielszczyzny modą!
Widzisz, syn zacnych ojców na co się naraża,
Gdy go płochość raz pchnęła w brudny próg lichwiarza!
Zbytek, dawnać to plaga śród naszej krainy.
Zawsze bies gnał do szału — a szał do ruiny!
Niegdyś, placem wyścigów były polskie bory:
Rujnowała się młodzież na łowieckie sfory,

A gdy ktoś zagrzązł w długi — cała okolica
Powtarzała z przekąsem: «psy zjadły szlachcica»
Dziś inna znów zaraza nad szlachecką miedzą:
Dzisiaj konie angielskie z kretesem was zjedzą!
Stajnia, od psiarni stokroć żarłoczniejszym sępem —
Ot profit, któryś waszeć nazywał postępem! —

PAN MARCELI, z uczuciem.

Dziaduniu! już ja nie ten, którym był niedawno!
Chcę tutaj przed dziaduniem odbyć spowiedź jawną,
Jak gdybym klęczał korny przed konfesjonałem. —
Trzy lat temu — gdy, porwan nowomodnym szałem,
Pierwszegom konia kupił — nie przewidywałem
Jak ten pierwszy wydatek wciągnie mnie daleko
I do jakiej mnie zguby te konie powleką!
Na koszt stajni, szła co rok z dóbr intrata cała,
Wkrótce i sprzedaż lasów już nie wystarczała!
Brakło złota — lecz rzekli młodzi towarzysze,
Że o złoto nie trudno gdy się skrypt podpisze,
I usłużni — zawiedli aż do Mośkowicza
Który na gruby procent gotówki pożycza. —
A raz już zanurzony w tej zdradliwej fali,
Zamiast wrócić do brzegu, brnąłem coraz dalej.
Zaspokojona żądza, nową siała żądzę,
Bo każdy pociąg pióra sypał mi pieniądze.
Dziś przejrzałem nareszcie — dziś czuję że błądzę!
Ocucił mnie z uśpienia grom co mnie uderzył —
Dziadziu! jam w parę godzin długie lata przeżył!
Udręczył mnie, lecz podniósł święty głos sumienia.
O! zdrowym jest choć gorzkim, owoc doświadczenia.

PAN BONAWENTURA, ściskając go.

Niech ci Bóg błogosławi na tej skruchy drodze!
Twojemi szaleństwami zmartwiłeś mnie srodze;
Ale oto mi błysła niebieska pociecha —
W twem życiu moje życie znów mi się uśmiecha!
O! nie płonnemi były duszy mej przeczucia,
Że twe serce Marcelku, wolne od zepsucia;

Że tylko umysł młody z chucią nieoględną
Pchnął cię chwilowym wirem nad tę przepaść błędną,
Kędy kwiaty cnót wszystkich marnieją i więdną:

(Po chwili namysłu.)

Już musiała ci matka oznajmić me plany —
Wiesz czego się domagam mój wnuku kochany?

PAN MARCELI.

Mówiła — i cieszyłem umartwioną mamę —
Bo i mnie zdrowy rozum dał rady też same.
Tak! pojmuję — ma rację dziadunio dobrodziej:
Już mnie dziś na wyścigi jechać się nie godzi.

PAN BONAWENTURA.

Dobrze! — A teraz inna myśl mnie niepokoi:
Musim teraz pomówić o przyszłości twojej. —
Ufam twym sentymentom, ale cię w Warszawie,
Samego, śród niedawnych pokus nie zostawię.
Za jaki tydzień — gdy się przy pomocy Bożej
Twój interes ułoży i twój dług umorzy,
Wezmę cię z sobą na wieś, na lepsze zabawy,
Byś nabrał do rolnictwa ochoty i wprawy;
Byś poznał jak to skrzętność, porządek i praca
Złotym plonem, za trudy ziemianom odpłaca.
A gdy się u mnie — ze wsią obznajmisz powoli,
Pójdziesz chętniej pracować na swej własnej roli.
Ród nasz zawsze się bawił orężem i sochą,
A ta ziemia nie była dla niego macochą;
Ziemia odwdzięcza dłoni co ją w skiby kraje,
Ona nie bierze lichwy, choć z lichwą oddaje!
Na wsi, w każdej dnia chwili jest nowa robota,
Szał żaden ani fraszka umysłem nie miota;
Miejskich próżniaków język spokoju nie drażni,
Nuda nie rodzi plotek — plotki nieprzyjaźni! —
Marcelku! mnie odmładza ta błoga nadzieja,
Że modnego sportmana zmienię w grykosieja
I złe które cię żarło, zniszczę w samem jądrze. —

PAN MARCELI, całując go w rękę.

Wszystkie plany dziadunia pomyślane mądrze.
Słowa jego, jak zasiew padną w rolę żyzną:
Wczoraj byłem młodzikiem — dziś jużem mężczyzną!

WOJCIECH, uchylając drzwi.

Pan Tatarkoski.

SCENA VII.

CIŻ SAMI I PAN TATARKOSKI.

PAN TATARKOSKI.

Niechaj będzie pochwalony!

PAN BONAWENTURA.

Na wieki wieków — Amen!

PAN TATARKOSKI.

Interes skończony.
Twardszym był od kamienia niemczysko niezdara;
Chciałem żeby postąpił choć po pół talara,
Lecz ani weź. — U lutrów to już taki narów,
Że twardzi. — Tysiąc dwieście czterdzieści talarów
Wypłacił — część w papierach, a resztę dał złotem.
Oto są:

(Rozkłada pieniądze na stole.)

PAN BONAWENTURA.

Zostaw Wasan — policzę je potem.
Już mi tu nie potrzebnyś — ale jutro z rana
Nie zapomnij przyjść do mnie. —

PAN TATARKOSKI, kłaniając się.

Sługa Jaśnie Pana!

(Sam do siebie na stronie.)

A teraz gdym się pozbył jarmarcznych kłopotów,
Cichutko, z przeproszeniem, czmychnę pod Mokotów.

(Odchodzi.)

PAN BONAWENTURA, licząc pieniądze.

Tysiąc dwieście czterdzieści — nie brak i fenika.

(Kładzie w kieszeń — otwiera szkatułkę, dobywa listy zastawne i mówi do Marcelego.)

No, pójdziemy poszukać pana Komornika —
Jest gotówką, tysięcy dwadzieścia i osiem;
O resztę, na dni kilka kredytu poprosiem. —

(Kiedy pan Marceli wkłada rękawiczki i szuka kapelusza, pan Bonawentura mówi na stronie sam do siebie.)

Ten dzień, nie do feralnych dni życia policzę;
Zaczęły go: niepokój, smutki i gorycze. —
Teraz myśl już spokojna — serce we mnie chrobre:
Nie masz złego któreby nie wyszło na dobre!
Wnuk, po płochych wybrykach młodzieńczego szumu,
Opamiętany, wrócił na drogę rozumu;
A żyd kursowe konie trzymając w areszcie,
Od angielskiej mnie hecy uwolnił nareszcie!
Mogę więc, rozmyślając nad tą szczęsną dolą,
Wyrzec z Horacym: Sic me solvavit Apollo!

Pisane w Dreźnie i Badenie,
we wrześniu i październiku 1857 roku.

V.

GRA I KARCIARZE.

(SATYRA.)

Krwią i łzami pisane człowieczeństwa dzieje —
I kraj nasz, nieraz ciężkie przechodził koleje!
Po stokroć, gdy szarańcze plon ziemi wyjadły,
Pojawiała się nędza, a z nią głód wybladły:
Czarna śmierci posłanka, często dżuma wschodnia
Stosy trupów, haraczem, wybierała co dnia.
To znów sroższe, niż dżuma i głód i szarańcze,
Niszczyły polską ziemię najazdy pohańcze —
Zamieniali w perzynę żyzne nasze włoście:
Turek i Szwed i inni nieproszeni goście!
Dzisiaj już nam nie grożą pohańskie zagony,
Butny Szwed siedzi cicho, bo sam zagrożony —
I morowem powietrzem już Bóg nas nie karze,
I szarańcza mniej częsta na lackim obszarze. —
Lecz nowa oto klęska obrzydła i wściekła,
Na nieszczęśliwy ród nasz wypuszczona z piekła,
Niszczy majątki, zdrowia — chwieje sumieniami
I charakter narodu upadla i plami!
Tą klęską dzisiaj w Polsce jest gry smutny narów:
A karty zastąpiły głód, mór i Tatarów! —
Prawda, że to nie całkiem nowy wynalazek;
Oddawna świat ubóstwiał karciany obrazek. —

Już Opaliński miotał na kosterów lancę,
A Krasicki z przekąsem pisze o hapance!
Przecież gra mniej chłonęła pieniędzy i wczasu,
Była skromną zabawką do zabicia czasu —
Nie słychać, by na kartę stawiał gracz szalony,
Włość po ojcach, chleb dzieci, albo posag żony.
By spłacić dług karciany, przezwan honorowym,
Nie szły do żydów srebra z klejnotem rodowym. —
Złotówką, nie dukatem walczyli szermierze:
Ja sam z księdzem proboszczem grałem o pacierze!
  Dawniej, zimową porą, gdy w dom pana Jacka
Pan sąsiad Kalasanty zawitał z nienacka,
Było się na co patrzeć, gdy po pogadance
O siewbie i o młockach, przy węgrzyna szklance,
Co budzi afekt w sercu a troski rozprasza,
Zasiedli staruszkowie do partji marjasza. —
  Po półzłotku do stawki — za symplę sześć groszy —
A dwanaście za dublę — lecz ileż roskoszy
Na ich twarzach, a w ustach jaki uśmiech szczery,
Gdy który z nich brał ciągle tuzy i kozery —
A nadewszystko, jakaż tryumfalna chwila,
Gdy w przedostatniej karcie wyciągnął pamfila —
I zadawszy z czterdziestu musnął wąs sierdzisty,
Dograł — i biorąc pulę krzyknął: perdidisti!
  Po dwugodzinnej walce zmiennej alternaty,
Okazało się w końcu dziesięć złotych straty. —
Zwycięzca nie zrujnował sąsiedzkiego mienia,
Zwyciężony spał smacznie, bez zgryzot sumienia:
Nie rwał włosów na głowie w komicznym zapędzie
I nie klął się na Boga, że już grać nie będzie! —
  Dziś inne obyczaje — dzisiaj szlachta nasza
Gardzi już skromną stawką starego marjasza —
Drużbart i Kiks, praojców niewinne zabawy,
Zeszły z pańskich stolików na lokajskie ławy.
Już i Wist gra poważna, stała się zbyt nudną,
Bo przy rozsądnym wiście zrujnować się trudno! —
Trzeba gier postępowych na oświaty czasy:
Nastały Preferanse, Sztosy, Gierylasy;

Djabełek wybiegł z piekła i służy z ochotą,
Zgarniając plon niw naszych przekuty na złoto;
A Faraon, pochłonion falami morskiemi,
Wypłynął — i króluje w błogiej Piasta ziemi! —
Patrzcie! w dzień uroczysty Świętego Michała
Na dwór solenizanta szlachta się zjechała.
Bankiet suty gościnność przodków przypomina;
Piętrzą się stosy mięsiw, płyną strugi wina —
W licznem gronie gwarliwa wszczęła się rozmowa:
Niebrak żartów — lecz słychać i poważne słowa.
Tu starzec, do młodszego zwrócony sąsiada,
O dawnych lepszych czasach z żalem rozpowiada;
Tam wojak, kreśląc palcem wąwóz Sommo-Sierra,
Tnie szarżę po obrusie i działa zabiera. —
Inny, późniejsze boje przypomniał i wzdycha —
A młodzież słucha pilnie i coś szepce zcicha.
Wtem gospodarz powstawszy przy ostatniej misie,
Z pełną kulawką w ręku huknął: Kochajmy się!

Dotąd, zwyczajem ojców szło Patrona święto:
Lecz zaledwie talerze i nakrycia zdjęto,
Znalazł się zaraz szuler jeden, drugi, czwarty,
Co gada o partyjce i wyciąga w karty. —
Tamten już siadł za stołem i głosem Judasza
Do banku Faraona amatorów sprasza:
A jak zdradliwy ptasznik sadzi w klatkę wabia
I nastawione sidła jagodą ozdabia:
Tak pan Anzelm rubaszną dykteryjką znęca
I rozsypanem złotem do zguby zachęca. —
Otoczył stół fortuny mężczyzn poczet cały,
Kobiety opuszczone w bawialni zostały. —
Młódź nasza, ponętniejszej dziś hołduje Pani,
Uśmiech Damy pikowej stokroć słodszy dla niej!
Rycerze, co do nowych turniejów się garną
Dwie tylko noszą barwy: czerwoną i czarną!
Ktoś wyrzekł świętą prawdę, godną słów pacierza,
Że namiętność człowieka zamienia na zwierza. —

Patrzcie! w oczach tych graczy jaki wzrok niezwykły:
Szlachetnych uczuć ślady z wszystkich twarzy znikły;
Zostały tylko na nich potępienia piętna,
Gniew wściekły, podstęp podły i chciwość namiętna! —
Rzadki tam był poniter co uniknął szwanku.
Ów całoroczny dochód już zostawił w banku —
Drugi, trzeci, dziesiąty zgrany do szeląga,
Gra na słowo, lub w okół pożyczki zaciąga.
Tamten, straciwszy pieniądz ratuje się fantem:
Stawił złoty zegarek i pierścień z brylantem;
Duszę by własną rzucił w nurt bankowej rzeki,
Gdyby czart nie miał na niej pierwszej hipoteki! —
Pół dnia i wieczór cały i noc całą grano:
A słońce, oko Boże, z za chmur wstając rano,
Zastało szlachtę polską nie z lancą na wartach,
Nie z modlitwą w kościele — lecz w izbie — przy kartach!

Znaczne summy osiadły w bankierskiej kieszeni;
A gracze źli na siebie, wybladli, znużeni,
Rozjechali się wreszcie — robiąc plany drogą,
Jak niechybnym sposobem odegrać się mogą. —

Nie od dziś w okolicy krąży już uwaga,
Że pan Anzelm, zręcznością szczęściu dopomaga —
Że ciągnąc Faraona, ręka jego wprawna
Umie sfilować kartę gdy grubo obstawna —
Że stasować na Asa lub ułożyć lisa,
Jest igraszką dla biegłych palców infamisa!
O tych sztukach sąsiedzi gwarzą pokryjomu,
A jednakże sztukmistrza przyjmują do domu —
Kochanym przyjacielem zowią go nie jedni,
Z uwielbieniem słuchają sprośnych jego bredni;
A gdy ich pieniądz wsiąknął do trzosu Anzelma,
Mówią: «Miły to człowiek — choć myślą, że szelma! —
O! takie pobłażanie straszną u nas winą:
Płochością śród narodów obyczaje giną!

Strzeżmy cnoty praojców — niech uczciwa ręka
Skalanej dłoni łotra dotykać się lęka —
Niechaj nas nie wstrzymują towarzyskie względy,
Bo złe z dołu czy z góry jest ohydą wszędy.
Obcym być nam powinien kto honor swój plami —
By nas świat uszanował, szanujmyż się sami!

Z tych nawiasowych zboczeń powracam do treści,
Bo to jeszcze nie koniec mej smutnej powieści! —
Dawniej, gdy się zebrało liczne gości grono,
Prawda, że nazbyt częstym kielichem grzeszono.
Lecz gdy wszyscy po uczcie w bawialni zasiędą,
Umiano czas umilać ciekawą gawędą
O zjazdach Trybunalskich, Sejmikowych mowach,
O figielkach kaniowskich i nieświezkich łowach —
O bitwach w których ojce przeważnie łamali
Zastępy Turków, Szwedów, Niemców i tak dalej.
Lecz odkąd zawitały w nasz kraj staroświecki
Obyczaje francuzkie i rozum niemiecki,
Odkąd pokój bawialny przezwano salonem,
Gawędzić, jest prostactwem — a śmiać się, złym tonem!
Dziś, przy weselnych godach, albo w dzień imienia,
Zaraz się dwór szlachecki w szulernię zamienia. —
Gdzie nie dośpiał Faraon, Djabełek się wkrada
I jak szarańcza, złoto w kieszeniach wyjada —
Lub szalony Preferans, nakształt Tatarzyna
Przez dwie doby rabuje, podpala i ścina! —
Kto się nad tajnikami ludzkich serc zacieka,
Niechaj się na tych graczów popatrzy zdaleka. —
Tutaj przy jednym stole, o! hańbo bez miary!
Nieraz dwóch młodych synów i ojciec ich stary,
Zmięszani z rozbestwioną zapaleńców zgrają,
Bez rumieńca na czole, obok siebie grają! —
Ten, stracił już majątek — pożyczką się łata,
Ztąd wyrwał kilka złotych a ztamtąd dukata,
I kosztem poniżenia, jałmużnę zebraną
Przynosi w drżącej dłoni na pastwę karcianą! —

Tamten znów, został sknerą choć dawniej żył w zbytku,
Ujmuje własnej gębie strawy i napitku,
Skąpi obuwia dzieciom albo sukni żonie,
By zaoszczędzić grosza — który Sztos pochłonie!
Inny, szatańską siłą nad przepaść zagnany,
Naruszył cudzy fundusz w depozyt mu dany;
Niepomny kary Bożej, ni ludzkiej pogardy
Wypuszcza szeląg wdowi na banków hazardy!
Ten odmówił stu złotych krewnemu, co w nędzy,
Skarżąc się na złe czasy i na brak pieniędzy —
A z pełnym workiem zasiadł śród graczy kamratów
I w partji Preferansa przegrał sto dukatów!

Lecz i tych gier nie dosyć. — Ledwie z końcem lata
Wejdzie do pustych stodół dań ziemi bogata,
Nasze Panki sprzedawszy zmłóconą pszenicę,
Pod pozorem kuracji, jadą za granicę. —
Większa część z nich tak zdrowa jak ryby w ich stawach,
Myśli tylko o balach, koncertach, zabawach —
Jedyną ich chorobą jest do gry ochota,
Chcą kąpać się w krynicach bankowego złota,
I pieniądz krwawym potem z niw polskich wydarty,
W Badenie i w Homburgu przepuścić na karty. —
Lecz są prawdziwie chorzy i tych żal mi szczerze;
Oni do zbawczych źródeł jadą w dobrej wierze —
Ale wciągnieni zwolna przykładu pożogą,
Wkorzenionym nałogom oprzeć się nie mogą —
Niszczą grą sił nabytek zyskany lekami,
I niebaczni! szaleni! mordują się sami.
Doktor kazał pić wody, chłodzić się dietą;
Aż tu Pan, na pedogrę leczy się ruletą. —
Z ręką drżącą do pokus, z krwią nabiegłem czołem,
Bierze łaźnie parowe nad zielonym stołem!
Inny, co miał ratować płuca zagrożone,
Całe dnie się kuruje — w Czarne i Czerwone!*)

*) Znana gra, rouge et noir.

Wbiegła w pierś zrujnowaną gry ognista żmija
I ostatki żywota swym jadem dobija —
I dobije — i grób mu kopiąc, może śmiało
Pisać nad nim: «Tu leży samobójcy ciało.»
O! szlachetnego zdrowia ożywcza Bogini
Nie mieszka w Benazeta ni w Blanka jaskini*) —
Jej, przy ciepłych powiewach pogodnego nieba
Ciszy, swobodnej myśli i spokoju trzeba.
Świat gorączkowych wzruszeń, obcym dla niej światem,
Wrogiem każda chuć brzydka, a każda gra — katem! —

Może ta mowa szczera przebrzmi niesłuchana. —
Lecz poeta w narodzie ma urząd kapłana:
Gdy mu sumienie każe, powinien z odwagą
Gromić ziomków i prawdę powiadać im nagą!
Mniejsza, że źli i głupi powstaną nań z wrzawą,
Krzycząc: «Do strofowania kto tobie dał prawo?»
Byle choć kilku mądrych i zacnych współbraci
Rzekło, dłoń mu ściskając: «Niech ci Bóg odpłaci.» —
O! wy wszyscy, dotknięci dżumą gry zajadłą,
Od której tyle ofiar w polskiej ziemi padło!
Jeżeli was sumienie własne nie oświeci,
Nie wstrzymają łzy żony, ani jęki dzieci,
Niech wam wdowia ojczyzna stanie przed oczyma
I błagalnym was głosem nad przepaścią wstrzyma!
Gdy zewsząd wróg na byt nasz chciwym szponem sięga,
Majątek, to ostatnia narodu potęga —
To wpływ, to niezależność, to część wspólnej broni:
I wielkim grzeszy grzechem kto majątek trwoni!
Na zbytki, na karciarstwo tracąc ojcowiznę,
Rozszarpujemy sami, rozdartą ojczyznę. —

---

*) Benazet w Badenie a Blanc w Homburgu, dyrektorowie sławnych szulerni europejskich.

Ziemię, kędy nam zbiegły błogie dni dziecięce,
Wydając z kośćmi przodków w cudzoziemskie ręce —
Nie mamy wstydu w duszy, litości nad krajem,
I jak bracia Józefa, własną krew sprzedajem! —

Drezno, dnia 7. września 1857.

VI.

PAPUGA I WRÓBEL.

(BAJKA.)

Nie pamiętam w której stronie,
Czy to w Litwie, czy w Koronie —
Dość że w Polsce, tego czasu
Narobiło to hałasu;
I daj Boże! by dzieci nasze, lub choć wnuki
Skorzystały z tej nauki! —

Za pałacem, śród ogrodu
Stała ogromna altana,
W siatkę z drutu oplatana —
W niej ptastwo różnego rodu,
Które wymieniać rzecz byłaby długa.
Lecz rej wodziła papuga;
Bo w kraśne pióra okryta
I z gadulstwa znamienita,
A ztąd najbardziej zuchwała,
Że kilka słów francuzkich na pamięć umiała
I ciągle je powtarzała. —

Dudki, pawie i gawrony
Uwielbiały z wielkim krzykiem
Że ród papug tak uczony
Iż obcym gada językiem.
A ona,
Wielką dumą napuszona,
Z żadnym się już w rozmowę nie zawdała ptakiem;
Z jednym tylko szpakiem
Czasem przywitać się raczy;
Bo wiadomo, że bardzo sprytny naród szpaczy —
I ten, słuchając pilnie przez czas długi,
Nauczył się wymawiać kilka słów papugi,
Ztąd łaska i uprzejmości
U owej hardej Imości,
Co siadłszy na pierwszej grzędzie,
Chciała rozkazywać wszędzie. —

Wszystkie ptaki,
Jaki taki,
Spuściwszy główki na dół i pisnąć nie śmiały,
Chyba, by głosić papugi pochwały —
Aż w tem, wróbel mały,
Choć niepozorny z postaci,
Ani z miny,
Ni z czupryny,
Ale szczerszy i śmielszy od ptaków swych braci —
Zadarłszy dzióbka do góry
Rzecze do niej: «Moja pani,
«Zkąd te fochy u Wasani!
«Wyrzekłaś się danego głosu u natury
«I z nas jeszcze chcesz tu szydzić?
«I przewodzić nudnym krzykiem,
«Paplając cudzym językiem;
«Ot, powinnabyś się wstydzić,

«Bo to brzydkie są narowy
«Zapominać własnej mowy!
«Wiem ja dobrze, że słowiki
«I skowronki i czyżyki
«Bardzo piękne mają głosy —
«Jednak im nie zazdroszczę ni sarkam na losy;
«Ale sobie świergocę jak moi ojcowie,
«Szarzy wróblowie —
«I nie trzeba mi było obcej mowy wiedzieć,
«Aby ci prawdę powiedzieć.» —

* * *

Miał rację wróbel choć szary i mały. —
Oby tylko te słowa, z serca wyczerpane,
Nie padły jak groch na ścianę
I z wiatrem się nie rozwiały!

Dziś, kiedy nam spętanym śród potrójnej matni,
Narodowości naszej, wróg zagładza szczątki —
I niszcząc drogie po ojcach pamiątki
Radby wydrzeć i język, ten skarb nasz ostatni:
Byłby też czas się nawrócić,
Wiekową śmieszność porzucić,
I w imię Polski przysiądz na ślub uroczysty,.
Miłować język ojczysty!

Znać obcych narodów mowy
To rzecz arcy-użyteczna
I konieczna —

Ale Polak do Polaka
Używać w listach, albo do rozmowy
    Francuzkiej mowy —
Wielki to grzech moda taka,
Świętokradzkiemu równy grzechowi,
    Bo grzech przeciw narodowi! —

Aix, 1844.

VII.

ELEGJE, PIEŚNI I PIOSNKI.

WĘDROWIEC SAMOTNY.

Szedł znużony wędrowiec — przed nim, obok drogi,
W cieniu, drzew, stoi domek biały i chędogi.
Przed sienią, dwie niewiasty — starsza białogłowa
Znać matka — druga młoda — córka lub synowa.

U stóp ich mały chłopczyk, nadbiegły z podwórza,
Trzyma różyczkę w ręku — sam piękny jak róża. —
A wzrok wszystkich ku bocznej drodze obrócony,
Znać czekają na kogoś co wróci z tej strony.

Zatętniało — kurzawa wznosi się na błoniu,
A za nią widać jeźdzca na bułanym koniu —
Starsza go pani dziecku wskazuje przez drzewa,
A młodsza, białą chustką radośnie powiewa. —

Wędrowiec zwiększył kroku — z oczu łzy żałobne,
A z ust płyną mu słowa do tych łez podobne:
«Boże! przebacz mi Boże! żem w ducha skrytości
«Pozazdrościł bliźniemu szczęścia i miłości —

«Wspomniawszy, że mnie kiedyś jadącego z dali
«Matka i brat i siostra przed progiem witali —
«A dziś, w końcu mej drogi co taka daleka,
«Ja nie czekam nikogo i nikt mnie czeka.»

Heidelberg, 7. grudnia 1850.

TĘSKNOTA ZA KRAJEM.

A znasz ty kraj ten, gdzie brzegiem strumieni
Niezapominki i kaliny rosną;
Gdzie zbórz falami niwa się płomieni
A bory śmią się jedliną i sosną —?
Gdzie chmiel złociste rozwiesza festony
Po szczytach, olszym usrebrzonych mchami;
Gdzie biała brzoza i jawór zielony
Błyszczą malownie nad łąk kobiercami?

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę —
I nie będę szczęśliwy,
Aż te lasy, te niwy,
Jeszcze raz choć zobaczę! —

A znasz ty kraj ten, gdzie wzdłuż bitej drogi,
Co płynie wstęgą pod topoli cieniem,
Każdy wędrowiec, czy pan, czy ubogi,
Wita przechodniów Chrystusa imieniem?
Gdzie szary bocian na dachu przedsienia
Wije swe gniazdo za wiosny powrotem;
Gdzie krzyże z drzewa, lub święci z kamienia,
Stoją na straży przed wsi kołowrotem?

Oh! za tym krajem,
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę —
I nie będę szczęśliwy,
Aż te sioła, te niwy,
Jeszcze raz choć zobaczę!

A znasz ty kraj ten serdeczny, wesoły,
Gdzie się gospodarz, pełen uprzejmości,
Wszystkiem co może dzieli z przyjacioły
I tęskni w domu kiedy nie ma gości?
Gdzie lud choć biedny, rad w święto się stroi;
W tańcu czy w pracy, zawsze piosnki śpiewa;
Gdzie czapka chłopca i warkocz dziewoi
Szychem się świeci, wstęgami powiewa?

Oh! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę —
I nie będę szczęśliwy,
Aż te stroje, te niwy,
Jeszcze raz choć zobaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie w chwilę wesołą,
Gdy grzmi od ucha zapustna kapela,
Sunie poważnie poloneza koło,
Jak szyk pancernych na nieprzyjaciela?
Gdzie rześka młodzież przy hucznym mazurze
Brzękiem podkówek gromko takt wybija;
Gdzie żywym wieńcem, przy piosenek chórze
W rączych się pląsach krakowiak przewija?

Oh! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę —
I nie będę szczęśliwy,
Aż te tańce, te niwy,
Jeszcze raz choć zobaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie na głos ojczyzny
Mąż rzuca żonę, kochanek kochankę;
Gdzie starzec z chlubą wskazuje swe blizny,
A młodzian cieszy się na bojów wzmiankę?

Gdzie każdy pomnik starożytnej chwały
Ma swych czcicieli i swój liść wawrzynu;
Kraj, choć go losy w obcą przemoc dały,
Silny na duchu i skory do czynu?

Oh! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę —
I nie będę szczęśliwy,
Aż tych ludzi, te niwy,
Jeszcze raz choć zobaczę!

Paryż, 1844.

ELEGJA.

Dio per adornarne il cielo
La si ritolse, che rosa era da lui.
(Petrarca.)

---

* * *

Bóg, chcąc pokazać światu doskonałość nieba,
Chcąc zmienić w rzeczywistość marzenia poety,
Na tę ziemię wygnania — gdzie pociechy trzeba —
Zsyła czasem anioła w postaci kobiety!

Wtenczas inne anioły przy rozstaniu z bratem
W własne wdzięki go stroją — ten promieni oczy,
Tamten liljowe lica barwi mu szkarłatem,
Inny mu swoich czarnych pożycza warkoczy!

I w rozstaniu nie widać żałości z ich mowy,
Bo wiedzą, że ta droga krótką do przebycia —
I że wkrótce uśpiony w kolebce grobowej,
Weźmie skrzydła złożone przy kolebce życia!

* * *

Widziałem ją — dwudziestą drugą miała wiosnę,
Widziałem ją przybraną we wdzięki urocze —
Jednak do mego serca, przeczucie żałosne
Zdawało się przemawiać te słowa prorocze:

«Jest to gwiazdza przelotna z edeńskich przestrzeni,
«Zabłąkana na chwilę śród naszego nieba —
«Bo dla blasku bijących z jej czoła promieni
«Większego niźli świat nasz przestworu potrzeba!

«Jest to róża wyrosła gdzieś na innej błoni,
«Co na chwilę rozkwitła między śmiertelnemi —
«Bo trzeba jej gałązkom, listkom pełnym woni,
«I gorętszego słońca i żyzniejszej ziemi. —

* * *

O! nie płaczcie jej zgonu, wy, coście jej cnoty
I jej wdzięki z bijącem sercem uwielbiali;
Ona musiała z nami pędzić dni tęsknoty,
Bo dawni towarzysze w niebie ją czekali.

Ona, w samotnych chwilach cichego dumania,
O wyższych niźli ziemskie roskoszach marzyła —
I ukończywszy smutną pielgrzymkę wygnania,
Z tego padołu płaczu, ku niebu się wzbiła.

Jako biała gołąbka porwana od burzy
I zapędzona wichrem w okolice inne,
Co z nadejściem pogody, po trudnej podróży,
Uradowana, wraca na gniazdo rodzinne!

Aix, 1835.

MOGIŁA SUŁKOWSKIEGO W EGIPCIE.

Pół wieku już dobiega, jak po matki zgonie
Polak walczy o byt jej. — Jest że ziemia jaka,
Któraby polskich kości nie miała w swem łonie?
Coby się nie napiła krwi lub łez Polaka?

Na Afrykańskich brzegach wznosi się mogiła
Sułkowskiego — zbłąkana między obce groby;
Palma, wysmukła córa pustyni, zwiesiła
Nad nią włos swój zielony, jak sztandar żałoby!

Nad nią fontanny szemrzą srebrną pieśń pogrzebu,
Jak odaliski młode z zapłakanem licem;
A wieżyce Kairu, rosnące ku niebu
Z meczetów Mahometa, świecą jej księżycem!

Nad nią pielgrzym Mekkański czasem chwilkę bawi,
Czekając, aż Imani czas modlitw ogłoszą;
Nad nią lecące stada wędrownych żórawi,
Goście z północy — woń jej rodzinną przynoszą!

W koło niéj puszcza dzika — czasem wichru fala
Zbudzi uragan śpiący na katakomb łożu;
Lub zielona oaza ukaże się zdala,
Jak okręt po piaszczystem żeglujący morzu!

Lub trącające w niebo, głowy kamiennemi,
Piramidy, to cudo dawnych świata cudów,
Jak olbrzymy zbłąkane na Pigmeów ziemi,
Głoszą zmarłym językiem dzieje zmarłych ludów!

Aix, 1833.

ANIOŁOWIE STRĄCENI.

Czyż serce zdoła pojąć, czyż piosnka opisze
Tę rozpacz — gdy skarani za dumę anieli
Rodzinne progi niebios porzucać musieli,
Gdy ich żegnali dawnej chwały towarzysze?

Nie — nic się nie porówna z wygnańców żałobą;
A jednak ja uczułem w głębi duszy mojej,
Co to jest być strąconym z nadziemskich podwoi,
Gdym, luba, raz ostatni rozstawał się z tobą!

Ale przed wygnańcami z nieśmiertelnej chwały,
Na skrzydłach pomsty niebios spieszył wstyd i trwoga —
Za nimi groźno huczał gniewny piorun Boga,
Gwiazdy za niemi okiem wzgardy poglądały!

Przedemną szła nadzieja z anielskim urokiem
I w wspomnieniach przeszłości pociecha niebieska,
Za mną, twoja modlitwa, westchnienie i łezka,
Przyjaźń za mną litosnem poglądała okiem!

Więc nie płaczę wraz z nimi, gdym utracił ciebie —
Ich nie ujrzą już dawnych towarzyszów roje,
My się kiedyś, o luba! spotkamy oboje:
Ich niebo rozdzieliło, my złączym się w niebie!

Warszawa, 1828.

DO WIKTORA DE LAPRADE.

(ODPOWIEDŹ NA WIERSZ JEGO DO WYGNAŃCÓW POLSKICH.)

..... nous sommes deux fois frères,
Par la foi dans le Christ et dans la liberté!
(V. DE LAPRADE.)

Chrześcijański poeto! Polskich ziem pielgrzymy
Bratnią dłoń ci podają — i za twoje rymy
Wdzięczne ich serce dzięki ci powtarza;

Boś pojął ich cierpienia, boś świętemi łzami
Płakał nad ich biednego narodu losami,
  Jak niegdyś Chrystus nad śmiercią Łazarza!

Wonne kwiaty, coś rzucił na grób naszych braci,
Nie powiędną — ich szkarłat koloru nie straci:
  Codzień je łzami odwilżym świeżemi —
I kiedyś, powróceni w zacisza domowe,
Damy je matkom naszym i siostrom — jak owe
  Relikwie z obcej przyniesione ziemi!

Religijna pieśń twoja, co wiarą pociesza,
Wytrysła nam z twej duszy, jak ów zdrój Mojżesza
  Wybrańcom Boga, zbłąkanym w pustyni —
A jej wyrazy, pełne nadziemskiego tonu,
Zabrzmiały nam jak dźwięki dalekiego dzwonu,
  Co woła wiernych do Pańskiej świątyni!

Bardy, których z nad Wisły klęski tu przywiodły,
My powtarzamy codzień ojców naszych modły
  I słodzim żal nasz nadziei piosnkami —
Jak syny Izraela co w obcej ziemicy
Nucili hymny święte, smutni niewolnicy,
  Nad Babylonu smutnemi rzekami!

Lecz pieśni nasze, nieba północnego kwiaty,
Rozwite pośród śniegów, blade mają szaty,
  Bo wzrosły w płaczu nad matki mogiłą;
Bo dla nich nie świeciło południowe słońce,
Ni lekkiego zefiru skrzydło woniejące
  Skromne ich listki całusem pieściło!

I choć wdzięk, jaki mają w mowie narodowej,
Więdną, cudzoziemskiemi przyodziane słowy —
  Jak z pod Tropików owa róż krzewina,
Co, przesadzona w zimne Europy ogrody,
Traci woń — i zaledwie blask dawnej urody
  Kształtem pobladłych listków przypomina!

Więc za wiersz twój, talentu naznaczony cechą,
Ja ci tylko dać mogę pieśni moich echo —
  Lecz choć ofiara nie równa darowi,
Choć serdeczność jedyną rymów mych zaletą:
Ty przyjmiesz je odemnie chrześciański poeto,
  Jak niegdyś Chrystus przyjął szeląg wdowi!

Aix, 1838.

ELEGJA.

(NA ŚMIERĆ LUDWIKI S... DZIESIĘCIOLETNIEJ POLKI, ZMARŁEJ W PARYŻU, DNIA 8. MARCA, 1846.)

La providence te fait grâce
Des jours que tu devais couler.
(J. Reboul.)

---

* * *

Jak kropla rosy błyszcząca,
Co od rannegoo gorąca
  Usycha —
Jak śpiew słowika pieszczony,
Co nagłym hukiem zgłuszony,
  Ucicha —
Jak złoto-skrzydlny motylek,
Co ledwo kilka żył chwilek
  I mdleje —
Jako różyczka rumiana,
Co jeszcze w pączku zerwana,
  Więdnieje —
Tak nad brzegami Sekwany,
Zdala od ziemi kochanej
  Wołynia —
Zgasła różyczka, fijołek,
Kropelka rosy, aniołek,
  Ludwinia!

* * *

O ty, coś matką jej była,
Ty coś ją łzami cuciła
W chorobie —
I ty, jej siostro kochana,
Co teraz tęsknisz stroskana
Na grobie —
Po tej nadobnej dziecinie
O! dosyć łez już wam płynie
Z powieki —
Niech myśl pocieszy was tkliwsza,
Bo ona od was szczęśliwsza
Na wieki!
O! za nią płakać nie trzeba!
Biała gołąbka, śród nieba
Już gości;
Skrzydlata, buja wesoła
Z złotą gwiazdeczką u czoła,
W jasności! —

* * *

W rajskich lazurów przestrzeni,
W szatę z tęczowych promieni
Ubrana,
Módl się pieszczotko za temi,
Co cię kochali na ziemi —
Do Pana!
Proś i za kraj nasz, co w męce
Bezbronne wyciąga ręce
Z mogiły —
I za te krwi świętej strugi,
Co Tarnów, ten Humań drugi,
Zbroczyły!
Miljonów jęk i wołanie
Gdy cię przebłagać o Panie
Nie zdoła,

Może odwróci twe groty,
Modlitwa polskiej sieroty,
Anioła! —

Paryż, 21. Marca 1846.

ŁZY MĘŻCZYZNY.

(TŁÓMACZENIE Z NIEMIECKIEGO Z ANASTAZEGO GRÜN.)

Ty, coś mnie płaczącego niedawno widziała,
Pomnij o dziewczę, że niewieście łzy
Są jak niebieskiej rosy lśniąca kropla mała,
Co śród kielicha liljowego drży!

Czy to ją zimne wiatry chmurnej nocy zniosą,
Czy ją poranku jasna strąci dłoń —
Zawsze kwiat pokrzepiony tą rzeźwiącą rosą,
Wznosi ku słońcu odmłodzoną skroń!

Ale łza, którą oko mężczyzny wylewa,
To balsam drogi, wschodnich krajów łup,
Który tajnie zamknięty gdzieś aż w głębi drzewa,
Spływa — lecz rzadko — u cedrowych stóp!

O! musisz wierzchnią korę przecinać umyślnie,
Sięgnąć żelazem w samą wnętrza rdzeń —
A wtenczas sok szlachetny kroplami wytryśnie
Czysty jak złoto i jasny jak dzień!

Wkrótce zdrój ten wysycha — a drzewo rozkwita
I w sile życia długo może trwać —
Nie jedną wiosnę liściem zielonym powita,
Lecz cięcie, ranę — wiecznie na niem znać!

O! pomyśl czasem, dziewczę, o tej drzewa bliźnie,
O rannym cedrze śród Libanu skał —
O! pomyśl, pomyśl dziewczę! i o tym mężczyznie
Który przed tobą świeżo we łzach stał!

Heidelberg, 1851.

DO ZOBACZENIA!

(ODJEŻDŻAJĄCYM POLKOM.)

Dites au revoir, jamais adieu!
(Mélanie Valmore.)

Rozwito żagle i sternik czeka,
Zdjęto kotwicę — czas do płynienia!
Nie jedna we łzach tonie powieka,
I słychać tęskne głosy zdaleka:
— Do zobaczenia! do zobaczenia!

Niech słońce błyszczy w niebios lazurze,
Niech wiatr pomyślny wam się nie zmienia,
Niech przodem statku, anioły stróże
Gładzą wam fale, wstrzymują burze;
— Do zobaczenia! do zobaczenia!

Port, gdzie płyniecie, kraj to nam miły,
Tam wiecznie lecą nasze westchnienia;
Tam młode lata nam się prześniły,
Tam duchy braci, ojców mogiły!
— Do zobaczenia! do zobaczenia!

O! nam tu smutno! — nasze nadzieje
Bledną i gasną — z nikąd promienia! —
Kiedyż, o kiedyż znów rozednieje?
Kiedyż znów lepsze wrócą koleje?
— Do zobaczenia! do zobaczenia!

Przy waszym boku było nam słodziej!
Pierzchała nuda, cichły cierpienia —
Ale z odpływem wędrownej łodzi
Odpływa szczęście — smutek nadchodzi!
— Do zobaczenia! do zobaczenia!

Niech w myśli waszej po nas zostanie
Żalu gałązka i kwiat wspomnienia —
Bywajcie zdrowe nadobne Panie!
Łzy nasze płyną na pożegnanie!
Niech głos wasz powie: do zobaczenia!

W tych słowach miła dla nas pociecha,
Będziemy czekać ich uiszczenia —
I znów nadzieja nam się uśmiecha,
Bo wszystkie w okół wtorują echa:
— Do zobaczenia! do zobaczenia!

Paryż, dnia 6. kwietnia 1846.

PAMIĄTKA

(W IMIONNIKU LUDWIKA M*** WŁOCHA).

Tu proverai si come sa di sale
Lo pane altrui, è com'e duro calle
Lo scendere e'l salir per l'altrui scale.

(Dante.)

Dant, szczytny malarz piekła, co śród mąk wspomina
O straszniejszej nad inne męce Ugolina,
Na którego ojczyzna przekleństwo wyrzekła —
Dant zapomniał dać miejsce, dla tych, w swoim raju,
Którzy jak on, wygnani z rodzinnego kraju
Wycierpieli na ziemi wszystkie męki piekła!

O! gorzkim jest chleb obcy u obcego stoła —
Choć spożyty śród nowych przyjacieli koła,
Których głos z serc idący, nadzieję przyrzeka!
O! smutno deptać wschody cudzego mieszkania,
Chociaż je dach gościnny od burzy osłania
I wejrzenie miłości u progu nas czeka!

Blask nieba co na obcej ziemi go otacza
Nie wydoła zagładzić, w pamięci tułacza,
Krainy, kędy wiecznie myśl jego ulata;
Przyjaźń, gościnność, miłość, zastąpić nie zdoła
Tkliwych uścisków matki, lub siostry — anioła,
Co marzy każdej nocy o powrocie brata! —

Jeden z krain południa, drugi z ziem północy,
Z rodzinnych drzew zerwane śród burzliwej nocy
Dwa listki padłe razem w dalekie płaszczyzny —
Zbliżyliśmy się obaj, wzajem dłoń podali,
Bośmy razem jak bracia pierś wolności ssąli
I jednem mlekiem żyli — miłością ojczyzny!

Obca ziemia nam dotąd nie była macochą.
Znaleźliśmy przyjaciół, co mową nie płochą
Umieli łzę rozpędzić ciekącą z powieki —
Lecz nam brakło i braknie pośród obcych błoni
Naszych krain powietrza, naszych kwiatów woni,
Szumu ojczystych borów i ojczystej rzeki!

Ty marzysz o Modenie, o górach, dolinie,
Gdzie kwitną pomarańcze, gdzie Panaro płynie,
Której brzegi, wspaniałe pomniki okryły —
Ja myślę o rodzinnej mojej okolicy,
Gdzie modrzew się przegląda w kryształach Pilicy,
I gdzie zamiast pomników, braci mych mogiły!

Gdy Opatrzność, naszemi łzami rozbrojona,
Wróci nas w nasze kraje — gdy śród swoich grona
Nasza twarz się rozjaśni, czoła odmłodnieją;
Miło będzie obudwom wspomnieć w owej chwili,
Żeśmy z tej samej czary wspólną gorycz pili —
I tąż samą się w smutkach cieszyli nadzieją!

Aix, 1836.

IN HOC SIGNO VINCETIS

(DO BRACI NA TUŁACTWIE).

O! bracia moi! w polskiej dziś krainie
Pusto i tęskno. — Car, tyran bez duszy,
Niszczy nasz język, zamyka świątynie,
Dawne pomniki i posągi kruszy —
Wszystkie wspomnienia wytępia i głuszy!

W Polsce dziś naszej, jak we wdowim domu,
Smutek i niemoc — miara się przebrała
Wszech nieprawości — a nie ma się komu
Upomnieć za nas. — Europa cała
Nic okrom żalu i łez nam nie dała!

Dla tej od ludzi opuszczonej ziemi,
Jakaż ostatnia dzisiaj jest obrona?
Patrzcie! tam zdala, nad niwy polskiemi
Ot — krzyż, na którym Zbawiciel nas kona
Sam — miłosierne rozciągnął ramiona!

On tarczą naszą — jedynem zbawieniem
Biednych rozbitów, ta kotwica święta!
Pod tego godła opiekuńczym cieniem
Tulmy się kornie, jak drobne pisklęta
Pod skrzydła matki, co o nich pamięta! —

Bracia! gdy w rzymskiej świat jęczał niewoli,
Krzyż dał mu wolność na Golgoty szczycie!
I nas krzyż także od wrogów wyzwoli —
Przez niego tylko w grób nasz wróci życie,
Tym jedno znakiem zbrojni — zwyciężycie!

Do stóp więc krzyża garnąć się nam trzeba,
O! bracia moi! — nadzieja jedyna
Dziś w Bogu tylko. — On z przybytków nieba
Choć nas doświadcza, lecz nie zapomina —
I ześle pomoc gdy przyjdzie godzina!

Nicea, 1842.

PROWANCJA.

Pielgrzym na obcej ziemi, w długich dniach tęsknoty
Nie szedłem w oczy ludziom, nim skarżył się komu;
Bo obcy, jako dziecko w rodzicielskim domu,
Nie zrozumiałby cierpień ani łez sieroty!

Innych szukałem pociech — widoków natury —
Zaszedłem w kraj Prowancji — tu mnie czarujące
Otoczyły widoki — tu niebo bez chmury
Jak sen sprawiedliwego — powietrze gorące.

Jak całunek dziewicy — tu pola i drzewa
Wczesnym stroją się kwiatem i owocem płonią;
Tu wietrzyk, napojony pomarańczy wonią,
Szmerem źródeł i piosnką słowików powiewa!

Tu skały, których czoło pod obłoki sięga,
Wznoszą myśli ku Bogu — a strumień, co spływa
Po granitowem łożu, jak srebrzysta wstęga,
Szumiąc nutę żałobną, do dumania wzywa!

Tu czerniące się gruzy starożytnych murów,
Szczątki baszt średniowiecznych, mówią o przeszłości,
O turniejach rycerskich, o sądach miłości,*)
I zdają się brzmieć jeszcze pieśnią Trubadurów!

Lecz balsam to bez skutku na pielgrzyma życie;
Bo w tym kraju roskoszy, w tej ziemi uroczej,
Brakuje mi ojczyzny — bo na tym błękicie
Dwie gwiazdy mi nie świecą — kochanki mej oczy!

Aix, 1833.

---

*) Znane w historji w średniowiecznej Prowancji les Cours d'amour.

WSPOMNIENIE MIEJSC RODZINNYCH

(NAŚLADOWANIE Z TOMASZA MOORE).

Po nad brzegiem Pilicy jest gaik różany,
A w nim słowik co ranek śpiące budzi echo;
W chwilach mojej młodości, jak snem kołysany,
Na różach, piosnek jego słuchałem z uciechą!

Słodkiem miejsc tych wspomnieniem zawsze zmysły pieszczę —
I gdy drzewa rozkwitną z wracającą wiosną,
Myślę — czyż w owym gaju słowik śpiewa jeszcze?
Czyż jeszcze nad Pilicą wonne róże rosną? —

Nie — róże już powiędły — ale w ową chwilę
Zerwałem kilka pączków, świeżą strojnych szatą —
I dziś, woń z nich zebrana przypomina mile
Wszystkie uciechy lata, choć minęło lato!

Tak pamięć, wprzód nim rozkaz rączym pierzchnie krokiem,
Zbiera wspomnienia, które żyją z lat ubiegiem:
Tak i przed moją duszą, jak wówczas przed wzrokiem,
Błyszczy różany gaik nad Pilicy brzegiem!

Warszawa, 1829.

EXCELSIOR

(TŁÓMACZENIE Z AMERYKAŃSKIEGO POETY LONGFELLOW).

The shades of night were falling fast —

Już szary cień nocy opadał z zachodu;
Przez wioskę Alpejską — śród śniegu i lodu —
Przechodził młodzieniec, chorągiew niósł białą,
A na tej chorągwi te godło jaśniało:
Excelsior!

Posępne i smutne miał czoło — lecz oczy
Błyskały jak oręż, gdy z pochwy wyskoczy —
A głosem swym dźwięcznym, jak trąbą brązową,
W nieznanym języku nieznane brzmiał słowo:
Excelsior!

Tu cicho i błogo śród chatek górali,
Tu każde ognisko płomieniem się pali,
A nad nim jak widma, gleczerów urwiska! —
I jęk mu się głuchy przez usta przeciska:
Excelsior!

«O! wstrzymaj się! wstrzymaj!» głos starca go wzywa:
«Patrz! burza na chmurach nadciąga straszliwa!
«Czy słyszysz jak huczą potoki wezbrane!»
Za całą odpowiedź brzmi słowo nieznane:
Excelsior!

«O! zostań się!» dziewczę przynęca go czule:
«Twe czoło stroskane w mych piersiach utulę!»
W błękitnych źrenicach łzy wstrzymać nie zdołał,
Lecz z smętnem westchnieniem raz jeszcze zawołał:
Excelsior!

«Od świerków strzaskanych wichrami chroń głowę!
«A bacz nadewszystko na zaspy śniegowe!»
Te były ostatnie od starca przestrogi —
A głos odpowiada gdzieś z górnej już drogi:
Excelsior!

Nazajutrz o świecie porannym — w tej porze
Gdy w cichym Świętego Bernarda klasztorze
Hymn modłów pobożnych rozlewa się w pieniach,
Krzyk jakiś przeleciał po zmarzłych przestrzeniach:
Excelsior!

Po pilnem szukaniu — po długim obiegu,
Pies wierny odkopał wędrowca z pod śniegu;
W skostniałej już dłoni chorągiew miał białą,
A na tej chorągwi to godło jaśniało:
Excelsior!

Tu leżał on martwy śród mglistej zawiei,
Lecz z słodkim na ustach uśmiechem nadziei;
A ztamtąd — gdzie czyste i jasne lazury,
Jak gwiazda lecąca, spadł głos jakiś z góry:
Excelsior!

1855.

ODJAZD Z PROWANCJI.

Po tylu pożegnaniach, jeszcze pożegnanie,
I po łzach tylu, nowe łzy w źrenicy!
Znów cząstka duszy mojej tu zostatnie,
Jak już została w każdej okolicy,
Gdzie mnie poniosło wygnanie!

Gdybym żył długo w puszczy bezludnej — to może
Na świat wracając, rzucałbym z wzruszeniem
Każde urwisko i każde bezdroże,
Płakał nad każdem drzewkiem i kamieniem;
A cóż nad ludźmi — o Boże!

Będęż złorzeczył niebu, że mi dało w łono
Serce, co kochać i pamiętać umie? —
Zimny samolub szczęśliwszym jest pono;
Obcy tłumowi, chociaż żyje w tłumie,
Idzie gdzie wiatry powioną!

O! nie — głos mój nie sarkać, błogosławić będzie,
Bom czuł roskosze dla tamtych nieznane,
Bom miał przyjaciół, co w czułym popędzie,
Uścisk uściskiem — i za łzy wylane
Łzami płacili mi wszędzie!

Więc bez skargi wychylę ten kielich goryczy;
Ni serce we mnie ni duch nie upadnie —
Bo pod trucizną jest kropla słodyczy,
Co za cierpienia wytryśnie mi na dnie —
I ból, pociechą odliczy!

Jednakże smutno rzucać ten ziemi zakątek,
Kędy mi przebiegł spokojny i miły,
Pod pięknem niebem, młodych lat dziesiątek —
Gdzie miłość, przyjaźń — tyle zostawiły
Błogich mi w sercu pamiątek!

Prowancjo! te pamiątki nigdy nie zaginą,
Węzeł mnie z tobą połączył wieczysty;
Choć los się zmieni i lata upłyną,
Ty będziesz zawsze — po ziemi ojczystej —
Najmilszą dla mnie krainą!

A ty luba —! wy wszyscy coście mnie kochali,
Westchnijcie rzewnie nad biednym tułaczem,
Co uniesiony od wygnania fali,
Gdzieś się zatrzyma — aby może z płaczem
Znów iść i błąkać się dalej!

Paryż, 1844.

SAMOTNOŚĆ.

(MYŚL Z BYRONA.)

Kto myślą niespokojną wiecznie do gwiazd lata,
A sercem oderwany od ludzi i świata,
Uciekłszy na pustynie albo skał urwiska,
Pogląda jak z ich szczytu strumień w dół się ciska;
Lub, gdy go wyobraźnia ku niebu wybiła,
Za szybkim orła lotem chciwy wzrok posyła:
Taki nie jest samotnym — on mową milczenia
Toczy szczytne rozmowy z Duchem przyrodzenia!

Lecz ten, kto otoczony towarzystwem ludzi,
Ich obłudą pogardza, pochlebstwem się nudzi —
I z własnemi myślami wieczne tocząc boje,
Nie ma serca, przed którem mógłby wylać swoje,

Nie ma istot, któreby z rajskiem uniesieniem
Mógł nazwać przyjaciela, kochanki imieniem:
Ten prawdziwie samotny! — Śród świata, a przecie
Wszystko, wszystko dla niego umarło na świecie!

Warszawa, 1829.

DOŚWIADCZENIE.

O! biada temu, kto w dni swych maju
Marzy o ziemi jakby o raju —
I roskosz dla siebie wróży;
O! biada temu, kto w dni swych ranku
Marzy o życiu jakby o wianku,
Z niezwiędłych splecionym róży!

Marzenia młode są nakształt drzewa,
Co wiosną bujnym liściem powiewa
I złote owoce rodzi;
Lecz ten co zerwał owoc zwodniczy,
Zamiast marzonych wewnątrz słodyczy,
Gorzką truciznę znachodzi!

Ten, co z miłością Pigmaleona,
Tuląc świat zimny w silne ramiona,
Przysięga służyć mu wiernie —
O! jakże często, zamiast zapłaty,
Sięgając dłonią po wonne kwiaty,
Spotkał cyprysy i ciernie!

Innem też okiem, w pierwszym zapale
Pogląda majtek na morskie fale,
Gdy wiatry w żagiel zagrały —
Niż stary żeglarz, co długie lata
Pływał po morzach na krańce świata
I widział burze i skały!

Bo doświadczenie zdziera pomału
Złotą powłokę z form ideału,
I w trupi szkielet go zmienia —
A potem szydząc z wiary młodziana,
Mówi z piekielnym śmiechem szatana:
«Oto są twoje marzenia.»

Bruksella, 1832.

W IMIONNIKU
(POLCE, PANNIE ANIELI M***).

Jak strumień, co z rodzinnych wypłynąwszy błoni,
Śród nieznajomych dolin smutne toczy fale,
Choć tysiąc róż się w jego przegląda krysztale,
Nie zatrzyma się w biegu i gdzieś dalej goni:
I płynąc szemrze skargę: «Nie moje to kwiaty
«Nie dla mnie one kwitną — tam, w dalekiej ziemi
«Moje róże jaśnieją barwy świetniejszemi,
«Milszą wonią tchną dla mnie, w milsze strojne szaty.»

Tak ja, błądząc zdaleka od rodzinnej strzechy,
Gdym przebiegał czarowne Niemiec okolice,
Widziałem Elby, Sprei i Renu dziewice,
I wejrzenia Saksonek i Hessek uśmiechy —
I obojętnem okiem patrząc na ich wdzięki,
Mówiłem z dumą w sercu: «To nie Polki nasze!
«Cały blask cudzoziemek ich wdziękiem zagaszę,
«Jak gasi śpiew słowika, sztucznej lutni dźwięki.»

I tęsknotą dręczony, w kraj zaszedłem nowy —
Nieznani ludzie zimne podali mi dłonie,
Jak ich serca — w tem nagle staję w Polek gronie,
I z ust ich mnie doleciał dźwięk ojczystej mowy!
I odżyłem, jak anioł co z niebios strącony,
Wyrokiem Boga błądząc po ziemskim obszarze,
Obaczy nagle we śnie dawnych braci twarze
I usłyszy w marzeniu dawnych braci tony!

Ale odemnie szczęście jak mara ucieka —
Ledwiem cię poznał Pani, już cię losu fala
Z obcych krain, od braci wygnanych oddala:
I wkrótce cię nam ziemia zabierze daleka —
Daleka ale miła! — Tam, żalem przejęta,
Gdy ujrzysz z bliska naród jęczący w żałobie,
Wspomnij czasem i o tych, co na matki grobie
Przysięgli zginąć wolni, lub skruszyć jej pęta!

Paryż, 1832.

USQUE AD FINEM.

Po świata cudzego szerokich ziemicach,
Choć smutek i bieda — przez ścieszkę tułaczą
Iść z dumą na czole, z pogodą na licach,
Mir zrobić z nadzieją a rozbrat z rozpaczą;
O cześć, nie o litość u obcych się prosić,
Dla kraju żyć myślą i słowem i czynem,
I brzemię męczeństwa bez sarkania nosić
Usque ad finem!

Ojczyznę i honor nad wszystko miłować,
Do Boga swych ojców słać modły codzienne,
Cnót polskich nasiona śród duszy hodować
Niezmienne, nietknięte, przeczyste, promienne!
Pocieszać się wzajem, żyć jedni dla drugich,
Jak w wspólnej rodzinie syn kocha się z synem
I stąpać po drogach ciernistych i długich
Usque ad finem!

Rozmyślać głęboko o błędach przeszłości
I przyszłość budować świetniejszą i trwalszą —
A radzić spokojnie bez swarów i złości
By plon jaki został na epokę dalszą;

Poprawiać nie niszczyć — i nie plwać wzgardliwie
Na wszystko, co dawniej wieńczono wawrzynem —
A drogą postępu iść ku ojców niwie
Usque ad finem!

Przed wrogiem tyranem co Polskę dziś gnębi,
Nie ugiąć haniebnie ni kolan ni czoła,
I zemstę ku niemu strzedz pilnie w serc głębi,
Jak płomień strzeżony śród Westy kościoła;
Nie ufać marzeńcom co mówią nieszczerze,
Że Polak Lechita jest brat z Moskwicinem —
Odrzucać ten sojusz — i dotrwać w tej wierze
Usque ad finem!

To żywot nasz dzisiaj, to nasza dziś dola!
Już wielu nam braci posnęło w mogiłach —
Lecz w tych co zostali jest miłość i wola
I nie brak im jeszcze na duchu i siłach!
O! Boże zastępów! zbłąkanym wśród fali,
Co jesteś kotwicą, zbawieniem jedynem,
Dopomóż, abyśmy w tym ślubie dotrwali
Usque ad finem!

Paryż, 1845.

ŻYJĄCY GRÓB.

Na tej niwie nieszczęścia, niwie łez i krwi,
Co od brzegów Bałtyku do Karpackich stóp
Jękiem ofiar się modli, groźbą katów grzmi,
Jest ogromny i świeżo zasklepiony grób.

A na grobie — trzech sępów, całe noce, dnie,
Siedząc z szponem gotowym, wytężają słuch,
Czy też trup się nie ocknie, iskrą życia drgnie,
Czy już w niego nie wstąpił zmartwychwstania duch!

I drżą sępy — bo słyszą, raz żałobny jęk
Wychodzący z mogiły — to znów męzki krzyk —
Potem szelest proporców i oręży szczęk,
A gdzieś głębiej — huk broni i armatni ryk!

O! nie pruchno tam śmierci, ale życia rdzeń!
Nie zwątpienia tam ziele, lecz nadziei kłos!
Wieko trumny spękane — i już bliski dzień,
Gdy nad łożem letargu, zagrzmi zemsty głos!

Wy to wiecie o sępy! — i by skończyć raz
Z tą w cierniowej koronie, z więzami u rąk —
Sprzysięgliście się dzisiaj i zaczęli wraz,
Po tylu mękach — krwawą próbę nowych mąk!

Bezrozumni! napróżno wasza wściekłość wre,
Próżno waszej ofiary chcecie zbliżyć skon!
Bóg zachował w uśpionej świętą życia skrę;
Tej skry, z serca nie wydrze wasz potrójny szpon!

A im więcej nasiąknie krwi i łez w ten grób —
Gdy się miara dopełni, w naznaczony czas:
Tem straszniejszy wam wulkan wybuchnie u stóp
I tem gorętsza lawa schłonie kiedyś was!

Paryż, 26. lutego 1846.

OLSZYNA GROCHOWSKA.

Witaj gaju Grochowa, polskie Termopile!
Twe olsze potrzaskane sterczą na mogile
Jak kolumny pomniku — a poległych kości
Lśnią jak głoski napisu, co powie przyszłości,
Jak w świętych dniach Lutego, gdy wrogów szeregi
Morzem dział i bagnetów zalały twe brzegi,

Tyś zbrojny piersią polską, podobny był skale,
Co roztrąca wzburzone oceanu fale,
I póty je odpycha, miota — aż z rozpaczą
Drogę swego odpływu muszlami naznaczą!

* * *

Tutaj muszlami były nieprzyjaciół ciała:
Za niemi jak za wałem młoda wolność stała,
A przy niej jej obrońce — a nad ich głowami
Powiewała olszyna zbielona szronami —
Niby baldachim z skrzydeł orła lub anioła,
Co miał osłaniać święte bohaterów czoła!
I gdy w potrójnym szturmie, gęste wrogów strzały
Szczyty drzew opiekuńczych kulami strącały,
Ich gałęzie, spadając na rycerzy głowy,
Przystrajały ich skronie jak w wieniec laurowy!

* * *

O! gaju święty dla nas! olszyno Grochowa!
Pamięć o tobie Polak w późny wiek przechowa!
Odrosną drzewa twoje — bo ziemia pod niemi
Syta krwi, ugnojona kośćiami ruskiemi!
A gdy na głos zbudzonej ze snu Europy
Wyjdziem na bój ostatni — gdy pielgrzymie stopy
Tam poniesiem, gdzie myśli nasze wiecznie lecą,
Gdy białe orły znowu nad Wisłą zaświecą —
W owym dniu odrodzenia, w tę chwały godzinę,
Szczepiąc drzewo wolności — zaszczepim olszynę!

Aix, 1833.

DO FRANCUZÓW

(Z OKOLICZNOŚCI POEZJI KAZIMIERZA DELAVIGNE: LA VARSOVIENNE).

Gdy nam wydarto po ojcach puściznę,
Kraj, wolność, imię — tułacze z swych błoni,
Myśmy do Francji unieśli ojczyznę
W głębi serc naszych, w ostrzu naszej broni!

Co ocalało śród burzliwej fali,
Skarb nasz jedyny, nieśliśmy wam — życie.
Francuzi! myśmy za was krew wylali,
A wyż nam tylko łzami odpłacicie?

Błędne sieroty krwią zbroczonej matki,
Myśmy do łona Francji się tulili,
Białego orła drogie nam ostatki
Przy waszym złotym orle zawiesili —
Zwodnym nadziejom długośmy ufali,
Bo nas nadzieją karmiono obficie:
Francuzi! myśmy za was krew wylali,
A wyż nam tylko łzami odpłacicie?

Gdy upadł rycerz, na którego czole
Kwitła tak długo korona wawrzynów,
A inni pnąc się przy fortuny kole,
Wprzęgli do zdrady nawet Francji synów;
Myśmy do końca wiernymi dotrwali
Temu, co wielkim był i w nieszczęść szczycie;
Francuzi! myśmy za was krew wylali,
A wyż nam tylko łzami odpłacicie?

Gdy w dniach Lipcowych daliście dla świata
Wielką naukę o ludów godności,
Za waszym wzorem ocknął się Sarmata,
Zerwał kajdany, zapragnął wolności:
«Przemoc nas zmogła, niech oręż ocali!»
Myśmy wyrzekli, na was licząc skrycie —
Francuzi! myśmy za was krew wylali,
A wyż nam tylko łzami odpłacicie?

Przyszłość niepewna! — choć w szablę i Boga
Kto szczerze ufa, nie łatwo upadnie —
Poznał wróg dziki jak wolność nam droga;
Ale któż tajnie przyszłości odgadnie? —

Francjo! pamiętaj, byśmy nie wołali,
Grzebiąc ojczyznę w niewolniczej szacie:
«Francuzi! myśmy za was krew wylali,
«A wyż nam tylko łzami odpłacacie.»

W szańcu przedmostowym Pragi,
28. lutego 1831.

DO MATKI POLKI.

O! matko Polko! jeśli syn twój z młodu
W płochych rozrywkach marnie trawi lata,
I zapomniawszy krzywd swojego rodu
Schlebia tyranom, z wrogami się brata;
Jeśli zwyczaje i strój narodowy
Obraca w pośmiech lub znosi ze wstrętem;
Jeśli się wstydzi pięknej ojców mowy
I rad szczebiocze paryzkim akcentem —

O! matko Polko! źle syn twój się chowa;
Opowiedz-że mu wszystkie Polki męki,
Wskaż mu na Pragę — na pola Grochowa —
Na niepomszczone błonia Ostrołęki!
Niechaj się dowie, ile krwi wyciekło
Z serca narodu — i jaka łez rzeka,
Płynąc od strony, gdzie Sybiru piekło
Przez wszystkie ziemie wygnania przecieka!

W Korsyki górach — gdy morderców kule
Zabiją starca — obowiązkiem syna
Jest nosić ojca skrwawioną koszulę,
Która mu wiecznie zemstę przypomina;
I póty nie zdjąć tej smutnej puścizny,
Aż krew krwią spłaci — — O! Polko! twe dziecię
Nosić powinno kir z grobu ojczyzny —
I w każdej chwili myśleć o odwecie!

Niech więc do dzieła sposobi się z cicha,
Skrytemi łzami żal serca podsyca,
Żart ma na ustach a śmiercią oddycha,
Jak Hamlet, kiedy mścił się za rodzica!
Tej jednej myśli niech wszystko poświęci
Jak Alf, co zrzekł się szczęścia i Aldony,
By pomścić Litwę — i niech ma w pamięci,
Że i on rośnie dla kraju obrony!

Każże mu wcześnie wprawiać się do konia,
Do strzału, szabli, do harców i znoju —
Umieć wypatrzeć obronne ustronia
Do czat, zasadzek, lub wstępnego boju;
Pod domem swoim skryte kopać lochy
I tam śród nocy, gdy śpią wrogi nasze,
Odlewać kule, nagromadzać prochy,
Strzelby, kulbaki, lance i pałasze!

Po tylu próbach, chwilę jeszcze jedną
Czekać i czuwać — bo czas niedaleki,
W którym ojczyznę, matkę naszą biedną
Z grobu wyniesiem — by żyła na wieki!
Wtenczas i syn twój, biegnąc w hufiec bratni,
By z dziecka, może stać się bohaterem,
Wyjdzie wraz z nami na ten bój ostatni,
Co wiecznym ludów zakończy się mirem!

Aix, 1843 roku.

AJACCIO.

Ta wieża biała i te mury w bieli
To Ajaccio — nad morzem osiadło
Jak młode dziewczę, gdy wyjdzie z kąpieli
I skromnie patrzy w jasnę wód zwierciadło.

Golf, ramionami lazurowej fali
Objął jej stopy, całuje i wzdycha,
I jak kochanek, swym szumem się żali,
Że brzeg zazdrosny wiecznie go odpycha!

Rybackie łodzie, strojne w żagiel biały,
Suną się w dali jak stado łabędzi —
Pośród nich okręt, jak rumak zuchwały
Karmiony wiatrem, gdzieś za wiatrem pędzi!

Oliwne, winne i figowe gaje
Z trzech stron ku miastu powiewają wiosną;
Nad niemi góra siwym grzbietem wstaje,
Na niej, jak drzewa, nagie skały rosną!

Czasem śród skał tych obłok się zatrzyma,
Jak ptak powietrzną żeglugą znużony —
A wtenczas góra ma postać olbrzyma,
A obłok świeci jak szyszak srebrzony!

Gdzieś w dali, kręte ciągną się wąwozy,
W nich pasterz z długim sztyletem u pasa,
Z strzelbą na plecach — patrząc na swe kozy,
Żałobnym tonem nuci strofy Tassa.

* * *

Lecz wejdźmy w miasto. — Jest dom w jego murach,
Na który z większem patrzyłem zdumieniem,
Niźli na góry co szczyt kryją w chmurach —
On w moich oczach rósł wyżej — wspomnieniem!

Wędrowcze! uczcij dom Napoleona!
Tu, pod tym dachem weszła gwiazda mała,
Co później w świetny meteor zmieniona,
Promieńmi sławy cały świat zalała!

Tu, w tym ogródku — igraszki niewinne
Bawiły dziecię, co miało wstrząść trony —
Tu może nieraz między dzieci inne
Rozdawał cacka — jak później korony!

Wówczas już przyszłą przeglądał potęgą,
Myśl miał na czole, powagę na licu;
Może już marzył Wagram i Marengo,
Może już widział słońce Austerlitzu!

Wiedziony świetną przeznaczenia gwiazdą,
Wcześnie porzucił dom i ziemię własną —
Jak młody orzeł co mierzy swe gniazdo,
A potem skrzydła — w gnieździe mu za ciasno!

I jak ów orzeł co po niebie lata,
Póki grom nieba skrzydeł mu nie spali —
I on żeglował po przestworach świata,
Aż rozbił okręt śród Waterloo fali.

Wodzu! konsulu! cesarzu! tułaczu!
Czemużeś zbroił w władzy twej pioruny
Dłonie niewdzięcznych — którzy ci w haraczu
Zdradę przynieśli z zgonem twej fortuny?

Czoło, żołnierza laurem jaśniejące,
Czemużeś zakrył koroną cesarza?
Wszak takich koron było już tysiące,
A takie laury nie każdy wiek stwarza!

Spłaciłeś błędy wielkością pokuty —
Gdy na wydarty ogień z dłoni Boga,
Nowy Prometej do skały przykuty,
Sześć lat konałeś pod szponami wroga —!

Dziś obcy nawet nad twym grobem płaczą!
Ajaccio, chlub się! zrodziłoś olbrzyma!
Nie prędko wieki taki cud zobaczą:
Karły dziś liczne, olbrzymów już nie ma!

Zicavo w Korsyce, 1833.

RZEŹ OSZMIAŃSKA W 1831.

Na Oszmiańskim kościele, w drugą Kwietnia niedzielę,
Dzwon zwoływał na ranne modlitwy,
I lud tłumnie zebrany, błagał Pana nad pany,
O opiekę dla Polski i Litwy!

W Chrystusowej świątnicy, nie masz stanów różnicy,
Chłop z szlachcicem wszedł w jedne podwoje;
Przy nich żony i matki, jak aniołki ich dziatki
I jak róże dorodne dziewoje!

Kapłan schylon latami, przed ołtarza stopniami
Kończył święty obrządek kościoła —
A głos kmiotków i panów, przy rozdźwięku organów,
Płynął w niebo na skrzydłach anioła!

W tem szczęk broni i strzały pośród miasta zabrzmiały,
Bruk zatętniał pod koni kopytem —
We drzwiach słychać już krzyki — i Czerkiesów tłum dziki
Wbiegnął w kościół z kindżałem dobytym.

I oprawcy bez duszy, których serca nie wzruszy
Ni płacz dziecka, ni starca włos biały,
Nie spoczęli w swem dziele — aże w całym kościele
Trupy tylko w krwi strugach zostały!

*
* *

Przez niemowląt konanie, przebacz zbójcom o Panie
Świętokradztwo nad Twoją świątynią!
Bo te Cara soldaty, tak jak rzymskich wojsk katy,
Nie wiedzieli, bezumni, co czynią!

Ale w sądu godzinie, niechaj gniew twój nie minie,
Niechaj piorun twój tego ukarze,
Co wypuścił te hordy, co nakazał te mordy
I niewinną się codzień krwią maże!

A wdów, staroów i dzieci, rój męczeński niech wzleci
  Obok ofiar pierwszego powstania,
Co pod ruskiem żelazem, za Carycy rozkazem,
  Legły w Pradze i w gruzach Humania!

By ukoić gniew nieba, jeśli lackiej krwi trzeba,
  Wszak płynęła i płynie obwicie —
By zmyć grzechy wieczyste, weź i naszą o Chryste!
  Ale matce ojczyznie wróć życie!

Lud nasz wiernie Ci służy, sfolguj, nie karz go dłużej,
  Racz usłyszeć pokornych wołanie!
Już to przeszło pół wieka, Polska cierpi — i czeka
  Zmiłowania Twojego o Panie!

Aix, 1843.

TRZY NATCHNIENIA.

Kiedy wieszcz lutnię weźmie do ręki,
Gdy z brzmiących strun jej silnemi dźwięki
  Harmonijne łączy pienia;
I cóż mu w łonie ogień roznieci,
Jakiemże skrzydłem z ziemi uleci
  W boską krainę marzenia?

O! trzy są gwiazdy, których promienie,
Zlewając z góry wieszcze natchnienie,
  Świecą dla śpiewaka duszy;
O! trzy są gwiazdy! żar, co z nich płonie,
Roznieca ogień w poety łonie,
  Gdy brzmiące struny poruszy!

Pierwszą jest gwiazdą: widok natury,
Zielone łąki, skaliste góry,
  Szum gajów, szelest strumienia —

Kto zimnem okiem widzi te wdzięki,
Ten niech nie bierze lutni do ręki,
Nie ma on iskry natchnienia!

Drugą są gwiazdą kochanki oczy —
Blask ich czarowny, blask ich uroczy
Silniej dla serca zaświeci;
O, kto nie zaznał co ich potęga,
Ten niech po lutnię próżno nie sięga,
W krainę marzeń nie wzleci!

Trzecią jest gwiazdą to czucie święte
Z mlekiem wyssane, z życiem poczęte,
Ojczyzna jego podnietą;
W kim się jej boski ogień nie żarzy,
Wzruszać strun lutni niech się nie waży:
Nie jest, nie będzie poetą!

Bo gdy wieszcz lutnię weźmie do ręki,
Gdy z brzmiących strun jej silnemi dźwięki
Harmonijne łączy pienia;
Ojczyzna tylko zapał roznieci,
Skrzydłem miłości tylko uleci
Z ziemi, w krainę marzenia!

Warszawa, 1830.

WIDZENIE CARSKIE.

Z koroną na czole, Car zasiadł przy stole,
Służalcy ucztują przy carze;
Brzmią dworca komnaty i krążą wiwaty
W zbryzganym krwią polską pucharze.

W tem ręka nieznana, płomieńmi owiana,
Na jasną wychyla się ścianę,
I ogniem na murze, jak piorun na chmurze,
Rysuje wyrazy nieznane.

Przelękły i blady Car, powstał z biesiady
I drżąc, woła głosem rozpaczy:
«Niech z państw mych przestrzeni tu zejdą uczeni
«Odgadnąć, co napis ten znaczy.»

Na odgłos ukazu, zjechali do razu
Uczeni, co w księgach czytają;
Lecz słaba ich sztuka, za mała nauka,
Tych liter ni słów tych nie znają!

Aż pielgrzym ubogi w cesarskie wszedł progi,
Nieznany ni rodem ni mianem —
Naukę swą głosi, o wejście się prosi,
I chce być carowi drogmanem.

«Przed wieki, zawoła, Bóg zesłał anioła
«Z przestrogą na dwór Baltazara —
«Dziś temiż wyrazy, swe głosi rozkazy,
«I ten pisze wyrok na Cara:

«Ludzkości tyranie! miljonów wołanie
«Przedarły się w niebios podwoje;
«Dość łez już wylałeś, dość krwi już wyssałeś,
«Drżyj Carze — zliczone dni twoje.»

Car gniewem rozżarty, zawołał na warty,
Lecz próżno się pieni i woła;
Służalcy przelękli, przed innym przyklękli,
Bo pielgrzym się zmienił w anioła —

I w widzów zdumieniu, po słońca promieniu
Ptak boski ku niebu popłynął —
I płynąc w światłości, chorągiew wolności
Z pogonią i orłem, rozwinął.

Aix, 1834.

POLKA.

I któżto w błogiej anioła postaci,
Siedząc nad dziecka lubego kołyską,
Uczy, wraz z pierwszą modlitwą za braci,
Wymawiać drogiej ojczyzny nazwisko —
I w młodem sercu niewinnej istoty
Obywatelskie rozplemienia cnoty:
Miłość ojczyzny, męztwo, stałość do ostatka —
Kto? — Polka matka!

Kto, gdy ojczyzna wzywa dzieci swoje,
Kiedy wolności uderza godzina,
Drogiego męża sama śląc na boje,
Drżącą mu ręką krwawy miecz przypina —
I swe ozdoby, pierścień nawet luby,
Co w dniach różanych święte spoił śluby,
Na ołtarzu ojczyzny składa rozczulona:
Kto? — Polka żona!

Kto, na zniszczonej, niegdyś żyznej ziemi,
Co zagonami mogił dziś pokryta,
Tocząc w około oczyma błędnemi,
Wieczornych wiatrów o kochanka pyta —
Z rozwianym włosem, z szatami żałoby,
Budząc łzą rzewną męczenników groby,
Smutna, powtarza drogie imię bez ustanka?
— Polka, kochanka!

Kto, żywiąc w piersiach duszę poświęconą
Dla szczęścia ziomków i ojczystej sprawy,
Porzuca miłe rówienniczek grono
I cichą ustroń i płci swej zabawy,
I do pieszczoty utworzoną dłonią
Walcząc, gdzie Orzeł łączy się z Pogonią,
Przeraża błyskiem miecza, choć wzrokiem zachwyca?
— Polka dziewica!

Gdy nad ojczyzną, zdradnie w grób wtrąconą,
Słońce wolności zaszło po raz trzeci —
Kto, kryjąc kirem rozżalone łono,
Łzami gaszoną nadzieję w niem nieci —
I wzgardą płacąc uśmiech najezdnika,
Przed nim swe progi i serce zamyka,
W cichych modłach za braci trawiąc dni tęsknoty?
— Polki sieroty! —

Paryż, 1832.

DO MŁODEJ DZIEWCZYNY
SIEDZĄCEJ NAD ŹRÓDŁEM*).

W ogrodach Kaify kwiat piękny się bieli,
Od żarów go słońca liść kryje palmowy,
Ten kwiat ma ócz dwoje jak oczy gazeli,
Lub krople dwie morskie śród konchy perłowej.

O! piękny to kwiat jest — a woń jego taka,
Że Szeik, uchodząc przed wrogów pogonią,
Szybszego od wiatrów zatrzyma rumaka,
By kwiatu czarowną odetchnąć mógł wonią!

Krzyk wrogów, co Szeika ścigają do koła,
Huragan stepowy swym szumem zagłuszy —
Lecz rozwiać nie zdoła, lecz zniszczyć nie zdoła
Zapachu, co kwiat ten zostawił mu w duszy!

A kwiat ten uroczy zakwita ztąd blisko,
Nad źródłem co szemrze w Kaify dąbrowie —
O! powiedz mi dziewczę twych ojców nazwisko,
A ja ci odpowiem jak kwiat się ten zowie!

Aix, 1835.

---

*) Tłomaczenie poezji arabskiej, zacytowanej w Podróży na Wschód Pana de Lamartine.

ZAJĘCIE ROSIEŃ PRZEZ POWSTAŃCÓW.

(WIERSZ JULIUSZOWI GRUŻEWSKIEMU PRZYPISANY.)

W miasteczku Rosieniach na rynku, w około,
Moskiewscy żołnierze hulają wesoło,
A w domach starszyzna, swym dawnym zwyczajem,
Gra w karty, przepija szampanem i czajem —
I dymiąc wagstaffem, rozprawia w zapędzie,
Jak Dybicz Bałkański Warszawę zdobędzie!

Na drodze od Kelmów grzmi tentent po moście —
Zapewne do Rosień zjeżdżają się goście?
Oj! goście to jadą — lecz nowa drużyna
Nie będzie grać w karty, pić czaju ni wina,
Bo dzisiaj z rozpaczą przysięgła w skrytości,
Moskiewską krwią wypić za zdrowie wolności!

I coraz to bliżej kurzawa na błoni —
I coraz wyraźniej chrzęst jeźdzców i broni,
I błysły proporce i nagle zagrzmiały
Myśliwskich janczarek niechybne wystrzały —
I pieśń staropolska serdeczna, wesoła,
Ozwała się wrogom, jak trąba anioła!

Przerwana hulanka — zostały na stole
Kielichy z szampanem — zagięte parole;
Grzmi hasło na odwrót — Moskale strwożeni
W największym nieładzie pierzchnęli z Rosieni;
Lecz długo ich, długo, ku Wilnu ścigały
Dwubarwne proporce i trafne wystrzały!

I jacyż kuligiem zjechali się goście?
I czyjeż rumaki tętniały po moście?
I któż budzi wolność? — i ręka ż to czyja
Chorągiew z Pogonią i Orłem rozwija?
Któż z miasta swych ojców najeźdzców wygania?
— Trzydziestu młodzieńców z Żmudzkiego powstania.

Valenciennes, 1832.

W IMIONNIKU

ANGIELCE, MISS ***.

Gdy na wybrzeżach twojej ojczyzny
Obaczysz kiedy okręt strzaskany,
Co przez sterników nie przez bałwany
Zginął, wpędzony w zdradne mielizny:
Poświęć mu, poświęć łezkę choć jedną,
On tobie Polskę przypomni biedną!

Osierocone gdy ujrzysz dzieci,
Co płacząc matki łzami rzewnemi,
Tułać się muszą po obcej ziemi,
Póki nadziei błysk nie zaświeci:
Westchnij nad niemi — wzrok twój obaczy
Obrońców Polski, a dziś tułaczy!

Jeżeli ci się oglądać zdarzy
Wulkan, co dzikich gór jest olbrzymem,
Co miota lawą i bucha dymem
I wieczny ogień w głębiach swych żarzy:
Ach! pomyśl sobie — tak samo płonie
Miłość ojczyzny w Polaków łonie!

A jeśli, błądząc myślą po świecie,
Napotkasz naród wolny, szczęśliwy,
Gdzie żyznym plonem złocą się niwy,
Gdzie krwawem berłem tyran nie gniecie:
Ach! wznieś do niebios gorące modły,
By takie szczęście Polsce przywiodły!

Paryż, 1832.

WIDMO OJCZYZNY

DO ***.

O! najmilejsza! gdy w dni mych żałobie,
Jak ognik nocny błyśnie mi przy tobie
Chwilka szczęścia i roskoszy;
Zawsze tęsknota jakaś, niestłumiona,
Smutne westchnienie wyrywa mi z łona
I przelotną radość płoszy!

I ty z zdziwieniem pytasz mnie, kochana,
Zkąd taka nagła w duszy mojej zmiana,
Zkąd ta natrętna tęsknota,
Której rozpędzić, ukoić nie zdoła
Czar twoich oczu, ni blask twego czoła,
Ni uśmiech, ani pieszczota?

Dla nas, znękanych tułaczą żeglugą,
Nie masz radości coby trwała długo;
A jeśli w smutnej podróży
Zatli nam lica uśmiech niespodziany —
Szybko odlata — jak motyl zbłąkany,
Co na zwiędłej usiadł róży!

Bo w którąkolwiek obrócim się stronę:
Wszędy ojczyzny widmo zakrawawione
Staje przed nami w żałobie —
Staje, pogląda z ponurem milczeniem
I zda się błagać i pytać wejrzeniem:
«Wiecznież ja będę w mym grobie?»

Aix, 1843.

ŚMIERĆ JENERAŁA SOWIŃSKIEGO.

Gdy trzechset dział gromy grzmiące
Dały hasło na bój krwawy,
A moskiewskich rot tysiące
Biegły na szańce Warszawy;

Garstka naszych, za wałami,
Przy Wolskim skryta kościele,
Witając wrogów strzałami,
Z ich trupów wał drugi ściele.

Wódz o szczudle im przywodzi —
Włos jego kryje siwizna;
Lecz młodzieńczą siłę rodzi
Honor, wolność i ojczyzna!

To Sowiński — krwią okryty
Próżno wygląda pomocy,
Szaniec przez wrogów zdobyty;
Męztwo uległo przemocy!

Na kilka żołnierzy czele,
Co z nim przysięgli umierać,
Szablą drogę sobie ściele,
Tysiącom chce się opierać.

W święcone mury kościoła
Cofa się wódz ze swoimi,
I na szczupły hufiec woła:
«Gińmy, lecz gińmy wolnymi. —»

I zdumieni niewolnicy
«Zdaj się, mówią, nie walcz z nami.»
A on im z okien świątnicy
Odpowiada — wystrzałami.

Biegną tłumy rozsrożone,
Nowa wściekłość je zagrzała —
Już drzwi kościoła skruszone,
Ale walka nie ustała.

Bronią się rycerze śmieli,
Lecz co chwila ich nie staje;
Wreszcie, wszyscy wyginęli
I Sowiński sam zostaje.

Sam został, lecz nieugięty
Przed przemocą się nie zniża —
Poszanowaniem przejęty
Dowódzca wrogów się zbliża:

«Krzycz pardon!» zdala go wzywa,
«Szaleństwem jest śmiałość taka.»
Sowiński pierś mu przeszywa,
«Oto jest pardon Polaka! —»

Te były słowa ostatnie
Zsiwiałego bohatera,
Zginął za swobody bratnie:
Tak syn wolności umiera!

Już nie żył — a dzikie wrogi
W milczeniu wstrzymali kroki,
Okiem szacunku i trwogi
Patrząc na rycerza zwłoki! —

Takich Polska miała synów,
Takich wodzów sprawa święta!
I w nagrodę takich czynów
Dziś znów hydne dźwiga pęta!

Kreutzburg, w grudniu 1831.

JASKÓŁKI.

(NAŚLADOWANIE Z BERANŻERA.)

Młody wojownik, pośród obcej ziemi,
Śród obcych ludzi dręczony niewolą,
Usiadł, zajęty myślami tęsknemi
Nad losem ziomków i swą własną dolą.
A w tem jaskułki gromadą leciały —
Młodzian rzekł ku nim z wyrazem boleści:
«Wyście zapewne nad Polską bujały;
«Jakież mi ztamtąd przynosicie wieści?

«Jedna z was może, w tejże okolicy
«Przy moim domu gniazdko ulepiła,
«Przy owym domu nad brzegiem Pilicy,
«Gdzie gaj tak piękny, dolina tak miła. —
«Tam czuła matka łzy codziennie leje,
«Myślą powrotu mojego się pieści,
«Nadzieją żyje i traci nadzieję:
«Jakież o matce niesiecie mi wieści?

«Możeście były i nad brzegiem Wisły,
«Kędy mnie serce utęsknione woła —
«Gdzie pierwsze szczęścia promienie mi błysły,
«Gdziem poznał miłość w spojrzeniu anioła!
«Czyliż pamięta o mnie moja miła?
«Czyż, gdy z zachodu wietrzyk zaszeleści,
«Tęskliwe ku mnie westchnienie posyła?
«Od mej kochanki jakież macie wieści?

«Gdzież przyjaciele, co ze mną niestety!
«W jednych szeregach za wolność walczyli;
«Biegną z zapałem na wrogów bagnety,
«A ja bezczynny gnuśnieję w tej chwili*)

*) Wiersz ten pisano przed wzięciem Warszawy zaraz po wejściu do Prus z korpusem Jenerała Giełguda.

«Czyż wszyscy żyją? Kogóż z przyjacieli
«Zimna mogiła w łonie swem już mieści?
«Może niestety! wszyscy wyginęli —
«Od mych przyjaciół jakież macie wieści?

«Śród mego domu, może głosem pana
«Wróg rozkazuje w służalców swych tłumie;
«Próżno go błaga matka zapłakana —
«Głosu czułości, dzikość nie rozumie!
«Ja tęskny wzdycham — z radości do trwogi —
«Ciągle mi sprzeczne miotają powieści;
«Jaskółki mówcie! o ojczyznie drogiej,
«O Polsce, jakież niesiecie mi wieści?»

Tylża, 1831.

NARODOWA NUTA

(W IMIONNIKU WOJCIECHA SOWIŃSKIEGO).

Miły w ciszy szmer strumyka,
Powiew wiatru tchnący majem,
Miły w gaju śpiew słowika,
Lub skowronka po nad gajem;
Lecz słodsze tony, milsze uczucie
W narodowej, polskiej nucie!

Sercu matki, droga wzmianka
Głos dziecięcia w pierwszem słowie,
Miłe dźwięki dla kochanka
Gdy mu luba: «kocham» powie;
Lecz słodsze tony, milsze uczucie
W narodowej, polskiej nucie!

Wróg nam wydarł kraj nasz cały,
Odział Polskę w kir grobowy;
Lecz nie wydarł naszej chwały

Ani nuty narodowej;
A słodkie tony, miłe uczucie
W narodowej, polskiej nucie!

Więc śpiewajmy piosnki nasze,
Nim nadpłynie kres błąkania —
Wtenczas bijąc takt w pałasze
Zabrzmim hymny zmartwychwstania!
Bo słodkie tony, miłe uczucie
W narodowej, polskiej nucie!

Paryż, 1832.

ZAZDROŚĆ.

Na obcej ziemi, tułacz ubogi,
Wstępując nieraz w bogaczów progi,
Świetny ich przepych widziałem;
Lecz mimo zbytku co go otacza,
Nie zazdrościłem skarbów bogacza,
Innych ja bogactw szukałem!

Widziałem ludzi, co kilku słowy
Mogli zapalić tysiącom głowy,
Tłumy przed nimi klękały;
Lecz choć jest szczytną taka potęga,
Umysł mój skromny po nią nie sięga,
Takiej nie żądał ja chwały!

Znałem ja, znałem kochanków dwoje,
Dwa serca w jedno zleli oboje,
Jako dwóch kwiatów wonności;
Lecz choć śród ludzi samotny żyłem,
Szczęścia kochankom nie zazdrościłem,
Innej jam szukał miłości!

Raz byłem świadkiem — majtek ubogi,
Wracając statkiem z dalekiej drogi
Patrzył, czy kto go pozdrowi;
W tem z tłumu — matka na brzeżne skały
Wbiegła — łzy się ich pomięszały;
I zazdrościłem majtkowi! —

Aix, 1833.

CZARNA SUKIENKA.

Schowaj matko suknie moje,
Perły, wieńce z róż:
Jasne szaty, świetne stroje —
To nie dla mnie już!
Niegdyś jam stroje, róże lubiła,
Gdy nam nadziei wytryskał zdrój;
Lecz gdy do grobu Polska zstąpiła,
Jeden mi tylko przystoi strój:
Czarna sukienka!

Narodowe nucąc śpiewki
Widząc szczęścia świt,
Kiedym szyła chorągiewki
Do ułańskich dzid —
Wtenczas mnie kryła szata godowa;
Lecz gdy śród bitwy brat zginął mój,
Kulą przeszyty w polach Grochowa —
Jeden mi tylko przystoi strój:
Czarna sukienka!

Gdy kochanek w sprawie bratniej
Mściwą niosąc broń,
Przy rozstaniu, raz ostatni
Moją ścisnął dłoń —

Wtenczas, choć smutna, lubiłam stroje:
Lecz gdy się krwawy ukończył bój,
A on gdzieś poszedł w strony nie swoje —
Jeden mi tylko przystoi strój:
Czarna sukienka!

Gdy laur Igań, Wawru kwiaty
Dał nam zerwać los,
Brałam perły, drogie szaty,
I trefiłam włos;
Lecz gdy nas zdrady wrogom przedały,
Gdy zaległ Polskę najezdzców rój,
Gdy w więzach jęczy naród nasz cały,
Jeden mi tylko przystoi strój:
Czarna sukienka!

Paryż, 1832.

MŁODY MINSTREL.

(Z TOMASZA MOORE.)

Młody, odważny Minstrel, z dźwięczną harfą swoją,
Z orężem, którym ojciec gromił nieraz wrogów,
Tam gdzie waleczni kraju mściciele się zbroją —
Z rodzinnych pospieszył progów!

«Naddziadów moich ziemo!» rzekł bard rozczulony,
«Choć świat cały na ciebie wzniesie broń zuchwałą,
«Ten oręż jeszcze błyśnie dla twojej obrony,
«Ta harfa zabrzmi twą chwałą!

Śród bitwy, w ręce wrogów dostał się bard śmiały,
Lecz wróg próżno go zmuszał by cześć jego śpiewał —
Już struny dźwięcznej harfy więcej nie zabrzmiały:
Własną je ręką pozrywał!

«Nie splamią cię kajdany! zawołał z zapałem,
«Ty, coś do boju w lepszej zachęcała doli,
«Harfo, na której wolnym rodakom śpiewałem,
«Nigdy nie zabrzmisz w niewoli.»

Warszawa, 1830.

PIOSENKI

(NAŚLADOWANE Z «BUCH DER LIEDER» HENRYKA HEINE).

I.

Przy wiosny uśmiechu, w prześlicznych dniach Maja,
Gdy wiosna się w kwiatów tysiące przystraja —
I moja też miłość, kwiat życia promienny,
Rozkwitła mi w sercu jak pączek wiosenny!

* * *

W prześliczny dzień Maja, porankiem, w tej chwili
Gdy ptasząt tysiące szczebiocze i kwili —
Jam w dźwięku tych piosnek, w woniącej altanie,
Wykwilił ci luba, miłości wyznanie!

II.

Pod ócz moich łzami wykwita krociami
Najpiękniejszych kwiatów zbiór —
A moje westchnienia przebrzmiałe na pienia,
Dźwięczą jak słowików chór!

* * *

Jeżeli mi duszko twe oddasz serduszko,
Wszystkie kwiatki tobie dam!
A pod twe okienko z słowiczą piosenką
Co wieczoru przyjdę sam!

III.

Gołąbki i róże — wdzięk wiosny, blask słońca,
To wszystko jam niegdyś miłował bez końca —
Lecz dziś już nie lubię — dziś myślę jedynie
O mojej ładniutkiej, milutkiej dziewczynie. —
Dziś ona mi jedna, z swem oczkiem śmiejącem,
Jest różą — gołąbkiem — i wiosną — i słońcem!

1854.

TĘSKNY

(W RODZAJU PIEŚNI LUDU).

Zasiałem zboże, zboże mi wschodzi,
Szczepiłem jabłoń, owoc się zrodzi;
Każda mi praca
Hojnie odpłaca —
A dziewczynę ukochałem,
A dziewczynie przysięgałem,
A nie jest moją Maryla,
A nie jest moją!

Pierwej w doliny zmienią się wzgórza,
Pierwej zapachy utraci róża,
Ptaszkowie leśni
Zapomną pieśni;

Niż ta którą ukochałem,
Niż ta której przysięgałem,
Stanie się moją Maryla,
Stanie się moją!

Niech się więc inni bawią wesoło —
Nie dla mnie skoczne tancerzy koło;
Nie dla mnie trunek,
Choć mi frasunek;
Bo ta którą ukochałem,
Bo ta której przysięgałem,
Nie będzie moją Maryla,
Nie będzie moją!

Warszawa, 1830.

ŚMIERĆ ŻOŁNIERZA.

Hanka podlewa w swym ogródku róże —
Aż tu przybiega konik na podwórze;
Bułany konik, oko ma sokole,
Trzy białe nóżki i gwiazdkę na czole. —
Patrzy się Hanka — to konik Stefana:
«Gdzieżeś koniku podział twego pana?
«Młodego pana z jasnemi włosami,
«Co miesiąc temu jak żegnał się z nami —
«Żegnał tu z nami, pośród broni szczęku,
«W czerwonej czapce, z chorągiewką w ręku?
«Ty to pamiętasz koniku Stefana,
«Lecz gdzieżeś, gdzieżeś podział twego pana?»
Ale bułany smutnie zwiesił głowę,
Jakby rozumiał ową Hanki mowę;
Bił nogą w ziemię, jakby mówić żądał
I wciąż za siebie tęskliwie poglądał. —

Przyjrzy się Hanka, aż on krwią zbroczony,
Zbroczone siodło, i czaprak czerwony. —
Tu już żalowi wytrzymać nie może
I pocznie wołać: «O! Boże mój! Boże!
«Więc mi zabrałeś, com najdroższe miała,
«To, com po tobie najwięcej kochała!
«Więc i mnie zabierz w jasne progi twoje,
«Bo się na ziemi dłużej nie ostoję!»
I nie ostała się Hanka na ziemi —
Bóg ją połączył z aniołami swemi
I ze Stefanem — i teraz we dwoje
Za naszą Polskę modlą się oboje!

Warszawa, 1830.

DUCH PIOSNEK.

Wszędy pytają, w którą zajdę stronę:
«Dla czego śpiewasz piosnki nieuczone?
«Za wyższe piosnki zyskać poklask snadniej,
«My w mieście nucim i wznioślej i ładniej.»
Więc szedłem w miasto. — Noc miesięczna była,
Cała się przestrzeń nieba wygwiaździła,
A mały słowik w gaiku na łące
Nucił wesoło w tony czarujące — —
Podchodzę, słucham, w duszę szły te pienia,
A więc usiadłem nad brzegiem strumienia,
A otóż strumień w cichym swoim biegu
Takiemi słowy zaszumiał do brzegu:
«Przez łany, lasy, woda moja płynie,
«A któż ją uczył biegnąć po dolinie?
«Księżyc jednemi zawsze chodzi ślady,
«A któż go uczył, kto mu dawał rady
«Pływać jak łódka przez powietrzne fale,
«Lub się przeglądać w jasnym wód krysztale?

«Słowik z swych pieśni wszędy uwielbiony,
«A któż go uczył nucić temi tony?»
— Więc już nie szedłem w miasto — lecz do sioła —
A szum strumienia jeszcze za mną woła:
«Bóg wszystko w świecie twórczą natchnął duszą:
«Biedni! co natchnień tych uczyć się muszą!»

1830.

VIII.

KILKA PIEŚNI.

DLA KRAJU.

Wieczna pokora w łzach i krwi — przed Bogiem —
Bunt nieśmiertelny w łzach i krwi — przed wrogiem —
To los nasz — zakon — to nasze sumienie —
Przeszłości chwała, przyszłości zbawienie. —

Zygmunt Krasiński (Dzień Dzisiejszy).

PRZESŁANIE

DO WALCZĄCYCH BRACI.

Niezdolny dziś już chwycić za szablę, lub kosę,
Aby walczyć za Polskę wraz z wami;
Bracia! duszy mej dźwięki w ofierze wam niosę —
I w wasz obóz przychodzę z piosnkami.

Męczeńskiego narodu krew, łzy i cierpienia,
Wiarę w przyszłość i żądze swobody —
Co każdy z was ma w sercu — to wcieli w swe pienia
Żołnierz inwalid — lecz wieszcz dotąd młody.

Czyn poświęceń jest wyższym nad słowo poety —
Oh! szczytniejszą piszecie wy księgę,
W której głoskami kule, a rymem bagnety —
— Lecz i pieśń ma też w sobie potęgę! —

Niegdyś, Sparta zalanà wojskiem Messeńczyków,
Zewsząd błaga pomocy i broni;
Ale z sąsiednich Aten, zamiast zbrojnych szyków,
Przybył tylko wieszcz z lutnią swą w dłoni.

I wnet przy jego pieśniach, odżyła nadzieja:
Lud je nucąc, wypędził tyranów —
Piosnkom moim brak hartu greckiego Tyrteja,
Ale wy macie męztwo Spartanów!

27. Marca 1864.
W dzień Zmartwychwstania Pańskiego.

I.
SKOWRONEK.

Wiosna! wiosna! a z tą wiosną
Las się gai, kwiatki rosną,
  Znikła z pól śniegowa pleśń;
Z nowem słońcem, nowe życie;
A skowronek po błękicie
  Zmartwychwstania nuci pieśń.

O! rodzimy nasz skowronku,
Ty skrzydlaty boży dzwonku!
Nad obszarem polskich błoń
    Na pobudkę dzwoń:
    «Hej! kto żyw, na koń!
    «Lub karabin w dłoń!»

Cześć tym hufcom co dotrwały,
Choć ich mroźne wichry gnały,
  A żelazem ścigał wróg;
Na ich czyny, Polska cała
Z uwielbieniem poglądała,
  Błogosławił z góry Bóg!

O! rodzimy nasz skowronku,
Ty skrzydlaty boży dzwonku!
Nad obszarem polskich błoń
    Na pobudkę dzwoń:
    «Hej! kto żyw, na koń!
    «Lub karabin w dłoń!»

W wyjarzmienia świętem dziele
Jeszcze trzeba trudów wiele,
  Jeszcze musi lać się krew;
Musi z Polski, z Rusi, z Litwy
Lud rycerski wstać do bitwy
  Jak ryczący gniewem lew!

O! rodzimy nasz skowronku,
Ty skrzydlaty boży dzwonku,
Nad obszarem polskich błoń
Na pobudkę dzwoń:
«Hej! kto żyw na koń!
«Lub karabin w dłoń!»

Za śmierć braci co zginęli,
Za tortury Cytadeli,
Za szubienic hydny hak —
Walczyć będzie ród gnębiony,
Aż otrząśnie z kajdan szpony
Białopióry Chrobrych ptak!

O! rodzimy nasz skowronku,
Ty skrzydlaty boży dzwonku!
Nad obszarem polskich błoń
Na pobudkę dzwoń:
«Hej! kto żyw, na koń!
«Lub karabin w dłoń!»

II.

OBŁOK.

Pod Zosi okienkiem rozkwitły już róże,
Narcyzy, fijołki i bratki radosne;
A powój figlarny, szczeblując po murze,
Zagląda przez szyby i głosi jej wiosnę.

Więc Zosia okienko na rozcierz otwarła,
Lecz oczka nie patrzą po wonnym ogródku;
Ta żywa natura, dziś dla niej umarła,
Bo serce Zosine w żałobie i smutku.

Z dwóch braci, co wyszli do kraju obrony,
  Już jeden legł śmiercią w powstańczych szeregach;
A luby kochanek, na Sybir pędzony,
  Padł może z znużenia w Uralskich gdzieś śniegach!

W milczeniu, w zadumie, błękitny wzrok Zosi
  Zatonął w przestrzeniach i błądzi po niebie;
Znać, cichą modlitwą u Boga się prosi
  O ulgę dla Polski, dla swoich, dla siebie.

Znów duma i patrzy — aż obłok tam mały
  Powoli nadpływa przez jasne błękity —
A obłok tak biały, jak gdyby był cały
  Perłami oplecion lub z lilji uwity.

«Obłoku srebrzysty! zkąd płyniesz obłoku?
  «Czy niesiesz nadzieję nad kraj ten sierocy?»
— «Zosieńku! Zosieńku! — z Bożego wyroku
  «Ja spieszę w te strony od krańców północy.

«Przebiegłem w mym locie gościniec ten krwawy,
  «Po którym wciąż stopa przesuwa się polska —
«Tę drogę krzyżową od Wilna, Warszawy,
  «Do lodów Irtyszu i pustyń Tobolska.

«Łez dużo tam spadło — lecz Ojciec Niebieski
  «Je widział i zliczył — i zesłał anioła,
«Co złożył w mem łonie zebrane te łezki
  «I pchnął mnie do biegu i wciąż za mną woła:

«Niech skrzydła je twoje do Polski odniosą!
  «Rozsiewaj te perły i dziel po kolei:
«Dla braci, sióstr, matek — niech staną się rosą,
  «Co wzmaga wytrwałość i krzepi w nadziei.»

I znikło w błękitach srebrzyste widziadło,
  Lecz Zosię ożywia pociecha nieznana —
Coś na kształt balsamu w serduszko jej spadło —
  Ah! może to łezka wiernego Stefana!

Na róże, fijołki, spojrzała Zosienka,
  Znów dla niej natura wiośnianym lśni blaskiem:
Natchniona, wzruszona, odbiegła z okienka
  I klękła przed Bożej Rodzicy obrazkiem.

«Najświętsza Panienko! ah! módl się za ludem,
  «Co przyjął męczeństwo i znosi je szczytnie;
«Cud natchnął tę walkę — ah! dokończ ją cudem,
  «Niech z wiosną, i dla nas, swoboda zakwitnie!»

III.

BAL WARSZAWSKI.

Karnawał! karnawał! a w murach Warszawy
  Na nudy sarkają Moskale;
Więc rzekła starszyzna: «Dla wojska zabawy
  «Czas wskrzesić wesołość i bale!

«Te szaty żałobne, te smutku znamiona,
  «Są buntem hardego mieszkańca —
«Kobieta do zalot i uciech stworzona,
  «A młody praporszczyk do tańca!»

I bal jest z ukazu. — Przy szlifach i chrestach
  Tłum gości się zwiększa co chwilka;
Moskiewki się tłoczą w krynolin szelestach —
  I Polek zwleczono też kilka.

Nie każdy ma siłę męczeńsko umierać —
  Nie łajmy ich wzgardą lecz żalem!
Zbawiły los mężów — gdy przyszło wybierać,
  Pomiędzy Sybirem a balem.

Ah! bal ten, to uśmiech carskiego szyderstwa,
  Co nędzę narodu znieważa,
Szatańska hulanka dzikiego żołnierstwa
  Co pląsa po grobach smętarza.

W pałacu wesołość, umizgi i żarty —
  I światłem błyszczące komnaty:
A zewnątrz — zdwojone patrole i warty
  I z lontem dymiącym armaty.

Brzmi huczna orkiestra, lecz dziwne jej dźwięki —
  Bo słychać z jej trąbek i basów
Skrzypienie szubienic, westchnienia i jęki
  I zgrzyty więziennych zawiasów.

Wniesiono napoje, by zdrowie pić Cara —
  Gmach wstrząsł się wiwatów krzykami;
Lecz zda się, że w głębi każdego puhara
  Krew kipi zmięszana ze łzami!

Hasają Moskiewki przy gachów swych boku,
  Jak nocne Rusałki śród fali —
A Polki dotychczas — ukryte w natłoku
  Unikły natręctwa Moskali.

W tem młodzik, rozpojon zdrojami szampana,
  Przystąpił do siostry powstańca,
I z giestem i tonem zwycięzcy i pana
  Wyzywa ofiarę do tańca.

Powstała na rozkaz niewiasta strwożona,
  Milcząca, bezsilna, wybladła —
Lecz gdy ją moskwicin pochwycił w ramiona,
  Krzyknęła — zemdlała — i padła! —

IV.

ŻURAWIE.

Z komendy Bosaka rankiem patrol jedzie,
Sześciu grackich chłopców i wachmistrz na przedzie.
«Mospanie wachmistrzu! mówi Janek Drużba,
«Ptaki lecą ku nam, szczęśliwać to wróżba.»
Stary wachmistrz spojrzy — aż oto żurawie
Od strony Krakowa ciągną ku Warszawie.
«Patrzajcie wiarusy, co za mądre ptaki,
«Kłusują w szeregach jakby szwadron jaki.
«Komendant fertycznie skrzydłami potrząsa,
«Brak mu tylko szabli i pod dziobem wąsa.»
Kiedy tak żartują — nad głowy im prawie
Nadbiegły w powietrzu wędrowne żurawie.
Janek w dyskurs z niemi: «Z dala wędrujecie!
«Powiedzcież, co słychać na tym Bożym świecie?
«Czy wiedzą narody o tutejszej biedzie,
«I czy nam na pomoc brat nasz Francuz idzie?»
Aż tu dziw dopiero, gdy jeden ze stada
Zatrzymał się w locie i tak opowiada:
«Wszędy, gdzieśmy byli po szerokim świecie,
«Mówią o was ludzie, że dziarsko rąbiecie.
«Nie brak wam przyjaciół pomiędzy ludami —
«A sam Papież w Rzymie modli się za wami;
«Święty starzec, gwałtem ukrzywdzon nie jednym,
«A więc się lituje nad narodem biednym!
«Cesarz też francuzki dopomódz wam chciałby,
«Lecz czeka aż Niemcy pochwycą się za łby*).
«Ale cudza pomoc, to nadzieja krucha,
«Brońcie się więc sami, a nie traćcie ducha.
«Kto zaufał w Bogu, i nie puszcza szabli,
«Tego nie przemogą Moskale, ni djabli!»

---

*) Zapewne żuraw chce mówić o kwestji Duńskiej.

I odleciał żuraw do braci żurawi. —
Wachmistrz wąs pokręcił i tak swoim prawi:
«A to mi orator! w słowach nie przebierał,
«Krótko wyciął prawdę jakby nasz Jenerał.
«Jeśli z wiosną ruszym gromadniej i skorzej,
«To i bez Francuzów — przy pomocy Bożej —
«Przepędzim Moskala za świata krawędzie.
«Chłopcy! w górę uszy! — Polska znowu będzie!»

V.

MĘCZENNIK.

Straszny dzień sądu na rynku Warszawy!
Każda z przybocznych rojna w tłum ulica:
Tłum przerażony, milczący i łzawy;
Przodem piechota, po bokach konnica,
A w samym środku stoi szubienica.

Oh! nie złoczyńcę przywloką tu kaci!
Lecz wielki sercem, duchem nieskalany,
Żołnierz bez trwogi, wódz walczących braci —
Za to, że kraju chciał skruszyć kajdany,
Carskim wyrokiem dziś będzie karany!

Przybył męczennik — w oczach wzrok niezlękły —
A rajski spokój twarz mu rozaniela;
Zebrane tłumy, szlochając, przyklękły:
On je żegnalnem wejrzeniem obdziela —
I do ust ciśnie godło Zbawiciela!

Sam wszedł na szafot, co świętych nie plami —
Lecz gdy kat powróz mu wkładał na szyję,
Wykrzyknął głosem, co wstrząsnął sercami
I gdzieś aż niebios sklepienia przebije —
«Niech żyje Polska! Ojczyzna niech żyje!»

Męczennik skonał — w tem, z bocznej ulicy
Nagle wybiega niewiasta sędziwa,
Przez straże, pędzi wprost do szubienicy —
I choć łez potok po licach jej spływa,
Jednak się śmieje, tańcuje i śpiewa:

«Kraj ten niewdzięczny łaską Cara żyje —
«Car znów dziś uczcił Polaka zasługi,
«Orderową dał mu wstęgę na szyję,
«I wojska swoje mu przysłał na sługi —
«Wiwat Car! wiwat Aleksander Drugi!»

Wnet oprawcy za niewiastą skoczyli,
A lud z przestrachem zawołał: «warjatka!»
Tak! — warjatka, lecz dopiero od chwili,
Gdy Car ją odarł z rozumu ostatka —
To była biedna męczennika matka!

Te pięć pieśni pisane w marcu 1864.

VI.

PIEŚŃ POWSTAŃCÓW

PRZY ZIMOWEM OGNISKU *).

Śród chłodu i głodu, w obronie narodu
My zawsze do boju gotowi;
Choć dłoń nam skostniała, lecz serce w nas pała,
I grozim rozpaczą wrogowi!

Świat głuchy na jęki, nie podał nam ręki —
Już w pomoc nie wierzym niczyją;
Lecz z słowem modlitwy idziemy do bitwy,
Wołając: Jezusie! Marjo!

*) Ta pieśń drukowana już osobno, dołącza się tutaj dla kompletu.

Bo Jezus męczony, przez katów sądzony,
Zna los polskich mężów i dziatek —
Bo Marja w łzach cała, pod krzyżem omdlała,
Pojmuje co płacz polskich matek!

Wróg, liczny w sołdaty, bogaty w armaty,
I z Niemcem skojarzon przymierzem;
Nam własna odwaga i Bóg co ją wzmaga,
Jedynym w tej walce puklerzem!

Dzicz sroga i ciemna — brzeg Wisły i Niemna
Chce zmienić w pustynię dla carów;
Z miast ludność porywa — a włości okrywa
Zgliszczami i łuną pożarów!

Wróg puścił swe hordy na łupież i mordy,
Wiek starców, wstyd dziewic znieważa;
Wściekłości Mongoła nic wstrzymać nie zdoła —
Cześć grobów, ni świętość ołtarza!

Kraj któryż śród świata, był dręczon przez kata
Tak srodze, jak Polska w tej chwili?
Któż krople policzy kielicha goryczy,
Któryśmy aż do dna spełnili?

Lecz bronić narodu, śród chłodu i głodu
My spieszym z niezlękłym orężem.
Kto nie zna co trwoga, silniejszy od wroga —
Zwycięzem, o bracia! zwyciężem!

Kraj z nami! Bóg z nami! — Nad ofiar grobami
Ojczyzna i Wolność odżyją!
Więc naprzód — do bitwy! ze słowem modlitwy,
Z okrzykiem: Jezusie! Marjo!

17. grudnia 1863.

IX.

BALLADY.

KAZIMIERZ PUŁAWSKI.

Po nad Warty krętym brzegiem
Stąpa szereg za szeregiem,
   Trzystu jezdzców w porządnym orszaku;
A przed nimi przodem jedzie,
Pewno Hetman co ich wiedzie,
   Młody wojak na białym rumaku —

Modre oczy, kraśne lica,
Pomyślałbyś, że dziewica,
   Gdyby nie wąs co z wargi mu tryska;
Ubiór na nim jasno-lity,
Złotem tkany, srebrem szyty,
   Jak król jaki, od haftów połyska. —

Lecz choć wiekiem młodociany,
Choć wytwornie tak ubrany,
   Dzielny wódz to i rębacz nie lada!
Przy ataku, pierwszy w rocie —
A ostatni przy odwrocie —
   Tak głos o nim powszechny powiada!

Ze starszyzny i z żołnierzy
Każdy ufnie jemu wierzy,
   Wszyscy młodym swym wodzem się szczycą;
Tego piersią swą zasłonił —
Tego z więzów już obronił —
   Tych od śmierci przegrodził szablicą!

Zna go Litwa, Ukraina,
Kraków kocha go jak syna,
   Jako brata czci lud go Warszawski;
To bohatyr Barskich szyków,
Ajax polskich wojowników,
   Konfederat, Kazimierz Puławski!

On dziś jeden z Lachów rodu
Powstał bronić praw narodu,
   Bo srom wielki na Piastów ziemicy;
Król Moskalom zaprzedany,
A czerń dworska, możne pany,
   Żebrzą łaski i rublów Carycy!

W nim dziś jednym tylko żyje
Duch naddziadów — serce bije
   Silne męztwem i wiarą gorące;
I gdy zbierze trzysta koni
To już myśli, że przegoni
   Het za Wołgę, najezdzców tysiące!

Pan Kazimierz to nie lala!
Trzeci rok już — na Moskala
   Dobył miecz i tnie sztuką krzyżową;
Dzisiaj bije co znachodzi,
Jutro zbity, z placu zchodzi —
   I pojutrze wojuje na nowo!

Okopał się w Częstochowie,
Sławnem miejscu — gdzie ojcowie
   Ze Szwedami staczali już bitwy;
Gdzie jaśnieje w cuda wielki
Obraz Bożej Rodzicielki,
   Opiekunki Korony i Litwy!

Wróg ich obległ — wojsko nasze
Nie da sobie dmuchać w kaszę,
   Boć to przecie nie Tatarska horda;

Wódz, towarzysz, szeregowy,
Każden z nich szlachcic herbowy,
Wzrósł na koniu i przywykł do korda!

Pan Puławski nie folguje,
Codzień z wałów występuje,
Codzień Drewicz drży z strachu i trwogi;
Nocą dotarł do Sieradza
I dziś w wieczór przyprowadza
Zapas prochu dla swojej załogi!

Mrok już zapadł po nad błonie,
Głuchym stępem kroczą konie,
Jezdzcom krzyki i gwary wzbronione —
Nic nie słychać w nocnej ciszy,
Chyba który z towarzyszy
Szepcze sobie: «Pod twoją obronę.»

Chyba z cicha dla sąsiada
Dzierżanowski*) rozpowiada,
Krasząc mowę nie jednym żarcikiem —
Jakie zwiedzał okolice
W Europie — Ameryce —
Gdzie go dzicy obrali kacykiem!

A gdy przyszli ku smugowi,
Gdzie żołnierze Drewiczowi
Przy ogniskach obozu gwarzyli —
Orszak stanął zatrzymany
I rycerze na znak dany
Augustówek z jaszczurów dobyli!**)

---

*) Dzierżanowski, Szambelan Stanisława Augusta, a później Konfederat Barski, człowiek niezmiernie wesoły i dowcipny. — W młodości swojej służył on w wojsku francuzkiem i angielskiem, i zwiedził niemal wszystkie części świata. — Lubił opowiadać, że na jednej z wysp Oceanu Spokojnego, był obrony Królem — ale wygnali go dzicy za to, że chciał rządzić absolutnie.

**) Zwane w Polsce szable w pochwach ze skóry jaszczura.

Tęga broń to szable owe —
Jednem cięciem zmiotą głowę,
Jak sierp żeńca pszenicę lub żyto;
Krzywa klinga — na niej spiżem
Krzyż znaczony — a pod krzyżem:
Jezus, Marja, Józef, wyryto. —

«Za mną! pal! i siecz z kolei! —
«Vivat Sancta mater Dei!»
Krzyknął wódz i głos poparł skinieniem;
Cały zastęp pędzi cwałem,
Jednem tylko zda się ciałem,
A Puławski mu głową, ramieniem!

Rejwach wielki u Moskali,
Szybko za broń się porwali:
Drewicz woła — w czworobok się zwarli —
Lecz już nasi szlachta, braty,
Zagwóździli trzy armaty
I przez obóz się z plonem przedarli!

Jako potok, co z gór pędzi,
Rwie kamienie, drzew nie szczędzi,
A buk dziki roznosi na niwę —
Tak za ludzi tych potokiem
Wszędzie trupy widzisz okiem,
Uchem słyszysz jęczenia straszliwe!

Któż opisze, któż opowie
Jaka radość w Częstochowie,
Że wódz zdrowo z wycieczki powrócił;
Uderzono w wszystkie dzwony,
Lud się modlił rozczulony,
A ksiądz Marek Te Deum zanucił. —

A dzień później — gdy o świcie
Drewicz z wojskiem umknął skrycie,
Pan Puławski, w cud wierzyć poczyna —

Upadł krzyżem i powtarza
U stóp Marji ołtarza:
«Salvavisti nos coeli Regina!»

Paryż, 1845.

GOŚĆ CZECZEŃCA.

Kiedy Car świat podesłał pod stopy,
Gdy król każdy tam czołga i klęka —
Jest lud dziki zdaleka Europy,
Co się carskiej potęgi nie lęka. -

Co rok w Gruzji Car wojska swe traci,
A Gruzyjczyk mu niesie podarek:
Haracz strzałą zatrutą mu płaci
W hołdzie, kule posyła z janczarek. —

Bo w tym kraju zakrytym skałami,
Góral, wolność jak matkę miłuje,
I nie wierząc w stosunki z dworami,
Szablą tylko, nie piórem wojuje. —

* * *

Niezbyt dawno — wieczorną raz dobą,
Śród skał Gruzji, do chaty Czeczeńca
Trzej synowie przywiedli ze sobą
Nieznanego, obcego młodzieńca. —

Gość przybyły wybladłe miał lice,
Smutek z dumą wyglądał mu z czoła,
Ale duże, błękitne źrenice
Połyskały słodyczą anioła!

W chacie siedział Czeczeniec na ławie,
   Patrząc w gościa, co przybył z synami —
Poglądało w przychodnia ciekawie
   Młode dziewczę z czarnemi oczami. —

I gospodarz przemówił do niego:
   «Cudzoziemcze, przybyły zdaleka,
«Bądź pozdrowion u progu mojego,
   «Pod mym dachem gościnność cię czeka. —

«Wolny góral, choć zdala od świata,
   «Mieszka w chacie jak orzeł na skale;
«Lecz przychodnia przyjmuje jak brata,
   «Bo gościnność szanują górale. —

«Ja ci konia i strzelbę dam moją,
   «Starszy syn doda prochu i kuli,
«Młodsi, z życiem cię naszem oswoją,
   «A ma córka cię piosnką rozczuli.

«Jakikolwiek cię zamiar przywodzi,
   «Jakikolwiek twój naród i wiara,
«Bratem moim kto w progi me wchodzi,
   «Choćby nawet służalcem był Cara.»

* * *

Ogień wybiegł na lice młodzieńca,
   Oczy, duszy zabłysły obrazem,
I ściskając prawicę Czeczeńca
   Odpowiedział mu takim wyrazem:

«Synem jestem krainy dalekiej —
   «Inny ród mój, obyczaj i wiara,
«Lecz nas serca złączyły na wieki
   «Bom i ja przysiągł zemstę na Cara. —

«Car rujnuje mych ojców świątynie,
«Krwi i łzie mej ojczyzny urąga,
«Memi braćmi zaludnia pustynie,
«Lub w kopalniach do taczek zaprząga.

«Lecz co sroższą dziś żałość w nas nieci,
«Na co wolna oburza się dusza —
«Matkom naszym wydziera ich dzieci,
«I na katów się zmieniać przymusza. —

«I mnie ukaz oprawcy wyrzekli,
«Gwałtem w mundur moskiewski ubrali
«Tysiąc mil tu w kajdanach przywlekli
«I Czeczeńców zabijać kazali. —

«Lecz uszedłem z pod straży carowi!
«Polak jestem, mą rozpacz wam głoszę,
«I człek wolny — wolnemu ludowi
«Moje ramię w ofierze przynoszę. —

«Przyjmcie dzięki za waszą uczynność,
«Los wygnańca oceniać umiecie!
«Oby taką znaleźli gościnność,
«Bracia moi — tułacze po świecie!»

* * *

Odtąd Polak był bratem górali —
Z niemi trudy podzielał rolnicze,
Razem w górach gromili Moskali,
Razem w chatę znosili zdobycze.

Słynne z wdzięków i głosu Gruzjanki —
Codzień Polak ich piosnką się bawił,
Lecz nie wybrał w ich gronie kochanki,
Bo kochankę — w ojczyznie zostawił.

Pięknie delja czeczeńska utkana,
   Piękne pióro im spływa z kołpaka,
Lecz obcego nie przywdział turbana,
   Bo strój obcy pohańbia Polaka!

Avignon, 1833.

CZARNA TANECZNICA.

Wielki ruch, wielka radość w starożytnej Grenadzie. — Don Jose de Ramea y San Luiz, Grand pierwszego rzędu, dygnitarz Złotego runa, niepoliczonych włości, w marmurowym swoim pałacu na wzór Alhambry stawianym, daje dzisiaj świetną ucztę i maskowy bal. — Większa połowa miasta sproszona — butni kawalerowie i płoche senority, nawet poważne matrony i starce, od dni kilku tylko marzą i gwarzą, co to będzie za uciech noc; i gotują pyszne stroje, kędy perły, złote hafty, przesłoniły aksamitu lśniące tło.

* * *

W głębi domu, śród samotnej komnaty, na szerokiem krześle, misternie w maurytańskie arabeski ciosanem, siedzi Don Enrico de Perheira, niedawno, po skończonych naukach w Salamance, przybyły pod ojców dach. — Starożytna, czysta krew kastyljańska w nim płynie, jest uroda, niebrak dostatku; a przecież zrzekł się zaszczytów, ziemską próżnością pogardził. — Od dzieciństwa szczerej pobożności oddany, w niebo tylko poglądа i żąda dla Boga samego żyć, i ma wstąpić w dniu jutrzejszym do zakonu, kamedulski habit wdziać!

* * *

Siedzi młodzian i zatonął w dumaniach. — Słyszał on o dzisiejszym festynie, o którym powtarzają wszystkie echa

wschodniemi minaretami najeżonej Grenady, na który robią, przybory, długorzęse jego siostry i starszy dorodny brat. — Siedzi i duma o znikomościach tego podołu płaczu i nędzy; i oto nagle naszła go piekielna pokusa, by wprzód nim żywy grób go pochłonie, nim go oddzieli zakonna szata od świata, obaczyć co ludzki szał. — Lecz powiewem śnieżnych skrzydeł, dobry anioł mu odpędza tę nieczystą myśl!

* * *

Długo walczył Don Enrico z natrętnemi chęciami; raz pokonany spadał i czepiał się ziemi, to znów zwycięzko po tęczowym promieniu wiary ku niebu się wzbijał; wreszcie przemogła pokusa, przemógł grzesznych nęceń wir! I oto w masce i w bogatym stroju spieszy za falami tłumu, w grandowskiego pałacu próg. — I wszedł do rzęsisto oświetlonej sali: niepoliczony, różnobarwny rój gości mu się toczy przed oczy — a huczna muzyka grzmi; i kołują pełne życia, pełne młodej krasy wieńce, z tańcujących zwite par.

* * *

Odurzony, upojony tym niezwykłym widokiem, cofnął się w ustroń młodzieniec i na marmurowej kolumnie rozognione czoło wsparł. — W tem ktoś z lekka trąca go w ramię; odwraca się Don Enrico i patrzy: to jakaś cudna postać niewieścia, ubrana w czarne domino, wdzięcznem skinieniem wabi go tak. — Maska zasłania jej twarz, czarny atłas zakrył ramiona i szyję; oczów nawet nie widać, bo jedwabna jej mantyla się zachyla z wierzchu czoła aż na pierś — i lubieżnie tylko miga mała nóżka z pod żałobnych długich szat.

* * *

Tylko widna jej kibić urocza, lecz taka składna, wytoczona i wcięta, iżby ją mogły objąć drobne dłonie dziecięcia. — Tylko słychać jej głos srebrnotonny, pieściwy i dźwięczny

jak kwilenie ptasząt majowych, jak brzęk pereł rozsnutych, spadających do złotego puharu: lub jak usłyszany w chwili nadziemskiego zachwytu, dalekich aniołów chór. — I oparła czarodziejka w przymileniu, na ramieniu, lekką jak puchy dłoń, i powtarza: «Don Enrico, czemuś smutny? niepowrotna radość czeka! — Chodź!»

* * *

Spuścił oczy młodzieniec nieśmiały; lecz czuje jak serce w nim drży, jak wrząca nakształt lawy wulkanu, pieni się, po skroniach tętni i ku mózgowi tryska mu krew. — Chciałby się modlić by odegnać pokusę, lecz zapomniał obłąkany, najświętszych pacierza słów. — A nieznana kusicielka coraz czulej upomina, coraz żywiej go przynęca. — Pod tej mowy słodkim czarem znikła trwoga i nieśmiałość, i powoli mimo woli zbiegło dwoje drżących rąk — i złączeni poszli razem śród radością i roskoszą brzmiących sal.

* * *

Senorita cichą prośbą do bolera go wyzywa; próżno mówi Don Enrico, że tych pląsów światowych nieznany mu ruch i ład. — Lecz powietrze naokoło rozpalone biciem serc, wejrzeniami tylu ócz, tylu półsłówek gorących płomieniem, a muzyka tak ponętnie, tak pieściwie gra; a nieznajoma błaga takim głosem, miłości przerywanym westchnieniami — iż na końcu mu zabrakło do odmowy sił. — Miesza się więc w kołujące tłumy — i o! cudo! tak dokładnie i tak składnie obcy mu zawodzi tan — że się dziwi sam nad sobą i otucha w zalęknioną powróciła pierś.

* * *

A czy znacie wy roskoszny taniec hiszpański? Bez słów brzmiących a marnych, bez wysileń sztuki, bez djamentów rymowych rozsypanych dłonią poety, jest to najwymowniejszy, najpełniejszy życia dramat na świecie! — Wejrzenia i ruchy,

tupnięcie nogą, pochylenie ręki lub głowy — oto cała ozdoba, cała djalogu moc! — A jednak słychać tam, widać i czuć — i przysięgi i westchnienia, nalegania i odmowy, łzy rozpaczy i radości, ciche prośby, srogie groźby, i serdeczny w końcu mir. — A wciąż szelest kastanietów brzęczy scenie tej cielesnej na skoczliwy wtór!

* * *

Czarna, zakwefiona tancerka wszystkich oczy zwróciła. Unosi się, lata, przewija ze zwinną lekkością jaskółki, z pierścienną gibkością śliskiego węża, z wdziękiem róży kołysanej od wiosennego wietrzyka. Jednak o! dziw! za każdem przegięciem Senority, jakiś przerażający kościany słychać w niej chrzęst. — Nie ma uszu ni uwagi rozkochany Enrico, lecz niektórzy z bliższych gości, drżąc pytają: czy to czasem nie Bazylejska tanecznica trupiolica, ze zbutwiałych zbiegła ram*) — i przychodzi o północy na przerwanie ludzkich uciech, w pogrzebowy jęknąć dzwon?

* * *

Ustał taniec, skończone andaluzyjskie bolero; Don Enrico podniósł czoła, nabrał serca i ufność w samego siebie nowych mu dodała sił. — Niedawno dziecko płochliwe, dorosłym mężem czuje się już. — Na słowa towarzyszki, śmiałym wyzywającym odpowiada wyrazem; bo w czystą Lewity pierś, jako żmija w murawę fijołkami rozkwitłą, już wcisnęła się zdradliwie u don Juana chuć! — I pomyślał sobie w duszy: «ten wzgardzony padół płaczu, nie tak czarny ani marny, jak sumienia gadał głos!» — I drgnął cały na wspomnienie krat zakonnych, co jak wieko zimnej trumny miały nad nim spaść!

* * *

Tak przechodząc przez ciąg komnat godowych, doszli aż do szerokich podwoi ku ogrodom wiodących. — Wzdłuż ba-

*) Wiadomo, że w Bazylei znajduje się zbiór obrazów przedstawiających taniec umarłych (Todtentanz). — W każdym z nich średniowieczny artysta wyobraził śmierć, pląsającą przed swojemi ofiarami.

łustrady, wyciosanej w tak misterne ogniwa i łuki, że jej marmur czerwony zda się brabanckiej koronki tło, uchodzi szczęśliwa para kochanków zdala od wejrzeń natrętnych — i już stanęła tam, gdzie z drzew pomarańczowych z grenadów i mirtów aleje usrebrza księżyca blask. — Kielichy tysiąca kwiatów, złotych owoców mirjady ożywione rosy nektarem, w nocnym wietrze na powietrze balsamiczną leją woń, a słowiki śród gałęzi, zda się kwilą pieśń wesela i tryumfu hymn!

* * *

Naprzeciw mruczącej fontanny co w konchę z porfiru kryształowe sączy łzy, na ustroniu stoi ławka kamienna — na tej ławce usiedli oboje. — Don Enrico w nieznajomej, pałający, pożądliwy topi wzrok; i w milczeniu duma sobie jakie lilje twarzy, jakie korale ust pod osłoną owej maski się kryją; pod tym czarnym atłasem domina, jakie puchy łabędzie, jaki alabastrów śnieg! — Pod tą zazdrosną mantylą jaki wzrok musi błyskać uroczy — jakie oczy! — dwie gwiazdeczki dwoje czarnych słońc! — A w tem sercu ukochanem ile uczuć utajonych! O! nad Peru i Golkondy stokroć większy skarb!

* * *

Wreszcie upadł na oba kolana, szepce jej miłośne zaklęcia i przysięgi namiętne. — Jej niewolnikiem wiecznym chce być, zmiatać ustami z pod stóp jej lecący proch! Lecz ją błaga by w tej chwili odsłoniła mu z pod maski swą anielską twarz. — Senorita umilkła i tylko skinieniem odmawia, młodzieniec nalega więcej — a ona mówi ze smutkiem: «O! nie pragnij tego nigdy, o Enrico mój!» — A on stęskniony i biedny, i słów brzmieniem i wejrzeniem, wzdycha, prosi wciąż. «Niech więc będzie jako żądasz» już nie słodki, czarujący, lecz piorunny odrzekł głos.

* * *

Znikła maska i mantyla i czarnej sukni atłasy oberwał świszczący wiatr; a przed klęczącym Enrico, z ławki ka-

miennej, biało-trupi szkielet wstał. — Przez zbutwiałe żeber kości, jak przez kraty grobowe, zionie zgnilizny dech — a z ocznych otworów czaszki, podobnych do dwóch pierścieni, z których wypadły brylanty, wije się robactwa rój! — A gdzieś w dali się odezwał jakby sądnej trąby jęk: «Tak się kończy i przelata krótkochwilna roskosz świata — szukasz szczęścia, znajdziesz śmierć!» — I piekielna, blada mara, gdy przebrzmiały straszne słowa — wpadła w ziemi głąb!

* * *

Don Enrico de Perheira krzyknął w trwodze i przebudził się tym krzykiem z okropnego snu. — O! nie klęczał on przed ławką ogrodową, lecz siedział jak przed godziną, w szerokiem krześle w maurytańskie arabeski ciosanem, śród ojczystego domu cichej komnaty. — I słysząc turkot pojazdu który właśnie w ową chwilę, siostry jego i brata wiózł na nocny Granda bal, upadł krzyżem i bił czołem o twarde marmury posadzek, dziękując Bogu z pokorą, że mu wcześnie chociaż we śnie, tę przestrogę świętą dał. — I nazajutrz wyrzekł młodzian z chętnem sercem, czystą myślą, zakonnika ślub!

Heidelberg, 1851.

WESELE HAJKONY*).

O! nigdy, odkąd świat ten stworzony,
Nigdy kraśniejsza nie kwitła róża,
Jak młode dziewczę z Newsiniu wzgórza,
Co miało imię pięknej Hajkony;
Bo też tak była gładką, uroczą,
Że nic milszego ludzie nie zoczą.

*) Ballada ta i dwie następne są naśladowaniem pieśni serbskich.

Jak gdyby jodła kibić jej wzniosła —
Po mlecznem licu, róża rozlana,
Róża tak świeża, jakby od rana
Do dnia połowy na łączce rosła.
Skrzydłem jaskółki brwi się zdawały —
Jak dijamenty oczki błyszczały.

Włosy jak jedwab jasnością płoną,
Usta jej słodkie jak z cukru lane —
Ząbki jak perły w sznurek zebrane,
Jak dwa jabłuszka, śnieżne jej łono.
Gołąb tak grucha — gdy się ozwała —
Słonko tak błyszczy — gdy się zaśmiała!

Wielu o rękę zabiegi czyni,
Lecz dwóch w zalotach innych przemaga —
Jeden jest stary, Mustafa Aga,
Drugi jest młody, Sonko Dudbini.
Obadwa dzisiaj, w jednejże chwili,
O krasawicę prosić przybyli.

Tysiąc sztuk złota starzec zalicza*)
I jeszcze puhar daje złocony,
A na puharze wąż okręcony,
Okiem z brylantu blasku użycza —
A blask brylantu takiej jest mocy,
Że przy nim ucztę można jeść w nocy.

Dziesięć sztuk złota Sonko zaliczył,
Nie mógł dać więcej dla przyszłej żony,
Bo tylko szabla i konik wrony —
To było wszystko co odziedziczył.
Lecz nad granicą umiał żyć przecie,
Jak rączy sokół w powietrznym świecie. —

*) W Serbji, jak w innych krajach wschodnich, dziewczyna nie przynosi z sobą posagu — przeciwnie, przyszły mąż musi za nią płacić rodzicom.

Więc brat się ozwał i tak powiada:
«Patrzaj Hajkono, dziś się zastanów —
«Wielu twej ręki pragnie młodzianów —
«Lecz moje serce dwóch tych przekłada,
«Którzy dziś rano w jednejże chwili
«Ciebie w małżeństwo prosić przybyli! —

«Pierwszy jest Aga, starzec bogaty,
«Jak rządca twierdzy, w całej krainie
«Z potęgi, z bogactw ogromnych słynie.
«On cię odzieje w jedwabne szaty,
«Za srebrnym stołem z tobą zasiędzie,
«Cukrem i miodem napawać będzie.

«Drugim jest młodzian Sonko Dudbini;
«Lecz skarb od ojców mu zostawiony,
«Jest tylko szabla i konik wrony —
«Niech więc twe serce wybór uczyni;
«Powiedz mi siostro, luba Hajkono,
«Powiedz, którego chcesz zostać żoną?»

Na to Hajkona tak się ozwała:
«Tyś jest zupełnie wolnym w wyborze,
«Kogo przeznaczysz przyjmę w pokorze —
«Lecz gdybym sama wybierać miała
«Wolę młodzieńca, chociaż ubogi,
«Niż starca złotem błyczczące progi.

«Bo srebro, złoto, kosztowne szaty,
«Że są bogactwem myśl to jest płocha:
«Kto to posiada, co szczerze kocha,
«Ten jest szczęśliwy, ten jest bogaty!» —
— Lecz brat słów siostry nie miał w uwadze:
Dał ją starcowi Mustafie Adze.

Mimo jej woli dał ją starcowi —
I wraz, wieczorem wychodząc z chaty
Z całych okolic pospraszał swaty,

By narzeczoną wiedli mężowi –
I prosił Sonka, jak przyjaciela,
By niósł chorągiew przodem wesela. —

A gdy się zbiegły swaty sproszone,
W weselnych szatach goście przybyli,
Przez trzy dni całe jedli i pili —
Czwartego z rana wiedli Hajkonę.
Lecz gdy się w drodze rzesza wstrzymała,
Dziewoja z cicha swata pytała:

«Powiedz mi, powiedz o mój ty swacie,
«Czyją ja dzisiaj mam zostać żoną?»
A on rzekł z cicha: «Patrzaj Hajkono,
«Tam niosą starca w złocistej szacie
«Jak Effendego, ze siwą brodą,
«To Mustaf Aga — jemu cię wiodą.»

Dziewoja patrzy wzrokiem zmienionym,
Ciężkie westchnienie z piersi wydała
I towarzysza znowu pytała:
«Cóż to za junak na koniu wronym,
«Co, na wzór gościa i przyjaciela,
«Niesie chorągiew przodem wesela?»

A jej towarzysz znowu się wstrzymał
I rzekł: «To młody Sonko z Połęki,
«Ten co się twojej domagał ręki —
«Co się domagał lecz nie otrzymał!»
Gdy to posłyszy kraśna Hajkona,
Na czarną ziemię pada omdlona?

I wnet przybiegła rzesza trwożliwa,
Aga ostatni przybiegł i woła —
Lecz nic Hajkony zbudzić nie zdoła.
Aż wreszcie młody Sonko przybywa —
Zatknął chorągiew, przy lubej staje
I mołodycy rękę podaje. —

Aż ona sama zrywa się z ziemi
Z Sonkiem dopada wronego konia,
A młodzian zwraca w lewo, na błonia,
A rumak pędzi kroki rączemi —
Pędzi jak gwiazda w przestworach świata,
Kiedy spadając, niebo przelata!

A gdy to widzi Mustafa Aga,
Z gniewem zawoła drąc swoje szaty:
«Widzicie goście, widzicie swaty,
«Jaka w tym młodym zbójcy odwaga!
«Wy to widzicie jak wziął mi żonę,
«A żaden nie śmie biedz na obronę?»

Lecz goście rzekli: «Nie mamy komu!
«Niech jastrząb chwyta ptaszka małego,
«Niechaj go chwyta, bo jest dla niego;
«Ty Mustaf Aga wracaj do domu,
«Bo nie dla ciebie tu się rozwiła
«Krasna różyczka, Hajkona miła!»

1830.

DWAJ PRZYJACIELE.

Cyrylli, zrodzony śród równin Trenmury,
Odwiedzał raz bliskie Wargerazu góry,
I został w gościnę przyjęty w dom Jana —
I całe dni dziewięć hulali do rana.

I znowu Jan poszedł w Trenmury równinę —
I Cyryl w swym domu go przyjął w gościnę,
I całe dni dziewięć z wesołą drużyną
Spijali do rana — i wódkę i wino.

A gdy Jan miał wracać do domu swojego,
Cyrylli go wstrzymał i mówił do niego:
«Chodź Janie przed księdza, przysiężmy w kościele,
«Że będziem żyć wiecznie jak dwaj przyjaciele.»

I poszli przed księdza, błagając w pokorze,
By im błogosławił ten ślub w imię Boże;
I biorąc komunję przysięgli w kościele,
Że będą żyć wiecznie jak dwaj przyjaciele. —

Rok później, w jesieni, w wieczornej raz chwili,
Przed domem swym z fajką spoczywał Cyrylli —
Aż wchodzi człek obcy, pot z czoła mu ciecze,
Głęboko się skłonił i w te słowa rzecze:

«Cyryllu! Jan, brat twój, ma Turka sąsiada,
«Co ciągle nań czyha i włoście napada —
«Więc mnie tu przysyła i prosi na Boga,
«Byś spieszył mu w pomoc i bronił od wroga.»

Cyrylli swą strzelbę zdjął z kołka co żywo,
A torbę opatrzył i w chleb i w mięsiwo,
I zamknął drzwi domu — i z równin Trenmury
Niedługo się dostał w Wargerazu góry. —

I strzały przyjaciół próżnemi nie były —
I wrogów nie mało ich ręce zgromiły —
Gromiły potężnie — i wkrótce w około
Nikt nie był dość śmiałym, by stawił im czoło. —

Zabrali zdobyczą koźlęta i kozy,
Szat drogich i broni kosztownej dwa wozy —
I mnóstwo pieniędzy — i jeszcze prócz tego
Turecką dziewicę oblicza kraśnego. —

Broń, trzody, pieniądze niedługo dzielili:
Jan zabrał połowę, połowę Cyrylli —
Lecz nie tak to skoro, lecz nie tak to snadno
Podzielić dziewicę i młodą i ładną! —

A każdy ją pragnął otrzymać podziałem,
Bo oba Turczynkę kochali z zapałem:
I przyszło do tego, że fraszka ta mała
Przyjaciół dwóch zgodę raz pierwszy zachwiała.

Więc Cyryll się ozwał: «Przestańmy w tej chwili,
«Za wieleśmy dzisiaj hulali i pili —
«Rozmówim się jutro dla kogo ta branka.»
Pokładali się oba i spali do ranka. —

Jan zbudził Cyryla wraz z świtem poranka,
I pyta: «Cyrylu! czyż dla mnie ta branka?»
A Cyryl nic nie rzekł, lecz usiadł i skrycie
Ocierał łzy z oczu płynące obficie.

Jan patrzył z wyrazem dzikiego wesela
Na wdzięki Turczynki i łzy przyjaciela —
I w niemej rozpaczy poglądał też czasem
Na hanzar błyszczący, co tkwił mu za pasem.

A ludzie, co z nimi na wojnę przybyli,
«Cóż z tego wyniknie?» do siebie mówili.
«Czyż zerwą tę przyjaźń ci, którzy w kościele
«Przysięgli żyć z sobą jak dwaj przyjaciele?»

A oni czas długi na siebie patrzali —
I nagle z swych siedzeń obadwa powstali,
I Jan do Turczynki zbliżając się żwawo
Wziął lewą jej rękę — a Cyryl wziął prawą.

I łzy im obficie płynęły z źrenicy,
Jak krople deszczowe śród burz nawałnicy —
I razem porwali hanzary w swe dłonie
I w śnieżnem Turczynki utkwili je łonie. —

«Niech ginie niewierna!» radośnie wołali!
«Jej śmierć tylko przyjaźń najświętszą ocali.»
A potem się oba ścisnąwszy serdecznie,
Do zgonu, jak bracia, kochali się wiecznie!

1830.

ZŁE OKO*).

Gdy słońce się w wieczór ukryje za góry,
A sen i ciemności dom cały otoczą,
Wnet słodki brzęk guzli zadźwięczy uroczo
Pod oknem Heleny, Jellawicza córy.

I szybko Helena z posłania się zrywa —
I okno otwiera rękoma drżącemi,
A młodzian tam siedzi oparty na ziemi
I dźwięczy na guzli i miłość swą śpiewa. —

I noc najciemniejsza najmilszą dla niego,
A księżyc gdy w pełni na niebo się wzbije —
On zdala od okna do cieniu się kryje
I ledwie go oczy kochanki dostrzegą. —

Któż młodzian ten dziki, jak nocne zjawisko?
I któż może zgadnąć? — On przybył z daleka,
Lecz stroni od wiosek, od ludzi ucieka.
I tylko Helena zna jego nazwisko. —

---

*) Serbowie wierzą w przesąd iż są ludzie, których wejrzenie zabija, i to nazywają złem okiem. — Człowiek taki ma mieć w każdem oku po dwie źrenice. — Aby się ustrzedz od złego oka, trzeba nosić przy sobie relikwje święte, lub też róg kozy dzikiej.

Lecz ani Helena, lecz nikt po te czasy
Nie dostrzegł oblicza Maksyma Dubana;
Bo skoro jutrzenka zabłyśnie rumiana,
On z strzelbą na plecach zapuszcza się w lasy. —

I rogi kóz dzikich co wieczór przynosi
I daje Helenie i mówi tak do niej:
«Niech Pan Bóg od złego cię oka uchroni!
«Ach! noś to przy sobie, kochanek cię prosi.»

A głowę swą szalem tak wielkim obwija,
Żę pod tą zasłoną nie widać i twarzy;
I jeśli Maksyma napotkać się zdarzy,
Lic jego źrenica nie dojrzy niczyja. —

Raz rzekła Helena: «Noc cień sieje wszędzie —
«Ach! dozwól mi, dozwól choć dotknąć twe lica.»
I białą swą ręką dotknęła dziewica
A twarz była gładką jak puchy łabędzie. —

Więc rzekła: «Młodzieńcy powiatu całego
«Mą rękę i serce chcą zyskać dla siebie;
«Lecz ręka i serce są tylko dla ciebie —
«Przyjdź jutro w południe do domu mojego!

«Przyjdź jutro w południe i jakby ślubioną
«Do swojej Maksymie uprowadź krainy —
«Już przykry mi stan mój i imię dziewczyny!
«Tam nazwiesz mnie żoną i będę twą żoną.» —

A młodzian z westchnieniem i mową zmienioną
Rzekł: «W dzień ja nie mogę! lecz dziś, za godzinę,
«Uwiozę cię w Kninu czarowną dolinę,
«Tam nazwę cię żoną i będziesz mą żoną.» —

A ona mu rzekła: «Nie! dzisiaj nie mogę!
«Mam szaty złocistą świecące ozdobą:
«Te szaty, Maksymie, chcę zabrać ze sobą
«I jutro w południe, gotowam jest w drogę.»

On dumał przez chwilę i tłumił westchnienia:
«Tak żądasz Heleno, niech tak się więc stanie.»
W tem kogut ogłosił poranku świtanie,
Uścisnął ją młodzian i zniknął wśród cienia. —

A gdy się południa godzina zbliżała,
On przybył na koniu — a koń jego cały
Jak śniegi na górach, jak mleko był biały —
A na nim, za siodłem poduszka leżała. —

Lecz Maksym zasłoną pokryty od czoła
Że ledwie pół twarzy dopatrzysz się zbliska —
A dołman złotemi haftami połyska,
A pas wysadzany perłami do koła. —

Helena wskoczyła za siodło na konia,
A koń jako mleko, jak śnieg w górach biały,
Zatętniał kopytem i, szybszy od strzały,
Przemijał kurzawą dymiące się błonia. —

«Heleno! rzekł młodzian, zabrałażeś z sobą
«Te rogi kóz dzikich com dawał ci nieraz?»
— «Nie! rzekła Helena, cóż po nich mi teraz;
«Mam szaty złocistą świecące ozdobą!»

«Heleno! rzekł młodzian, zabrałażeś z sobą
«Te święte relikwie com dawał ci nieraz?»
— «Nie! rzekła Helena, cóż po nich mi teraz,
«Jam bratu je dała co złożon chorobą.»

A Maksym znów milczał i dumał głęboko —
Aż rzekła Helena: Uściśnij twą żonę
«I wstrzymaj rumaka — i zrzuć tę zasłonę
«I dozwól niech lubej obaczy cię oko.»

A on znowu westchnął i mówił tak do niej:
«Tej nocy przybędziem w mych ojców mieszkania,
«Tam tkane z jedwabiów nas przyjmą posłania
«I złota firanka kochanków osłoni.»

Helena odparła: «Czyż tegom ja godną?
«Dziś dawna twa miłość w pogardę się zmienia;
«Dla czegóż jednego nie zwrócisz wejrzenia?
«Nie jestżem dziewicą nad wszystkie urodną?»

— «Heleno! rzekł Maksym, tu dostrzedz nas mogą,
«Lub bracia od ojca wysłani pogonią —
«Gdy bawić się będziem, nas w drodze dogonią.»
I mówiąc to, konia popędzał ostrogą. —

— «Ach! wstrzymaj się, wstrzymaj! Helena wołała,
«Już widzę że serce twe dla mnie się zmienia;
«I jeśli w tej chwili nie zwrócisz wejrzenia,
«Zeskoczę z rumaka choć umrzeć bym miała.»

Więc Maksym rumaka zatrzymał w poskoku —
I zrucił zasłonę co oczy mu kryła —
Helena ku niemu wejrzenie zwróciła:
O! nieba! dwie w każdem źrenice miał oku!

Śmiertelne, śmiertelne Maksyma wejrzenie —
I wprzódy nim dotknął ustami jej lica,
Już głowę na piersi schyliła dziewica
I duszy w pobladłej nie było Helenie!

«Przeklęci, zawołał, przeklęci rodzice,
«Co życie mi dali z oczyma takiemi;
«Lecz nie chcę być dłużej nieszczęściem na ziemi —»
I ostrzem hazaru wyłupił źrenice. —

Pogrzebał jej zwłoki — i złaman żałobą
W klasztorze, mnich ślepy, dni skończył niemiłe;
I wkrótce rozwarto Heleny mogiłę,
By ciała kochanków połączyć ze sobą!

Warszawa, 1830.

X.

WIERSZE RÓŻNE.

POGRZEB MURADA BASZY W ALEPIE.

(1850.)

CHÓR MOLLAHÓW.

Za łaską Allaha — z ciemności tumanu,
Giaur prawdę zobaczył przy świetle Koranu,
Dziś w rzędzie wybranych go liczym.
I w świętej Islamu pogrzebion jest ziemi,
Pod cieniem cyprysów odpocznie z wiernemi,
Z zwróconem ku Mekce obliczem!

* * *

Już duch jego doszedł rajskiego siedliska,
Gdzie źródło roskoszy bezprzerwnie wytryska
I z każdą powiększa się chwilą —
Już roje Huryssek czekają zebrane,
I piersi łabędzie i usta różane
Z uśmiechem ku niemu już chylą!

CHÓR RENEGATÓW.

Mąż to był lwiego serca, mąż orlego rodu!
Na błoniach Ostrołęki, w górach Siedmiogrodu
Sława Bema wiecznie trwa —
Czynów jego rycerskich sierocy świadkowie,
Składamy wieńce laurów na tej orła głowie,
Na tem wielkiem sercu lwa!

GŁOS POLSKI.

O! ty biedny synu mój!
Na dziecięcą twoją skroń
Świętego kapłana dłoń
Lała chrztu świętego zdrój!
Dziś, nie Boży tobie dzwon,
Nie kościelnych hymnów dźwięk,
Lecz Mollahów sprośny jęk
Na samotny zabrzmiał zgon!
Bóg niech sądzi żywot twój!
A tu — za zasługi twe
Ja ci rzewną daję łzę —
O! ty biedny synu mój!

DUCH BEMA.

Dawnych mąk, świeżych zgryzot znikła gorycz cała:
Słodkiem syna imieniem matka mnie nazwała!
W jej głosie przemówiły polskich serc miljony!
A jej łza poświęciła grób niepoświęcony!
O! może ta łza jedna, za wieczności progiem,
Będzie orędowniczką przed ojców mych Bogiem —
I może —
Bo wiesz matko — o ty! której łono
Tylekroć już zabójczym mieczem przebodzono —
Jak ciężkie obce więzy, gorzkim chleb tułaczy,
I do jakich przepaści wtrąca wir rozpaczy!
Ty wiesz — żem nie przez dumę, ni chęć marnej sławy,
Lecz na to — by z twym wrogiem bój odnowić krwawy —
I pod obcym sztandarem służyć sprawie bratniej —
Chwycił za półksiężyca jak za lont armatni! —

PIELGRZYM CHRZEŚCIANIN.

Straszny, wielki jest gniew Twój — lecz większe jest Panie
Łaski Twojej zmiłowanie!
Nie odepchnąłeś Piotra, choć w ciężkiej potrzebie
Potrzykroć zaparł się Ciebie!
Przebaczyłeś łotrowi, gdy w skonania dobie
Pokornie westchnął ku Tobie!

Zwróć więc i na zaprzańca litościwe oko,
Jeśli żałował głęboko!
Bo straszny, wielki gniew Twój — lecz większe jest Panie
Łaski Twojej zmiłowanie!

Baden, 1851.

WSPOMNIENIE MŁODOŚCI,

PRZY POMNIKU KSIĘCIA JÓZEFA PONIATOWSKIEGO W LIPSKU.

Kiedy na opuszczone od nocy błękity
Ocucony poranek białym żaglem spłynie —
Świeżym balsamem życia wieje wiatr w dolinie;
A róża i fijołek, łzą rosy okryty,
Pełną piersią oddycha — jeszcze mgły wiosenne
Czołgają się w dolinach jak srebrzysta fala,
A cała okolica przedstawia się zdala
W niewyraźnych zarysach jak obrazy senne —
Uroczyste milczenie — tylko je przerywa
Słowik, co śród gaiku nocną piosnkę śpiewa:
Ale i ten umilknie, gdy na niebios łonie
Ostatnia gwiazda w falach błękitu zatonie.
Do tej, zaledwie ze snu zbudzonej, natury
Podobnym jest wiek dziecka. —
Lecz kiedy na góry
Słońce rozleje światło, wkrótce mgły wiosenne
Opuszczają doliny — i, zmienione w chmury,
Krążą, bledną i nikną jak obrazy senne;
A słońce, ozłocone promieńmi pogody,
Wstaje na podziw światu jak bohatyr młody —
A żyjąca natura, pył strząsając zimny,
Różnemi głosy nuci dziękczynienia hymny:
Pienieńm ptasząt, co kwilą pośród drzew tysiąca,
Cichym szmerem strumyka co kroplami ścieka,

Piorunnym szumem morza co skały roztrąca,
Wonnym oddechem róży i myślą człowieka!
Wszystko żyje — a chociaż od skwarnych promieni
Przepalony fijołek pod listkiem omdlewa —
Przecież falami kłosów błonie się zieleni,
Ziarno dościga w pąku i owoc dojrzewa!
  Takim jest wiek młodzieńca. —
                    Gdy rozumu siła,
Jak złoty promień słońca nad młodzianem błyśnie,
Niepewność, ćmiąca umysł, jak mgła się rozpryśnie.
W sercu, w którem niedawno taka cisza była,
Zaczynają się budzić uczucia, jak dźwięki
W strunach lutni, wzruszonej od Genjusza ręki,
Albo iskry w krzemieniu pod ciosami stali. —
Serce zajęte ludźmi, umysł bieży dalej,
Chwilę spojrzy na ziemię i nie syty ziemi
Po niebie błąkać lubi, gwiazd o drogi pyta —
A serce jako lampa, płomieńmi silnemi
Goreje — i swym ogniem samo się pożera.
Umysł wiecznie zielony, z wiekiem sił nabiera
I jak owoc dojrzewa — a serce przekwita,
Jak róża lub fijołek. —
                    Ale są wspomnienia
Co ożywiają serce. — Głos ich uroczysty,
Czuły, jak sen tułacza o ziemi ojczystej —
Jak westchnienie miłości, jak wieszcza marzenia.
One, gdy serce smutne, gdy się umysł chmurzy,
Błyskają mu pociechą jak tęcza śród burzy;
I zwiędłe życia błonie świeżym strojąc kwiatem,
Łączą kolebkę z grobem, a człowieka z światem! —
  I mnie błysło wspomnienie. —
                    Nad Pilicy brzegiem
W domu rodziców, pomnę, przy dębowym stole
Ojciec, matka i siostry siedzieli w półkole —
Ja na boku, blaszanych żołnierzy szeregiem
Bawiłem się szczęśliwy — pięć lat wówczas miałem.
Ojciec czytał gazety — gazet nie słuchałem,
Cóż mi po nich, w mych cackach miałem świat mój cały.

W tem — o! nigdy nie zdołam zapomnieć tej chwili!
Matka zaczęła płakać i siostry płakały;
Ojciec, żołnierz Kościuszki w bojach posiwiały,
Westchnął, lecz westchnął ciężko — a potem mówili
O księciu, o Józefie, co gdzieś w bitwie zginął. —
Wtenczas zacząłem słuchać, może bez wzruszenia —
Ale pomnę, że w owej chwili uniesienia
I po moich jagodach strumień łez popłynął.
Dla czego? nie opowiem — nie był to żal tkliwy,
Nie szedł on z serca — dusza dziecka go nie znała —
Płakałem, bo me siostry i matka płakała:
I znów do moich cacek pobiegłem szczęśliwy! —
Niedawno, jako tułacz z drogiej przodków ziemi,
Jak żołnierz, co poślubił na ojczyzny grobie
Wytrwałość i nadzieję — szedłem wraz z innemi
Do Francji — żyć dla Polski — i dotrzymać próbie
Może ostatniej. — Wszedłszy w wzniosłe Lipska mury,
Białym śniegiem pokryte — smutny i ponury
Jak one, religijnym przejęty zapałem,
Jak Muzułman, co spieszy widzieć grób Proroka,
Spieszyłem ujrzeć pomnik Józefa. — Widziałem
Jak pośród błonia Elba*) toczy się szeroka,
Jak Elster z nią się łączy — lecz pod moją stopą
Jakaż to ziemia wspomnień! — Tutaj krew się lała,
Tu człowiek przeznaczenia walczył z Europą
I tu nam z śmiercią wodza, nadzieja skonała!
Na wzniesione nad brzegiem dwie skromne mogiły
Polską i obcą dłonią, ze smutkiem patrzałem —
Z smutkiem, lecz z suchem okiem — już łzy wypłakałem;
Zdrój tem przepłynął w serce — tam krwawe łzy były!
Lecz gdym zatonął w myślach, nagle jakaś wzmianka
Jak dźwięk dalekich dzwonów śród ciszy poranka,
Jak gwiazda co śród burzy żeglarzowi błyśnie,
Jakieś dawne wspomnienie do duszy się ciśnie!
I odżyły w pamięci me lata dziecinne —
I luby dom rodziców — jak niegdyś przy stole

*) Omyłka autora. PRZYP. WYDAWCY.

Ojciec, matka i siostry siedzieli w półkole —
I gazety i cacka i me łzy niewinne!
I westchnąłem — gdzież ojciec? w mogile spoczywa!
Zdaleka luba siostra, zdala matka tkliwa —
A gdzie stał dom rodziców, może gruz w tej chwili
Mówi przechodniom: «tutaj najezdnicy byli.» —

Paryż, 1832.

SYN I MATKA.

SYN.

Mamo! powiedz mi, dla czego
W szkółce, gdzie nas dzieci stada —
Każdy ma tatunia swego
O tatuniu swoim gada?
Nawet Ludwiś — co choć zima
A płaszczyka, biedny, nie ma,
Raz mi mówił: «Tyś bogaty
«Ale nie masz twego taty!» —
A profesor — gdym go o to
Na rekracji wypytował,
To mnie tylko ucałował
I ze smutkiem rzekł: «sieroto!»

MATKA.

Oj sieroto! biedne dziecię!
Dawno nosim my żałobę,
Bo twój ojciec skończył życie!

SYN.

A na jakąż to chorobę?

MATKA.

Nie choroba go zabiła —
Był on zdrowy, czerstwy, hoży,

Długi wiek jam mu wróżyła —
Ale inny wyrok Boży!
Bój się zaczął w naszej ziemi
Wszyscy do szabel się brali —
Ojciec twój poszedł z innemi
Bronić kraju od Moskali. —
Przy rozstaniu — twe nazwisko
Powtarzając, łzy swe chował,
Ukląkł nad twoją kołyską,
Raz ostatni ucałował —
I odjechał. — Od tej chwili
Nie widziałam go już wcale. —
Bił się mężnie — i Moskale
W Ostrołęce go zabili. —

SYN.

A to mamo ci Moskale,
Te żołnierze, ci wąsale
Ż kaszkietami, w ładownicach,
Co w Warszawie w każdej chwili
Trąbią, bębnią po ulicach,
Mego tatę zastrzelili? —
Nie płacz matko! w przyszłą wiosnę,
Jak się wzmogę i podrosnę
Bym karabin podniósł z ziemi,
To ja pójdę bić się z niemi,
Za tatunia — Polskę naszą —
Bo mnie wąsy ich nie straszą! —

* * *

Matka z twarzy łzy otarła,
Synka przytula do łona
I tak mówi, rozczulona:
«Jeszcze Polska nie umarła,

«Dziś lub jutro więzy skruszy — —
«Nie! taki naród nie zginie,
«Gdzie Bóg i drobnej dziecinie
«Tyle hartu wlał do duszy!» —

Paryż, 1845.

SEN WYGNAŃCA.

Żyjem i gdzież jest życie? Czyż to nasze ciało,
Co się tak w proch obróci jak z prochu powstało,
Ma być życiem? — Nie! — Wszystko co w głębi człowieka
Czuje, myśli i stwarza, marzy i docieka,
Nie jest ciałem! — Jest inna, nieśmiertelna siła,
Którą w dłoniach Anioła Bóg dziecięciu zsyła —
Która z niem od kolebki do grobu spojona,
Jak świat wielka, żyć musi śród ciasnego łona —
I gdy słabą budowę znęka życia praca,
Znowu w dłoniach Anioła do Boga powraca!
Tak kiedy, pośród nocy, urnę marmurową
Oświecisz wewnątrz ogniem, urna błyszczy jasno:
Lecz gdy ogień wytleje, gdy płomienie zgasną,
Urna znów się pokryje ciemnością grobową!
Tak, dusza jest tą siłą żyjącą — a ciało
Jest łożem gdzie zdrój płynie — jest tą konchą małą,
Śród której błyszczy perła. — Pracą dnia znużone,
W nocnym śnie szukać musi sił do nowych trudów;
A dusza nie spoczywa — i ciało uśpione
Przenosi silną dłonią do krainy cudów —
I tam przed niem czarowne roztacza obrazy,
Światy bez zdrad i zbrodni i słońca bez skazy —
Albo je też w tęsknione wiedzie okolice,
Między ściany rodzinne i znajome lice,
Lub między zimne groby — i tam mu odsłania
Widok zniszczenia, cierpień, śmierci i konania!

* * *

Zasnąłem — i obrazy przed senną powieką
Snuły się jak obłoki po błękicie jasnym.
Pierwszy obraz był czuły. — Nad rodzinną rzeką,
Na górze stał dwór biały — byłem w domu własnym.
Matka i brat i siostra, witali do koła,
Jak majtka co z rozbicia statku wyszedł cały —
I nasze łzy serdeczne tak się pomięszały,
Jak modlitwa dziecięcia z modlitwą Anioła. —
O! jak miło po czasach spędzonych boleśnie,
Po długich, krwawych bojach, po świata obiegu,
Odpocząć pośród swoich na rodzinnym brzegu:
Taką roskosz poznałem — czemuż tylko we śnie!
Znikł ten widok — i znowu po złotym promieniu
Inny, czuły jak pierwszy, spłynął ku mnie mile,
Co czczęśliwej przeszłości przypomniał mi chwile —
I minione obrazy przedstawił w marzeniu!
Przybyłem w dom kochanki — na chwilkę — dwa słowa —
Na jedno powitanie — i jedno: bądź zdrowa! —
Jej wzrok przykuł mnie do niej — chciałem bawić wieki —
Lecz wzywał już do boju odgłos trąb daleki;
Trzeba żegnać — żegnałem — a rączka jej biała
Jeszcze mnie przy odjeździe przez okno żegnała!
Lecz i ten obraz zniknął — z nim powiędły róże
Słodkich marzeń — po wiośnie, błysły zimy burze —
Jak widma, przesuwały się straszne widoki:
Na Ostrołęckiem polu, nad Narwi brzegami
Ujrzałem stosy czaszek, skrzepłej krwi potoki,
I dwugłównego sępa nad braci grobami. —
I krzyknąłem na sępa: «Precz! to nasze błonie,
«Wszak do dzieci należy ich matki mogiła —
«Nie rozciągaj tu szponów — bo w tej ziemi łonie
«Kości nasze — krew nasza tę ziemię ochrzciła.»
Ale sęp nie odleciał — bo mu z każdej strony
Inne ptaki złotemi strojne koronami
Przyzwalały na zbrodnie i biły pokłony:
Nawet kogut co niegdyś pomiatał sępami —

Co niegdyś w cesarskiego orła przemięniony
Na zwaliskach Kremlinu złote ostrzył szpony —!
I spojrzałem na Polskę — świątyń szczyty stare
Dopalały się w gruzach naszych miast i włości,
I nic nie było słychać w grobowej cichości
Chyba turkot kibitki co niosła ofiarę!
Chyba ciężkie westchnienie i jęk przytłumiony
Osieroconej matki, kochanki — lub żony!
Matki, co porwanego opłakując syna,
Dzień jego urodzenia w rozpaczy przeklina!
I chciałem się oderwać od tego widoku,
Co przebolałe serce taką męką trudził,
Co ssał mą krew jak upiór — i łzy czując w oku,
Zamknąłem je — w tem nagle dźwięk kajdan mnie zbudził!

* * *

We śnie jak w życiu, krótkie są chwile roskoszy!
Jam błysk szczęścia okropnem opłacił marzeniem,
Jak wędrowiec, co pragnąc spocząć nad strumieniem,
Jadowitego węża z krzewiu róż wypłoszy.
A więc tylko do cierpień ludzie się rodzili?
Bo gdzież jest' trwałe szczęście? — Nasz świat się zestarzał,
Długi szereg pokoleń to słowo powtarzał
I nie znalazł na ziemi. — A ludzie marzyli —
I wiecznie marzyć będą o szczęściu, jak dzieci,
Które gonią motyla co ku niebu leci! —
Jednak iskry przeczucia śród duszy goreją,
Że życie się nie kończy u deski grobowej — —
O! nie! my nie napróżno łudzim się nadzieją:
Kolomb przeczuwał światy — i odkrył świat nowy!

Paryż, 1832.

W IMIONNIKU
NIEZNANEJ POLCE
PANNIE ***, POSYŁAJĄC JEJ LISTEK CYPRYSU.

Gdzie piękna Prowancji roztacza się niwa,
Z Rodanu wonnego nadbrzeża,
Ten listek cyprysu dłoń polska odrywa
I wiatrom północnym powierza.

* * *

Do Karpat ojczystych świeżego podnóża
O! wiatry! ponieście go w darze;
Tam strojna w szkarłaty rozwija się róża —
U stóp jej go złóżcie w ofiarze!

* * *

Jak słońca jasnego poranne promienie
Dzień cucą na chmurnym błękicie,
Tak rąk jej dotknięcie, jej oczu wejrzenie
Gasnące obudzą w nim życie.

* * *

A wtenczas, znów w szatę przybrany wiosnową,
Ten listek nieznany — daleki —
Rodzinnym zapachem i bratnią ją mową
Powita — pożegna na wieki!

Aix, 1841.

DO WŁADYSŁAWA OLESZCZYŃSKIEGO.

Kochany Władysławie! czemże ci odpłacę
Za piękną, genialną kunsztu twego pracę?
Ot wiem, panie snycerzu! — Jak ty mnie, ja tobie,
Jak umiem, twój — wierszami — wizerunek zrobię:
I wyznasz, porównawszy te dwie miniatury,
Że poezja mą szersze pole od skulptury.
Choć twe dłuto do większych nieraz dzieł się waży,
Ty mogłeś tylko oddać rysy mojej twarzy —
A me pióro, co także w papierze dłutuje,
Wszystkie przymioty duszy twojej odrysuje. —
I powie: jakie piękne już wydał nam plony
Twój talent znakomity, z skromnością złączony;
Jako nie szczędzisz pracy, jak szukasz nauki,
By dojść do krańców trudnej Fidiaszów sztuki!
A nadewszystko: jako silnie w tobie żyje
Święta miłość ojczyzny — jak gorąco bije
Twe serce, i jak tęskni za tą Polską lubą,
Której ty kiedyś będziesz pożytkiem i chlubą!

Paryż, 1844.

KRYSZTOF KOLOMB

(Z SZYLLERA).

Płyń odważny żeglarzu, choć świat cię wyśmieje —
I rudel sternikowi w słabej zwiśnie dłoni,
Płyń zawsze, zawsze na Wschód — tam ląd się odsłoni,
Bo już przed twym rozumem odkryty jaśnieje!

Ufaj Bogu co wiedzie — droga już niedługa;
Wkrótce świat nowy z morskich fal ci się ukaże!
Bo Geniusz i Natura w jednej chodzą parze,
I co pierwszy dociecze, musi stworzyć druga!

Aix, 1833.

EPILOG.

Na błoniu ojczystem, o kiedyś — przed laty,
Beztroski młodzieniec codziennie rwał kwiaty —
  I w wianki je zwijał wonięce;
Codziennie szum borów i ptaszęt kwilenia
Płynęły mu w piersi — a z dźwięków tych brzmienia
  Wysnuwał piosenek tysiące!

* * *

Lecz wkrótce młodzieńca, poetę-żołnierza,
Los poniósł daleko na obce wybrzeża
  Z koszturem pielgrzyma u ręki;
I odtąd w tęsknocie, w żałobie i trwodze!
Mniej kwiatów na wianki już zbierał po drodze,
  Mniej częste snuł z piersi piosenki!

* * *

I z każdym mu rokiem mniej woni i słońca;
Wiośniane dni krótkie, a zimy bez końca,
  I codzień mu smutniej, boleśniej!
Więc z krain dalekich, z tej niwy ciernistej,
Posyła dziś w darze ku ziemi ojczystej
  Niewiele i kwiatów i pieśni!

* * *

O! czarne me kwiatki, piosenki żałobne,
Śród łez chodowane sieroty me drobne —
  Wy, którem wykarmił krwią własną —
Na skrzydłach jaskółczych polećcie w tę stronę,
Gdzie oczy śpiewaka wciąż patrzą stęsknione —
  Dopóki pod łzami nie zgasną!

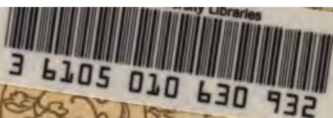
Baden, 1855.

KONIEC.

DRUKIEM F. A. BROCKHAUSA W LIPSKU.

70—




3 6105 010 630 932

